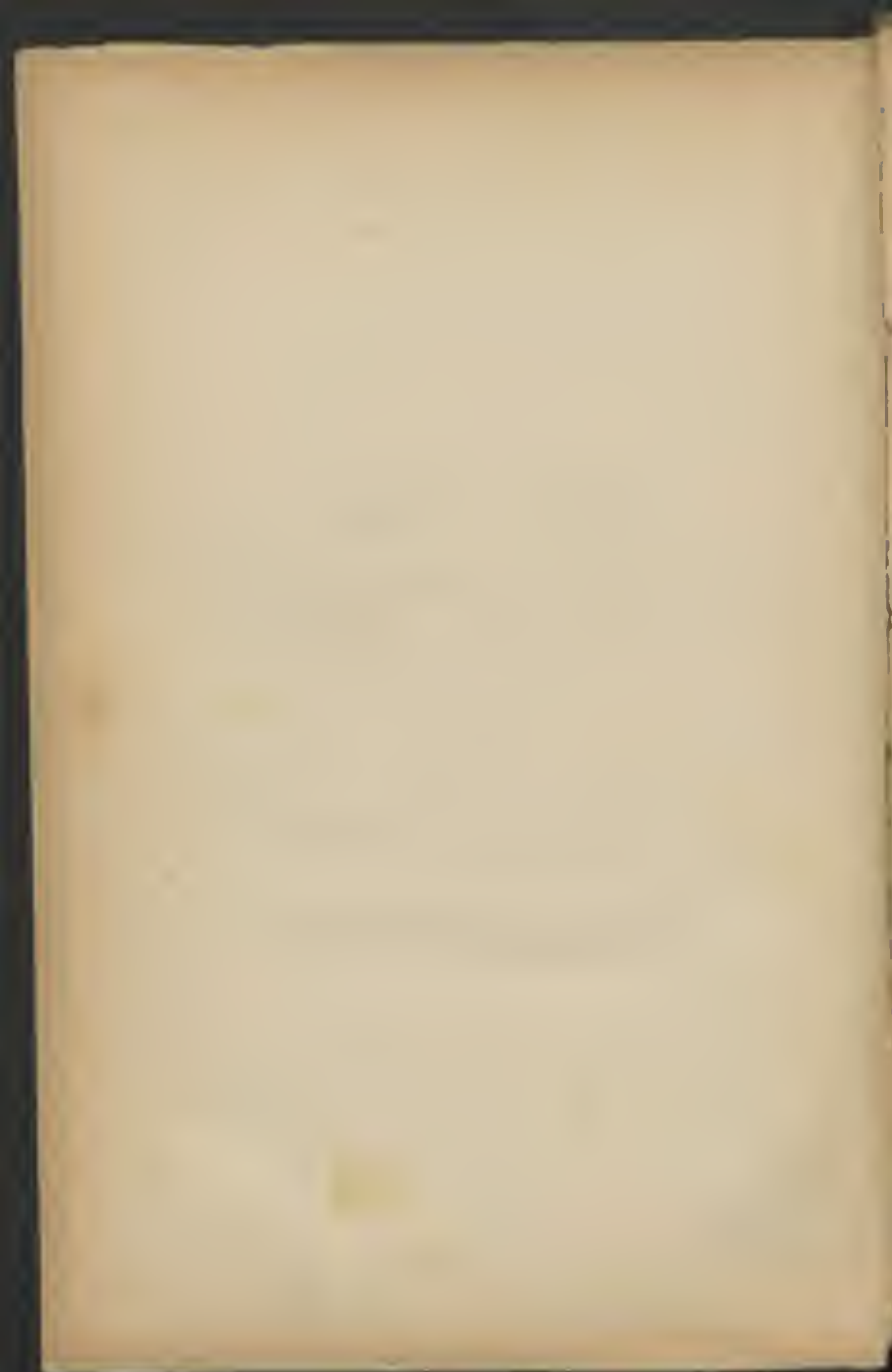




POWIEŚCI HISTORYCZNE  
J. I. KRASZEWSKIEGO  
(WYDANIE TANIE).

---

Tom siedemdziesiąty piąty.



# ZA SASÓW.

(CZASY AUGUSTA II i AUGUSTA III).

UŁOŻONE PRZEZ

**J. I. Kraszewskiego.**

CZĘŚĆ PIERWSZA.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1891.

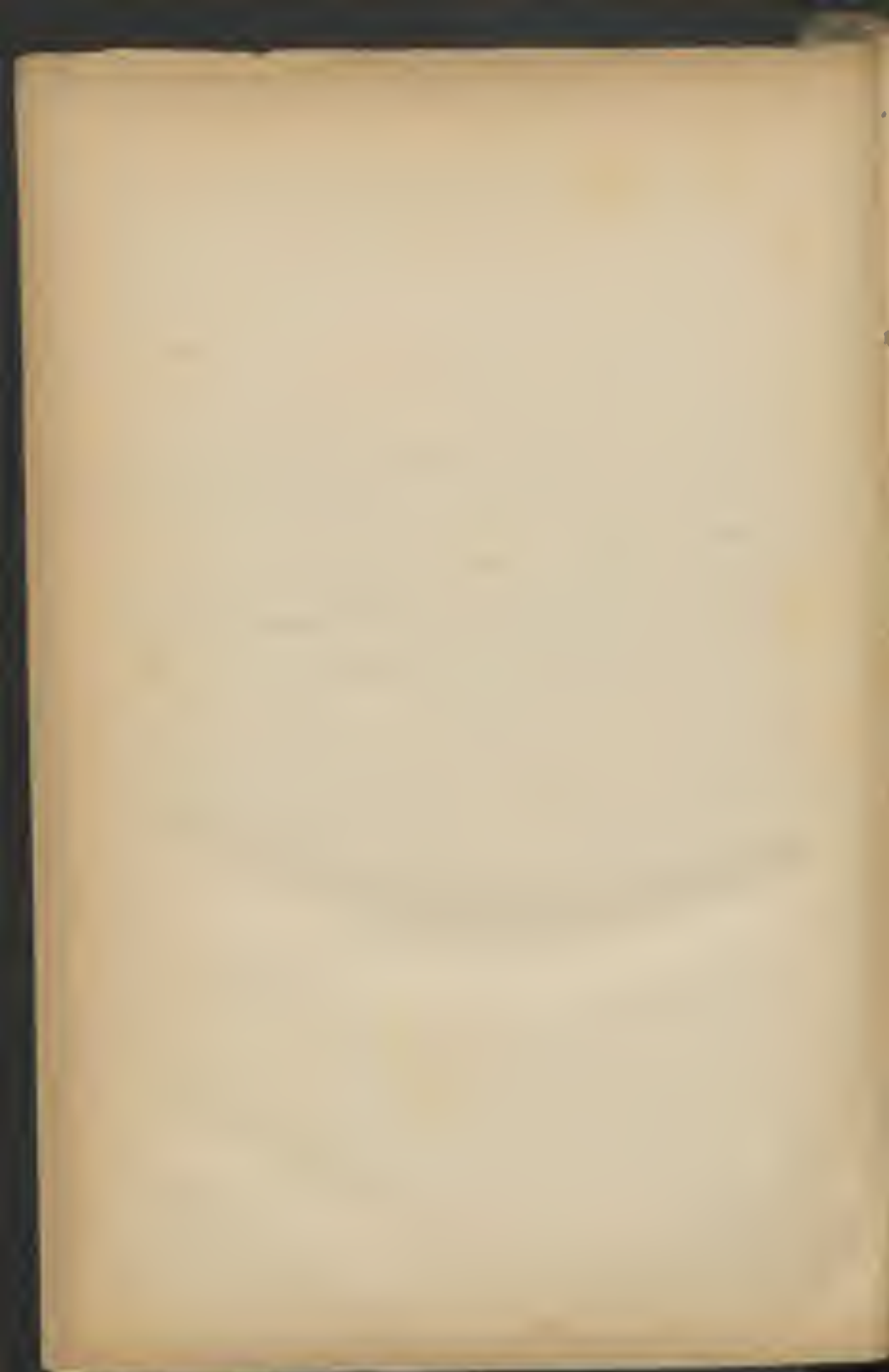
Дозволено Цензурою.  
*Варшава, 19 Августа 1891 года.*



.....  
Druk Józefa Jeżyńskiego, Warszawa, Danielewiczowska, 16.

W kilku powieściach przed kilkunastu laty wydanych, skreśliliśmy obrazy społeczeństwa naszego i dworu za czasów Augusta II i Augusta III (Cosel, Brühl, z siedmioletniej wojny, Skrypt Fleminga, Starosta Warszawski i t. d.) nie chcieliśmy i nie potrzebowaliśmy powtarzać, na nowo malując też same wypadki i ludzi. W dwu tylko tych epizodach dodatkowych, dopełniamy wizerunku tej smutnej epoki; czytelnik łatwo znajdzie w dawniejszych, to czego im braknąć może.

---





## I.

Wiek siedemnasty był na schyłku.

Polska, po zgonie Jana III, miała, po długich zabiegach, wybrać prawdopodobnie następcę bohatera, narzuconego jej przez Francją kandydata do korony... Starania o to ciągnęły się prawie nieprzerwanie od przybycia Marji Ludwiki do Polski. Francja obiecywała sobie wiele po tym sojuszu przeciwko Austrii, gdy niespodziewanie, jako ubiegający się o tron wystąpił Fryderyk August, od kilku lat, po Janie Jerzym IV, zmarłym bezpotomnie, Kurfirst saski, przyjaciel i sprzymierzeniec rakuskiej dynastji.

Ciche, ale zręczne zabiegi, poparte złotem, umiejętne korzystanie z opieszałości i oddalenia Francji, naostatek nawrócenie się na katolicyzm Kurfista, o bieżące stolicy Apostolskiej, w przyszłości odzyskanie Saksonji, rozstrzygnęły o losach Rzeczypospolitej.

Fryderyk August wybrany przez mniejszość, ale ruchawą i czynną, miał się koronować w Krakowie.

W Saksonji i stolicy jej Dreźnie, półgębkiem tylko, cicho, z pewną trwogą i smutkiem, mówiono o tym wypadku, który jednym zdawał się obiecywać wzrost potęgi i pomyślności kraju, dla drugich był groźbą prześladowania religijnego. Zdania i uczucia wielce podzielone były.

Reforma religijna miała czas zakorzenić się tu głęboko; przywiązanie do niej posunięte było aż do fa-

natyzmu, raziło jak grom, że głowa tego nowego kościoła, panujący zmienił wiarę, ogłaszał się katolikiem i wkładając koronę polską na skronie, zapierał się kolebki, co go wykołysała. Duchowieństwo ewangelickie przejęte było zgrozą i trwogą, gotując się do walki i stawania w obronie wolności sumienia.

Odedworu wprawdzie płynęły zapewnienia uspakajające, zaręczano, że August miał uroczystym aktem zabezpieczyć swoim poddanym zachowanie ich wiary, opiekę dla niej; sumienniejsi ludzie pojąć nie mogli ani lekkomyślności, z jaką Fryderyk August zmieniał wiarę, ani obojętności, jaką dla nowej okazywał.. Jawny ten frymark polityczny sumieniem, wprawiał ich w osłupienie.

Gorliwsi ewangelicy spotykali się w ulicach, nawzajem badając oczyma, głośno jednak za niczem odzywać się nie śmiano, bo w Saksonji rezonowanie (resonieren), źle było widzianem i surowo wzbronionem. Tu wola panującego była jednym prawem. Dwór i panowie, otaczający Kurfirsta, okazywali radość i cieszyli się zwycięstwem. Saska szlachta przewidywała zmianę stosunków, nieuchronne ofiary, naostatek poświęcenie jej interesom rozległego państwa nowego.

Cisza jakaś głucha, złowroga, ponura, ciężka, przyniatała Saksonję i jej stolicę, a na twarzach Kurfirsta i jej ulubieńców jaśniała radość z otrzymanego zwycięstwa.

Ktoby z dzisiejszego Drezna, a nawet z tego, czem ono było przed pół wiekiem, chciał wnosić o stanie stolicy tej w pierwszych latach panowania Augusta Silnego, omyliłby się wielce. Drezno ówczesne wcale do tego, czem się stać miało za jego czasów, podobnem nie było. To, co później stanowić miało główną jego ozdobę, nie istniało jeszcze.

Dzisiejsze miasto stare, naówczas jeszcze nowem się nazywało i cboć w niem około zamku skupiało się życie, gród ten nowy dość ciasno murami był

objęty. Przedmieścia tylko około niego szeroko się dosyć rozsiadały. Znaczna część ich, szczególnie po nad Elbą, zamieszкана była jeszcze przez Wendów, pierwszych antochtonów i założycieli Drażdan.

W szczupłych dworkach, na sposób serbski budowanych, z podsieniami i rzeźbionemi słupkami, siedzieli tu rybacy, cieśle i rolnicy, uprawiający niezbyt żyzne grunta. Zamek przebudowywany i powiększony, dosyć rozległy, miał powierzchowność niezbyt wdzięczną, pojedyncze tylko części jego, świeżo przyozdobione, okazałej wyglądały, a upodobanie w budownictwie i wystawności zapowiadało, że wkrótce naśladowca Ludwika XIV stworzy tu sobie, odpowiadającą wytwornemu swemu smakowi, rezydencję.

Od zamku idąc ku rynkowi Starym zwanemu, ulica zwana Zamkową, chociaż na owe czasy była dość okazałą, bo ją przyozdabiały starsze, wytworniejsze, od czoła rzeźbami upiękkszzone kamienice, w istocie ciasną była, ciemną, niepozorną.

Bliżej zamku i bramy, noszącej nazwę Jerzego, znaczniejsza część gmachów należała do Kurfirsta i mieściła w sobie osoby do dworu i posług jego należące.

Dalej nieco, ku rynkowi, kamienice były własnością mieszczan tutejszych, posiadłościami od dawna w ich rękach zostającymi. W znaczniejszej części na dole zajmowały je sklepy, handle kupców, sposobem ówczesnym skromnie i bez żadnego starania o elegancją, urządzone.

Każde prawie z tych domostw nosiło u wnijscia znak jakiś, odróżniający je, po którem rozeznąć się dawało. Najczęściej godła te służyły razem za rodzaj szyldów handlu, który się tu mieścił od lat dawnych. Były to okręty, dzwony, wagi, nożyce postrzygaczy, podkowy kowalów i liczne zwierzęta.

Nie dochodząc do rynku, od zamku po lewej stronie, stał dosyć okazały dom Witków, nad którego bramą przed wieki wyrzeźbione były dwie ryby, cho-

cięż dziś już tu nikt się rybołówstwem nie trudnił i oprócz śledzi, innych tu dostać nie było można.

Na dole, wcale obszerny sklep, zajmował handel towarów wszelkich, wielce urozmaicony, bo w nim i wyroby z żelaza, mosiądzu, cyny, szkła i wytworniejsze zamorskie przyprawy do kuchni i wina rozmaite się znajdowały.

Oprócz tych ryb zapomnianych na froncie, na żelaznym pręcie, wisiało złożone niegdyś grono winne, znacznie już zakopcone i poczerniałe.

Stary Witke uchodził za Niemca, ale wypadkiem jakimś upodobałszy sobie bardzo piękną, ubogą dziewczynę w Budziszynie, między serbami, ożenił się z nią i słowiańską krew do domu wprowadził, która tu nieznacznie wsiąkła.

Wiadomo powszechnie, że słowiańska ludność Saksonji cudem jakimś Opatrzności znamiona narodowości swej przechować potrafiła przez wieki. Zrazu uciskana i prześladowana, z postępem czasu wzgardzona tylko i wysmiewana, przetrwała do dziś dnia, kryjąc się niemal z sobą i wstydząc pochodzenia. Powoli jednak co rok ubywało Słowian, bo wielu ich najzupełniej się germanizowało. Istniały jeszcze prawa, choć zaniebane, ograniczające swobodę tych nieszczęśliwych helotów, wyzwalano się z nich, wybierając na zewnątrz charakter niemiecki, przyswajając język, wyrzekając się obyczaju.

Męczeństwo, którego te apostazje były skutkiem, ciche, zrezygnowane, milczące, bliżej nawet patrzącym na nie ledwie się dostrzedz dawało. Co starsłowiańskiego pozostawało, kryło się i przysłaniało, z obawy, aby wszelki objaw głośniejszy nie rozbudził nowego prześladowania, którego tradycje i pamięć się zachowywała.

Aż do początków dziewiętnastego wieku, Dreźnieńska ludność na przedmieściach, nad Elbą, była jeszcze przeważnie słowiańską. Napływ Niemców później szybko ją zagłuszył, tak, że nabożeństwa po ko-

ściółach z kazaniami i pieśniami serbskimi pozostały dziś jedyną przeszłości pamiątką.

Chodziły głuche wieści, że i Witkowie niegdyś z Wendów pochodzili, temu nawet przypisywali niekórzy, iż stary sobie żony szukał w Budziszynie.

Ale raz przybywszy do Drezna, młoda serbka (imię jej było Marta) musiała do woli męża się stosując i dla stosunków z rodziną jego, zapomnieć starych swych ludowych pieśni, stroju się wyrzec i obyczaju.

Umiała ona i dawniej po niemiecku, a teraz co-dzień się posługiwać zmieszona tym językiem, przyswoiła go sobie, tak, że tylko po małym akcencie poznać było można budziszynską mieszczanę.

Szacunek dla męża sprawił to, że jej pochodzenia nie wyrzucano, ani nawet poznać dawano, iż się go kto domyślał.

Cicha, spokojna, pracowita, skromna, zawsze łagodnie uśmiechnięta i uprzejma, pani Witkowa łatwo sobie wszystkich serca pozyskiwała. Mąż, który w obejściu się z nią przy ludziach, mężką swą wyższość rad okazywał; w domu, gdy pozostali sami, prawie jej był posłusznym i we wszystkim do rady ją wzywał. Małżeństwu temu Bóg dał jednego syna, którego matka kochała, pieściła, czuwała nad nim z niezmordowaną troskliwością.

Żyła tylko nim i dla niego.

A że i ojciec go kochał, chociaż się z czułością dla niego zdradzić nie chciał, utrzymując powagę ojcowską, młody Witke (na chrzcie Zacharjaszem mianowany), wychowanym został z większą starannością i kosztem, niż zwykle mieszczańskie dzieci. Natura go też wyposażyła zdolnościami i energią niepospolitą, a rodzice mieli prawo cieszyć się jedynakiem.

Ojciec przeznaczył go naturalnie na swego następcę, mającego po nim objąć handel, już przez niego powiększony, a w przyszłości jeszcze się rozrosnąć obiecujący. Wychowanie całkiem domowe rozpoczęło



się i skończyło bez szkoły. Na wszelkiego rodzaju nauczycielach nie zbywało młodemu Zacharjaszkowi. Nauka przychodziła mu łatwo, chociaż szczególnego do niej nie objawiał upodobania. Czy to dziedzictwem krwi, czy wpływem wrażeń młodości, chłopak najżywiej, najchętniej zajmował się rzeczami praktycznymi, samem życiem i sprawami powszednimi.

Z tu i owdzie rzuconych słów matka dorozumiewała się w nim ambicji wielkiej, nie ograniczającej się tym stanem, do którego był zrodzony i przeznaczony, ale sięgającej w daleko wyższe sfery.

Nie wielkie oddalenie od zamku, stosunki kupieckie z dworem Kurfirsta, dla którego Witke dostarczał często różnego towaru, obeznali chłopca zawczasu z życiem i obyczajem dworskim, ciekawym był wszystkich tych historyjek, które tłómaczyły nagle podnoszenie się jednych, drugich upadek. Wiedział też bardzo dobrze, iż na saskim jak na innych dworach, najskromniejszego pochodzenia ludzie dobijali się najwyższych stopni.

Ojciec chociaż go od dzieciństwa wtajemniczał i wdrażał do swojego zawodu, dawał mu przy tem dosyć swobody, a że matka jej nie krępowała, miał więc Zacharek dosyć czasu, aby się do czynnego życia, obeznawaniem z niem, przygotować.

Słusznego wzrostu, pięknej postawy, blondyn, z wyrazistemi niebieskiemi oczyma, obdarzony wrodzonym wdziękiem twarzy i ruchów, Zacharek równie jak matka łatwo sobie wszystkich serca zdobywał. Lubiano go powszechnie.

W życiu, jakie prowadził za czasów ojca, miał tyle zajęcia, że się nie mógł nazwać próżniakiem, ale wcale nie był też skrepowany zbytkiem pracy.

Matka go oszczędzała, ojciec się posługiwał tylko do spraw ważniejszych, chcąc go z niemi oswoić. Posługi zresztą przy sklepie i domu było dosyć, a chłopak miał się kim, gdy chciał wyręczyć. Młodość więc schodziła mu bardzo szczęśliwie i swobodnie, a we-

soły jego humor świadczył, że mu na świecie dobrze było. Niezbyt pieszczony, miał jednakże wszystko, czego mógł pożądać.

Myśli jego, pragnienia, wyżej wprawdzie sięgały, ale tego, prócz matki, nikt się nie domyślał. Ojciec w perspektywie, wskazywał mu tylko wzrost domu, rozszerzenie handlu i hurtowne spekulacje na większą skalę. On nie pożądał więcej; chłopakowi może to nie starczyło, uśmiechał się, słuchając.

Stary Witke zamierzał drugi sklep otworzyć na starym mieście za Elbą, marzył też o pomniejszych handlach na prowincji, co wszystko stopniowo, bez wysiłków przyjść miało, ale nie więcej.

Tymczasem odbył w sklepie przy Zamkowej ulicy szedł doskonale. Znano starego Witke, jako bardzo sumiennego w mierze i wadze, dla mniej zamożnych, wyrozumiałego, cisnęli się więc do sklepu ubodzy, a bogatsi chwalili dobór rzeczy i uprzejmość w usługach. W Radzie miejskiej i w cechu swoim, miał też głos znaczący i poważanie.

Zacharjasz liczył już sobie lat przeszło dwadzieścia, gdy nagle pomyślny ten stan rzeczy, śmiercią ojca niespodzianą, został zachwiany.

Zdrów i silny stary Witke, jednego wieczora dostał uderzenia krwi do głowy, postradał mowę, męczył się dni kilka i pomimo starań nadwornego królewskiego lekarza, wkrótce życie zakończył.

Cios to był, jak uderzenie piorunu straszny dla wdowy i syna, ale zostawił rodzinę z zabezpieczoną przyszłością. Wszystko po śmierci jego znalazło się w takim porządku, z przewidywaniem wszelkich wypadków, iż nie pozostawało synowi i wdowie, tylko się do jego wskazówek stosować.

Prowadzenie dalsze interesów pozostawiał synowi razem z matką, dalekiego zaś krewnego, kupca, suknom handlującego w Starym Rynku, Baura, raczej doradcą niż opiekunem naznaczył. Baur w równym wieku z nieboszczykiem, człowiekiem był łagodnego chara-

kteru, powolnym i szanowanym powszechnie, mógł pomódz, a zaszkodzić w żaden sposób nie zdołał. Sta-  
wił się on zaraz w pomoc rodzinie, ale po rozmowie  
z panią Martą i jej synem uznał, że rady jego, mało  
mogli potrzebować, tak byli dobrze przez nieboszczyka  
do prowadzenia handlu wdrożeni. Matka zresztą czu-  
wała nad synem, a Zacharjasz był chłopak stateczny.  
Na środkach zaś do handlu nie zbywało.

Zacharjasz więc wspólnie z matką, objął sklep,  
a że przywykły był i dawniej często ojca zastępować,  
trudności nie znalazł w niczem. Zostało wszystko  
w dawnym porządku, sercom tylko brakło pocziwe-  
go, starego ojca, którego cień i wspomnienie zdawały  
się nad rodziną ulatywać.

Matka modliła się i płakała, a Zacharjasz zmu-  
szony teraz wchodzić w szczegóły, rozpatrywać się  
w pozostałości, w papierach, regestrach i notatkach,  
powoli zaczął tworzyć plany i zamierzał szersze so-  
bie pole czynności otworzyć. Miał wiele ambicji,  
którą wprzód hamował w sobie, teraz uzyskawszy  
zupełną swobodę, dał jej brać nad sobą górę.

Matka, jak się dorozumieć łatwo, nie sprzeciwiała  
mu się w niczem. Radziła oględność, przypominała  
nieboszczyka, ale zgadzała się na wszystko, czego  
nukochany syn mógł zapragnąć.

Zacharkowi rozmarzonemu coraz być zaczynało  
ciaśniej na zamkowej ulicy.

Wieczorami, gdy po zamknięciu handlu, przycho-  
dził na górę do pani matki, zasiadając z nią i star-  
szym pomocnikiem do wieczerzy, wyrывały mu się  
rozmaito śmiałe pomysły; ale dopiero gdy sam na  
sam z panią Martą pozostał, zwierzał się jej otwarcie  
z tego, co mu się po głowie snuło.

Były to jakby marzenia, z których się ona uśmie-  
chała, nieprzywiązując do nich zbytnej wagi.

Jeszcze przed elekcją Kurfirsta królem polskim,  
gdy się starania o koronę zasnuwały, do Fleminga  
przybywać zaczęli polacy, senatorowie świeccy i du-



chowni, pan Przebédowski, szwagier jego i ci, których ów dla saskiego kandydata potrafił pozyskać.

Pierwszy może raz postrzeżono gęściej się przesuwające stroje wschód przypominające, krzywe szable, wygolone głowy, zawiesziste wąsy sarmackie.

Ludzie w ulicach stawali ciekawie się im przypatrzyć, a że mało kto z tych przybyszów po niemiecku się mógł rozmówić, dodawać im musiano przewodników i tłumaczyów... Inni z sobą przywozili izraelitów w długich czarnych żupanach i aksamitnych czapczkach na głowie, którzy im połamaną niemczyzną posługiwali.

Im mocniej się utwierdzała wieść o tem, że Fryderyk August w Polsce też panować będzie, a dwa te kraje pod jednym berłem połączone zostaną, tem Polska więcej wszystkich umysły zajmowała.

Młody Witke posłyszawszy w ulicy po polsku z sobą mówiących dworzan Przebédowskiego, z pomocą serbskiej macierzystej mowy, potrosze ich rozumiał... Mocno go to poruszyło, myśli dziwne przewinęły się po głowie.

Krył się on z tem, jak wszyscy, którzy krew słowiańską mieli w sobie, że się do niej poczuwał... Winiem to był matce, która, w największej tajemnicy przed ojcem, nauczyla go swoich dziadów i pradziadów języka. Miała to sobie za obowiązek, który w jej pojęciu równał się religijnym. Jak Boga przodków, tak ich mowy zapierać się nie godziło w jej przekonaniu... Zdawało się biednej matce, że dziecko nie byłoby jej dzieckiem, gdyby z niem tą mowę nie mogła szeptać choć po cichu. Walczyła więc. Nie łatwo jej przyszło utaić to przed mężem, dziecko nauczyć zachowywać tajemnicę, ale spełniała to, co po niej wymagało sumienie. Zacharek mówił po serbsku...

Nawykły jednak uważać się za Niemca, nie miał miłości dla swoich współbraci, uchodził za Niemca czystej krwi, wstydził się biednego pochodzenia od plemienia podbitego i niewolniczego. Tylko poszano-

wanie dla matki, chęć przypodobania się jej, skłaniały go do serbszczyzny.

Nikt też oprócz matki i jej krewnych, nie słyszał go nigdy mówiącego tym językiem, a przy ludziach matkę nawet zagadywał po niemiecku... Wieczorami do niej przychodził na te rozmowy, zasiadali naówczas ona przy kołowrotku, on oparty na stole za kuflem piwa i gwarzyli... Starej jejmości sprawiało to rozkosz niewypowiedzianą, która z twarzy jej promieniała.

Dnia tego, gdy po raz pierwszy usłyszał polską mowę w ulicy, wieczorem z twarzą niezwykle wypogodzoną, wbiegł do matki, która na niego z podwieczorkiem oczekiwała.

Rozmowa, obyczajem powszednim, poczęła się od sprawozdania z zajęć codziennych i ważniejszych interesów, ale Zacharek roztargniony był, zamyślał się, ważył coś, zatapiał w jakichś rachubach... Matka zważając go dobrze, zapytała w końcu.

— Co ty, biedaku, masz na głowie?

Chłopak niespokojnie potarł czoło.

— Al matusiu miła—odezwał się—niejedno mam na tej głupiej głowie, ale to co mi się dziś uroiło, ja nie wiem, może o tem i mówić nie warto.

Stara zbliżyła się do niego.

— Al a! — rzekła — tobie się nic uroić nie może, masz nadto rozumu, a niedarmo pewnie chodzisz tak zadumany?

Zacharjasz się uśmiechnął.

— W istocie miałem się wam z czemś zwierzyć—rzekł po cichu, siadając przy matce, na starej posagowej skrzyni malowanej, która stała pod oknem. Była to jedna z tych, które niegdyś skromną staruszkę stanowiły wyprawę.

Pani matka ciekawe oczy w niego wlepiała.

— Wiecie, matusiu—począł—że ta polska mowa, którą dziś słyszałem, tak jest do twojej (nie wyraził się naszej) podobna, że ja ją prawie wszystką rozumieć mogę. Otóż, myśl mi przychodzi, że z tegoby

korzystać można... Otworzy się dla naszego handlu Polska, co krok pośredników będzie potrzeba, aby sasi polaków a polacy sasów rozumieli. I w Warszawie i w Dreźnie ludzi dwujęzycznych zabraknie. Gdybym się ja polskiego nauczył dobrze, co mi przyjdzie z łatwością, mógłbym łatwo polakiem być w Warszawie, niemcem w Dreźnie, albo wedle potrzeby, na przemiany!! Co wy na to?

Oczy mu się śmiały tym pomysłem szczęśliwym, i pomilczawszy chwilę, gdy matka mu nie przerywała ciągnął dalej.

— Sam nawet najjaśniejszy król Kurfirst nasz bez zaufanych pośredników się nie obejdzie. Handel nasz na tem wiele by mógł skorzystać, i ja...

Zawahał się dokończyć i wypowiedzieć całą myśl swoją, wstał, aby się przejść po pokoju. Oczy matki niespokojne poszły za nim.

— Widzisz Zacharek — odezwała się Marta — jak to na dobre wyszło, żem ja cię nauczyła naszej mowy. Nie wiedziałam, że ona jest do polskiej podobna..

Witke palce do ust przyłożył i szepnął.

— Nie trzeba się z tem zdradzać aby i drudzy nie poszli tą samą drogą.

Matka pocałowała go w głowę. Zacharek zadumał się znowu.

— Mam wielką ochotę — dodał — lepiej się w tem rozpatrzyć... no, i może potem polaczka jakiego sobie namówić, aby się od niego prędko nauczyć mówić doskonale po polsku. Mnie języki przychodzą łatwo, tylko nie z gramatyki ale z rozmowy. Gdy się nauczę po polsku, da mi to pewną wyższość nad innymi Niemcami, któż wie? może się tym sposobem i do dworu dostanę.

Matce twarz się zachmurzyła jakąś troską, powolnie złożyła ręce.

— Al dziecko moje — szepnęła z obawą — do dworu nie życzyłabym się cisnąć... Lepiej daleko

stać od niego... Wiele tam wprowadzić zyskać można ale i wszystko utracić.

Zacharek z wyrazem odwagi potrząsnął głową.

— Al—zawołał—kto nie nie waży, ten nie niemal!

— A czegoż my się tak znowu dobijać mamy! — przerwała matka — albo niedosyć pracowite nam zostawiło ojczysko?

Milczący popatrzył na nią syn.

— Nie zbywa nam na niczem—odezwał się—to pewna. Majątek się powiększa i rośnie, ale dla czegożby nie korzystać z tego i nie starać się o więcej jeszcze? Bogactwo daje możność czynienia wiele dobrego, ja go dla siebie nie potrzebuję, ale chcę mi się wyżej! wyżej!

Matka westchnęła.

— Wiem ja to dobrze — powoli mówić zaczęła — że majątek nas mieszczan pokornych wyzwala i podnosi. Nie jednego bogatego uszlacheono, nie jeden urząd dostał na dworze, ale dziecko moje... policz no tych, co wyniosłszy się, z wysoka pospadali. Alboż nam nie dosyć, tak jak jest.

Zacharek ręką zamachnął tylko i zamilkł, ale po grze jego fizjognomji widać było, że natrętnie myśli co go oblegały, nie opuściły.

Dnia tego nie mówili już więcej o śmiałych marnościach, matce jednak parę słów syna, mocno w pamięci i w sercu utkwilo. Znała ona wytrwałą naturę Zacharka, który nie łatwo co przedsiębrał, ale raz co poczynawszy, nie rzucił chętnie.

Przez cały następny dzień chodziła pani Marta około swojego gospodarstwa, jak zwykle; ale głowę miała pełną tego, do czego syn się jej przyznał wczoraj. Wielka obawa o przyszłość ją ogarniała.

Nikt naówczas prawie w Saksonji nie znał bliżej Polski, jej stanu i obyczaju: jedni głosili kraj ten niezmiernie rozległym i bogatym, drudzy na wpół barbarzyńskim.

Dźwięki jęzeka, podobnego do serbskiego, pociąg-

gały panią Martę ku polakom, czuła w nich braci, ale powierzchowność butna i zuchwała odstręczała.

Stara wolała zresztą dla syna spokojny handel w domu na własnych śmieciakach, niż rzucanie się na śmiałe przedsiębiorstwa, których skutków przewidywać było trudno.

Nazajutrz wieczorem zeszli się znowu, Zacharek przywitał matkę, bardziej jeszcze ożywiony i wesół, śmiało mu się młode lice.

W istocie raz powzięta myśl coraz się w nim dalej rozsnuwała. Utwierdzał się w przekonaniu, że Kurfirst w stosunkach z krajem nowym ludzi potrzebować będzie; czuł się usposobionym do tych posług, niecierpliwy postarał się już nawet o starą książczynę, wydaną we Wrocławiu dla szlżaków, co się dla handlu z Polską, języka jejńczyć chcieli. Niebezpieczeństwa, o których wczoraj napomknęła matka, niezraziły go wcale. Przy wieczerzy Marta sama zagaiła o tem znowu, rozpytując, co postanowił i czy co obmyślił nowego.

— Widziałeś się z kim?—zapytała.

— O! ja! — rzekł śmiejąc się kupiec — gdy mam co na sercu, czasu nie tracę, trwam w tem mateczko kochana, aby coś począć i to nieodkładając, bo kto inny ubiedz może. Chodziłem do domu Fleminga odnowić tam znajomości i zetknąć się z polakami, którzy z jego siostrą, czy też krewną, przybyli. Tak ci jest, jak przewidywałem, polacy chodzą jak błęćni, potrzebują przystani i pośredników. My też nie wiemy jak do nich przystąpić... Oni naszego Drezna, my Warszawy ich nie znamy, ani Krakowa. Pierwszy co zawiąże bliższe stosunki, i jaśniej się rozpatrzy w Polsce, może u Kurfirsta pozyskać wzięcie i wpływy. Na co mają korzystać sami tylko *Hofjuden*? (Żydzi dworu).

(Tak zwano naówczas bankierów izraelitów, którzy Kurfirstowi dostarczali pieniędzy).

— A — przerwała matka — czyż byś ty im miał



zazdrościć. Po co nam cisnąć się do dworu? Szanuję ja i cześć naszego pana Kurfirsta, ale mi się zdaje, że nam, ludziom kupieckiego stanu, napierać się na zamek, do panów, niebezpieczna rzecz. Więcej się tam naraża niż zyskuje. Myśmy do tego nie stworzeni.

Ojciec twóci, moje dziecko, pilnował handlu swojego, dozierał miary i wagi, starał się o towar świeży, ale do dworu nie cisnął się, rad go nawet unikał. Po co ty masz nowych dróg szukać?

Staruszka zamilczała chwilę wpatrując się w syna, który zadumany nic jej nie odpowiedział: a potem ciągnęła dalej.

— Ja się Kurfirsta obawiam; nie dla tego, że podkowy łamie jak sucharki, srebrne kubki gniecie, jak papier w garści i koniom jednym zamachem łhy ścina, ale że dla niego ludzie są narzędziami tylko, których ów nie pożałuje... Wolno mu pewnie więcej niż innym, my w jego czynności wdawać się nie mamy prawa, ale młodość z niego jeszcze nie wykipiała...

Musiałeś słyszeć, co dokazuje po jarmarkach w Lipsku, na wodach, w Karolowych warach, ile za sobą miłośnic wozu, jak sypie pieniędzmi, przepych i zbytki lubi, jakimi się ludźmi otacza, jak się z niemi obchodzi, gdy mu się sprzeciwią, lub naprzykrzą. Z tych, co nie dawno bawili z nim na zamku, nie jeden dziś w Königsteinie. Po cóż dostatniemu, spokojnemu, jak ty człowiekowi, narażać się, gdy zysk niepewny, a strata i życia i swobody może kosztować?

Westchnęła pani Marta. Syn ją w ramię pocałował.

— Posłuchajcież mnie, matnś—odezwał się—bo ja też, choć nie sam, to przez ludzi znam Kurfirsta, lepiej, niż ty z plotek miejskich. Prawda to, że płochy jest, krew w nim gorąca i nieczego sobie nie odmawia, ale właśnie takiemu panu służyć pilno, kiedy mu się czego zachce, w dobrą godzinę najwięcej zarobić można.

— A na cóż ty służyć masz—przerwała matka—kiedy sam sobie panem, nikomu się nie kłaniając, być możesz?

— Na co?—podechwycił, śmiejąc się Zacharek —oto dla tego, że wielką ambicję mam! Nie tylko zysku pragnę, ale wydobycia się z tego stanu naszego mieszczańskiego, w którym my niewiele więcej znaczymy od prostego chłopca.

Matka posmutniała.

— Ojciec twój przecież, dziad i pradziad, mieszczanami i kupcami byli tylko i nie gorzej im z tem się wiodło—poczęła łagodnie. — Z ogniem igrać niebezpiecznie. Gdzie wiele zarobić można, tam też stracić, nawet życie. I ty to pewnie słyszałeś, co o Kurfirście mówią, że gdy mu się kto w najmniejszej rzeczy narazi, nie przebaczy mu i choć się dziś uśmiecha, jutro gotów zamknąć lub sprzątnąć. Młody, gorący, krew w nim gra. Straszny on jest... a! straszny.

Zacharek słuchał, ale nie przestraszony wcale, uśmiechał się.

— Wszystko ja to wiem—rzekł—ale rozumny człowiek silniejszemu od siebie się naraża, służy mu... właśnie około takiego pana, który gorące fantazje ma, najłatwiej się czegoś dorobić. Zresztą—dodał—bądźcie, matuś spokojni... nie pomacawszy dobrze gruntu, kroku jednego nie postawię... Tymczasem to pewna rzecz, a niczem nie grożąca, że między nami, a polakami potrzeba jakiegoś łącznika, pośredników... Ja się na takiego chcę koniecznie usposobić.

Znajdę, spodziewam się, polaka, który mnie języka uczyć będzie, choćby rozmową i czytaniem. Pojadę potem zobaczyć Warszawę i Kraków, spróbuję czy tam gdzie sklepu by otworzyć nie należało; a ze sklepu zrobić taką przystań, do którejby z obu stron przyływano dla wymiany...

Mówił to Zacharek wesoło, energicznie, a tak pe-

wien siebie, że ufającą mu matkę nie tylko uspokoił, ale ją niemal na swą stronę pozyskał.

— Al—rzekła w końcu, z pokorną rezygnacją niewieścią—tyś mężczyzna. Znasz i wiesz lepiej co czynić przysłało. Czujesz się na siłach, ja ci się nie sprzeciwię pewnie. Proszę tylko, ostrożnym bądź, nie posuwać się zbyt zuchwale.

Pomilczawszy nieco, mówiła dalej, głos zniżając.

— Wiesz o tem, że rodzice moi katolikami byli. Ojciec twój też mi pozwolił zostać przy mojej wierze.... bo ja się jej dla niego wyrzec nie mogłam. Chciał tylko, ażebyś ty wyznawał jego religiję, a ja na to musiałam przystać. Wiesz, że ja sobie po cichu chodzę do naszej kapliczki, gdzie przy drzwiach zamkniętych, ksiądz nam mszę odprawia, ty się modlisz w kościele Krzyża (Kreuz-Kirche). Nie mówimy nawet o tem nigdy...

Kurfirst, zostając katolikiem, bo wszyscy powiadają, że nim już jest, przeszedł na moją wiarę, prawda i jabym się z tego cieszyć powinna... otóż ja ci powiem, że mnie się to płachością wydaje, bo religii, tak jak sukni, zmieniać się nie godzi.

Zacharek się zmarszczył nieco.

— El el—przerwał kwaśno—to jego rzecz! my go sądzić nie powinniśmy.

— Ja też go nie sądzę—dokończyła stara—tylko przestrzegam cię, że kto z Bogiem sobie tak lekko poczyna, cóż dopiero z ludźmi, gdy mu kto zawadzać będzie?

— A po cóż mu stawać na zawadzie? — odparł Zacharjasz. — Właśnie na tem cała sztuka, aby nie zawadą być, ale pomocą, bez którejby się obejść trudno.

Staruszka zamilkła. Po chwili dopiero rzuciła pytanie:

— Al zkądże tobie ta ochota? zkąd myśli ci te przyszły.



— Zkąd—odparł wesoło Zacharek.—Z ciebie, matusiu! Gdybyś ty mnie po serbsku nie uczyła, a jam polskiego języka nie rozumiał posłyszawszy go, nigdy bym pewnie nie zamarzył o tem. Twoja to więc sprawa... Umiejętność twojego języka, ułatwia mi bardzo naukę polskiego, a gdy tym zawładnę, to bezemnie się obejdą, hol ho!

Z pewną obawą, ale zarazem z uwielbieniem dla syna, matka słuchała, zjadała go oczyma.

Zacharek zbliżył się i w ramię ją pocałował.

— Matusiu—zakończył—bądź spokojną, a o tem ani słowa nikomu. Ja bez rozwagi kroku nie stąpię, za to ci ręczę.

Przez parę dni potem, pomiędzy matką a synem, prawie już o tem mowy nie było.

Pani Małta uważała, że Zacharek ciągle był bardzo czynny, kilka razy w ciągu dnia, ze sklepu na miasto wychodził, zostawiając go starszemu pomocnikowi i dłużej tam bawił niż zwykle.

Jednego wieczoru wreszcie, do komórki przy sklepie, w której Zacharek zwykł był odpoczywać i poufałych swych zapraszać gości, na kubek wina; przyprowadził z sobą, nigdy tu jeszcze nie widywanego człowieka, którego powierzchowność i strój, jako polaka zdradzały.

Starej Marcie, przed której oczyma się gość ten przesunął, często bardzo szczęśliwej w poznawaniu i ocenianiu ludzi, przybysz się nie podobał wcale.

Słusznego bardzo wzrostu, chudy i kościsty, z rękami i stopami olbrzymiemi, pomimo młodych lat — przygarbiony, z twarzą żółtą i długą, z głową śpiczastą, okrytą brunatnym, krótko postrzyżonym włosiem, ubrany w suknię czarną, bez szabli u boku, gość miał wyraz twarzy jakiś przestraszony. Niewielkie jego oczki, ukradkiem biegały dokoła, starając się, aby ich nie pochwyciono; w ustach krył się śmiech dziwny, albo raczej wykrzywienie, którego wyrazu trudno było się domyśleć. Równie łatwo mogło się

ono w wybuch gniewu, albo szyderstwa zamienić. Chociaż nie zdawał się mieć nad lat trzydzieści, nieznamy czoło miał pofałdowane, policzki pokrajane fałdami grubemi. Z młodości niewiele mu już pozostawało.

Za wprowadzającym go do sklepu, a potem do komórki Zacharjaszem, szedł tak nieśmiało i ostrożnie, jak gdyby lękał się być spostrzeżonym, lub czuł, że się nie powinien tu znajdować.

Witke prowadził go, ożywiony wielce i wesół.

W komórze, posadziwszy go na krześle swem za stołem, Zacharjasz zawrócił do sklepu, aby kazać podać wina i natychmiast, wydawszy rozkazy powrócił, przy gościu zasiadając na ławie.

Przybyły nie tracąc czasu, z niezmierną ciekawością, rozpatrywał się po kątach, jakby do najtajniejszych głębin ich chciał przewiknąć, najdrobniejszy przedmiot nie uszedł jego uwagi.

Rozmowa nie rozpoczęła się, aż gdy chłopak sklepowy, w fartuszk, przyniósł na tacy drewnianej, butelki z winem i kubki. Gospodarz zaraz je ponalewał i począł od potracenia się z gościem.

— Zdrowie wasze i wszystkich panów polaków miłych naszych przyjaciół i sprzyńczerzeńców — odezwał się wesół. — No? jakże się wam u nas podoba.

Zacharjasz mówił po niemiecku, przybyły słuchał z uwagą natężoną, jakby nie bardzo łatwo zrozumieć było, a gdy przyszło do odpowiedzi, zrazu się zająknął, trwożnym wzrokiem obiegłszy komórkę.

— Jakżeby się podobać nie miało? — odparł powolnie, osobliwą niemieczyzną, której każdego wyrazu zdawał się szukać z wysileniem i niemiłą trudnością. — Dwór naszego przyszłego króla, a waszego Kuifirsta J. Mości, prawdziwie królewski, w mieście widać dostatek... wesół wszędzie, zabawy ciągle. Jakżeby się podobać nie miało? — powtórzył raz jeszcze. — Tu tylko żyć.

— A u was tam, jak—zapytał Zacharjasz.

— U nas—mówił polak—nie wiadomo jeszcze jak będzie, bo co król, to inaczej bywa... Tymczasem po bezkrólewiu hałaśliwym, mamy królów aż dwu.

Uśmiechnął się krzywo.

— Ale z francuza nie będzie nic — dodał po namyśle.

Witke ostrożnie na handel rozmowę nawrócił.

— Jawna to rzecz—odezwał się — że teraz, gdy się Kurfirst utrzyma, pomiędzy naszą a waszą stolicą, stosunki i handel ożywić się musi, czego dotąd nie bywało. My wam Szląsk zastąpimy. Z naszych panów wielu, pierwszy Fleming towarzyszyć będzie pewnie Kurfirstowi do Krakowa i Warszawy... Zapotrzebną tego do czego w domu nawykli, nie wszystko się znajdzie może... My więc, kupcy, musimy myśleć zawczasu, jak na to radzić, a przy tem i zarobić na tem, bo wszelakiej pracy zarobek należy.

Gość głową tę argumentacją potwierdził, pilno z kubka sącząc wino, które widocznie mu smakowało.

— Bez języka—mówił dalej kupiec—człowiek jak bez ręki, a tłumaczami się posługiwać nie bardzo wygodnie i nie zawsze bezpiecznie.

Gość, ciągle się zgadzając, pomrukiwał, a oczami biegał dokoła i gdy chłopak o coś pana pytając, drzwi otworzył, wejrzenie, aż wgłąb sklepu sięgnęło.

— Ja—rzekł Zacharjasz—jabym pierwszy rad się waszej nauczył mowy. Mam po temu pomoc niejaką, bo sługi mając serbskie, z Łużyc, potrosze do podobnego języka nawykłem.

Słuchacz zdawał się mocno zdziwiony, jak gdyby po raz pierwszy się o tej mowie serbskiej w Saksonji dowiedział.

— Podobna do polskiej — przerwał żywo, z ciekawością—zmiłujcież się, powiedzcie mi słów kilka.

Witke, jak gdyby się z tem wydać nie chciał, że serbski język doskonale posiadał, niby sobie coś po-

czął przypominać i kilka słów, razem z ich znaczeniem niemieckiem wypowiedział.

W gościu zdumienie się wielkie okazało.

— Cóż to—odparł—na czeską mowę zarywa, ale w istocie bardzo do naszej podobna. Jeżeli z tym językiem jesteście oswojeni, pewnie wam łatwiej, niż innym Niemcom po polsku się przyjdzie nauczyć.

— Mam do tego wielką ochotę — dodał Witke — ale bez nauczyciela obejść się trudno.

Spojrzał mu w oczy. Spotkały się ich wejrzenia, gościowi coś pod powiekami błysnęło, zdradził się niemal tem, że mu radość sprawiało życzenie kupca, którego się domyślał.

— Długo tu myślicie pozostać? — spytał Zacharjasz.

— Ja?—ociągając się, wyjąknął polak, który zdawał się namyślać, jak ma skłamać.—Ja? Prawdziwie niewiem. Pani Przebédowska wzięła mnie tu z sobą dla listów i dla dozoru nad swoim dworem, któż wie jak ona tu zabawi długo? Ja zresztą związany nie jestem, bom sobie wymówił, gdyby mi się co lepszego trafiło.

Witke podumał.

— U pani Przebédowskiej, kondycją mieć musicie dobrą—rzekł chłodno.

Gość znowu namyślał się z odpowiedzią, usta dziwniej jeszcze wykrzywił.

— Miejsce moje, niezgorsze—rzekł—ale ono więcej na przyszłość obiecuje, niż mi teraz daje. Przebédowscy teraz pójdą daleko.

Zająknął się, oczy spuścił i zamilkł.

— Gdybyście tu dłużej pozostać mieli — wtrącił Zacharjasz ośmielony—moglibyście może godzin parę codzień znaleźć dla mnie i być moim nauczycielem. Chcę się nauczyć polskiego języka, dla handlu i to prędko... Darmo tej posługi naturalnie żądać nie chcę, a zapłacić mogę nawet dobrze, bo to mi się powróci...

Gość ochoczo skinął głową... Witke trzeci mu już kubek nalewał.

— Będę was tylko prosił—ciągnął dalej kupiec—aby o tem Indzie nie wiedzieli, że się ja uczę po polsku.

— Mnie też chodzi o to, aby się Przebédowska nie dowiedziała, iż komuś więcej nad nią służę—zamruczał, popijając gość.

— Al—rozśmiał się Witke — nie umiejąc Przebédowskim, teraz wy sobie łatwo znajdziecie miejsce, umiejąc po niemiecku, a Przebédowscy z tego znani, jak Fleming, że skąpi są.

Polak skinął potwierdzająco, ale ostróżny, mówił nie wiele, może dla tego, że czuł w sobie wino, które mu głowę zawracało.

— Ja, ja—jąkał się, gdy kupiec zamilkł—nie sądzę, abym się na wieki klamki Przebédowskich trzymał. Człowiek musi o sobie pamiętać, bo drudzy o nim nie pomyślą. Ja jestem sierotą, panem sobie i sługą. Jako szlachcic ubogi, nie miałem dla siebie drogi innej, tylko wdziać duchowną sukienkę.

To mówiąc, potrząsnął połamami długiego swego czarnego okrycia, jakby mu ono ciążyło.

— Ale drzwi się jeszcze za mną nie zamknęły, mogę gdy zechcę na świat powrócić. Mam do wyboru skierować się, dokąd mi wygodniej zda się, szukam, rozmyślam, próbuję. Tymczasem potrzebowali Przebédowscy amanuenta... przystałem do nich, aby coś zrobić... nie jestem związany, nie...

Witke postrzegł z mowy, że stare wino wytrawne, działało.

— Płacą wam przecie?—odezwał się, mierząc go oczyma.

Gość rozśmiał się i ramionami poruszył.

— Płacą, płacą—począł mrużyć szydersko—jużci coś płacą! Dostanę podarek o Nowym Roku, sprawiają mi suknie, czasem pod dobry humor skąpego

pana coś się niespodzianego oberwie... Mam czas się rozpatrzyć... mam okazję się rozsluchać.

Splunął i kieliszek wysączywszy, odsunął go, okazując, że ma już dosyć.

Czoło okryło się kroplami potu.

Witke patrzył i słuchał.

— Ja was — rzekł po namyśle — od Przebédowskich odmawiać nie mam zamiaru. Oni was w istocie popchnąć mogą, ale służba ta u nich, to niewola i niczem się prócz nadziei nie opłaca... Rozpatrujcie się...

— Tak ja też czynię — zacierając ręce ogromne, rzekł gość — dotąd nie miałem nic lepszego do wyboru.

Zamilkli oba, Zacharjasz chciał mu dolać jeszcze, oparł się stanowczo; zabierał się już odchodzić, gdy kupiec na stole się oparłszy, pocichu z nim o warunki nauczycielstwa układać się zaczął.

Pan Łukasz Przebor, bo tak się zwał pisarz pani Przebédowskiej, wyszedł ztąd w pół godziny potem, dobrze podchmielony, uśmiechając się do siebie i brzydko wykrzywiając usta.

— A to mu pilno temu niemcowi — mówił w duchu — cheiwy na grosz, jak oni wszyscy... Poszedł nasz język w cenę! Ktoby się spodziewał, pan Łukasz z tego skorzysta.

---

## II.

Ranek był wczesny. Wczorajszego wieczoru Kurfirst wielce zamyślony przy zwykłej zabawie i kielichach, przeciwko zwyczajowi swojemu nie okazywał wesołości i dowcipami współbiesiadników, ani winem



z zadumy się nie dawał wyrwać. Po kilkakroć na bok się usuwał z ulubieńcem swym pułkownikiem Flemingiem i baronem von Rose.

Wcześniej niż zwykle nazajutrz, Fleming znajdował się już w gabinecie do sypialni Kurfirsta przyległym.

Jak wszystko co otaczało, przepych i wystawę lubiącego Fryderyka Augusta, gabinet ten, także odznaczał się wytwornością sprzętów obicia i ozdób, rzucających się w oczy. Na siedzeniach świeciło złoto, błyskało na obiciach, na gzemsach, a kobierce nawet, któremi posadzka była w części wysłana, złotem niemi przetykane były. W wygodnem, szerokiem krześle, na wpół ubrany, siedział ręką na stole oparty, nowo obrany król polski i dziwnie to odbijało od przepychu i elegancji okalającej, palił fajkę krótką, puszczać gęste dymu kłęby.

Postać to była uderzająco pańska i piękna, że wszędzie na siebie oczy zwrócić by musiała. Średniego wzrostu, nadzwyczaj kształtnie zbudowany, z oczyma i włosami ciemnymi, z niby wdzięcznie się uśmiechającymi, August był może w Saksonji, gdzie na pięknych mężczyznach nie zbywało, najpiękniejszym z nich wszystkich. Wprzód, nim los go obdarzył koroną, zgadzali się na to wszyscy, iż powierzchowność miał królewską.

Porównywano go już naówczas z Ludwikiem XIV, chociaż majestatyczna ta powierzchowność, powaga i nrok, który ją łagodził, miały charakter sobie właściwy. Ci co dłużej i ponżej z nim obcowali, wiedzieli, że one były w części znacznej, owocem wielkiego panowania nad sobą, gdyż ten sam Kurfirst w kółku swych przyjaciół, po obficie spełnionych puharach, do których mało kto mu mógł dotrzymać, zmieniał się zupełnie i stawał się do szaleństwa wesółym i swobodnym biesiadnikiem. I wówczas jednak, ktoby sobie z nim nadto pozwoił, znalazł groźnego lwa, którego brwi ściągnięte, trwogę wrażały.

Pospolicie jednak, August wesołość lubił, nią się otaczał, rozmowie żartobliwy ton nadawał i nią szczególnie myśli swe poważniejsze osłaniał...

Wyjaśnione jego, wspaniałe i miłe niemal zalotnie uśmiechające się oblicze, było maską pokrywającą starannie wyraz, jakoby twarz przybrać musiała, odbijając istotne swe wrażenia, ukrywane przed światem.

Ci co go znali, wiedzieli, że i uprzejmość i wesołość najczęściej zwodniczymi objawami były. Okazywana czułość niekiedy nabawiała strachem, oznajmując nadciągającą burdę, a głośny śmiech zastępował gniewu wybuchy. Szeptali ci co od młodu przy nim byli, iż fałszywszego nad niego nie znali człowieka, ani też chłodniejszego serca, pomimo słodczy z jaką August wszystkich witał i zapewnień łaski, któremi hojnie obdarzał.

Silny jak lew, jak ten król pustyni był niebezpiecznym, a gdy co się niewiele razy w jego życiu tafiało, namiętności cugle puścił, dochodził do zapamiętałości bez granic.

Patrząc jednak na niego w zwykłych życia godzinach, niktby się nie mógł ani domyśleć pod słodczy pełnym wyrazem twarzy, lodowatej obojętności i przerażającego egoizmu... W ciemnych oczach przysłoniętych wdzięcznie powiekami, nadającemi mu wyraz tajemniczy. Wszystko w nim było wyrobione i sztuczne, lecz tak się już stała komedia naturą, że tylko wtajemniczeni w nią, świadomemi byli zamkniętego na siedmi pieczęci wnętrza.

Stojący przed Kurfirstem w tej chwili pułkownik Fleming, właśnie do nich należał. Od niebardzo dawna ze służby pruskiej przesadzony na dwór Augusta, szlachcic pomorski, synowiec feldmarszałka, pomiędzy poufalemi, między przyjaciółmi zajmował najpierwsze miejsce. Zazdrościli mu go wszyscy, nikt sobie tego wytłumaczyć nie umiał.

Małego wzrostu, ale dumnej, energicznej fizjognomji, i postawy, uderzał jednym tylko, zuchwałym



wyrazem, butą i gwałtownymi ruchy, a pogardliwem lekceważeniem, jakie wszystkim (rozumie się oprócz pana) okazywał. Względem niego nawet śmiałym był niekiedy i niepohamowanie szorstkim. W stroju tem się tylko odznaczał, że powszechnie naówczas używanej peruki nosić niechciał i włosy własne niedbale związane z tyłu znajdował dogodniejszemi, o modę się nie troszcząc. Nie szpeciło go to, gdyż twarz, choć ją wykrzywił, rysy miała delikatne i dosyć piękne...

Po krótkiem przywitaniu, Kurfirst się wpatrzył w przyjaciela i pomilczawszy odezwał się.

— A zatem, elekcja dokonana, miljony wysypane, początek zrobiony, Kurfirst będzie się królem nazywał, ale co dalej? Nie sędzę abyś ty widział w tem *metam laborum* i cel ostateczny?

Gwałtownie rzucił ramionami Fleming.

— Spodziewam się, że mnie oto Wasza K. Mość nie posądzasz, głosem rzeźkim — odparł pułkownik, nacisk kładąc na tytuł królewskiej mości.

— Dajże pokój tytułom, słyszysz — przerwał August — po dawnemu, chcę cię mieć przyjacielem i bratem...

Sklonił się żywo i wyprostował Fleming.

— Sądziysz, że się utrzymamy przeciwko Francji i Contistom? — zapytał Kurfirst.

— O tem niema co mówić — zamruczał pułkownik. — Postawiliśmy krok, cofać się nie pora... francuskie mówi przysłowie: wino utoczone, wypić je potrzeba.

Rozśmiał się August.

— Tego вина starczy nam na długo, mój Henryku — odezwał się z czułością i serdeczną poufalością — mówmy o tem, z tobą jednym otwarcie, całkiem szczerze mówić mogę... Koronę Polską zdobyć było .. pieniędzmi, przy twoich stosunkach, nie zbyt trudno, ale to celem dla mnie nie jest. Tytuł królewski? fraszka... Korzyści z tego nabycia... wątpliwe, idzie o to, ażeby Kurfirst saski... dokazał tego, czego przyjaciele jego Habsburgi, kilka wieków pracując, nie mo-

gli doprowadzić do skutku... Chciało się im jak Wę-  
gry i Czechy pochłonać rzeczpospolitą... jeszcze dziś  
oczy mają w nią wlepione... no, Fleming, a my?...

— My? będziemy szczęśliwsi, spodziewam się, bo  
już trzymamy cugle w ręku — rzekł pułkownik — na  
siodło skoczyć będzie łatwo...

— I utrzymać się na niem i tego rumaka czy  
znarowioną szkapę zaprowadzić do naszej stajni —  
śmiejąc się mówił Kurfirst. — Ale ty mnie rozumiesz!

— Odgaduję i rozumiem — wtrącił pułkownik. —  
Zadanie to godne was...

Oczy zajaśniały Kurfirstowi.

— Wiesz, że Habsburgów szanuję, kocham i sprzy-  
jam im — mówił dalej — że dom cesarski w wielkiej  
mam estymie, ale trudno, ustąpić mu tej gratki, kie-  
dy się ona sama nastęcza. Mieli czas... próbowali,  
nie potrafili nic... kolej na mnie... Rzeczpospolitą tę  
z jej niedorzeczными wolnościami raz potrzeba z grun-  
tu na państwo dziedziczne przerobić, i uporządkować...  
Nieład tam panuje taki, jakiegom sobie mógł życzyć...  
Sądzę, że godzina wybiła, i że mnie jest przeznaczo-  
nem.

Sluchając milczał Fleming. W tem Kurfirst się  
zaciął i wtrącił: — Cóż ty na to...

— Przeciwno temu niemam nic — odparł zwolna  
przyjaciel — ale to sobie z góry powiedzieć potrzeba,  
że cesarz, który nam przyjacielsko się obiecuje być  
pomocnym, że Kurfirst Brandeburski, nie licząc in-  
nych... pomagać do tego pewno nie będą.

— O! nie — zawołał August — bo sami na ten ką-  
sek zęby ostrzyli, ale...

Spojrzeni w oczy sobie i rozśmiali się oba... August  
rękę wyciągnął...

— Ty mnie rozumiesz, mówmy więc o tem, mów-  
my... potrzebuję kogoś z kimbym wszystko to mógł  
roztrząsać. Ty znasz Polskę.

Twarz Fleminga, który do powolnego rozprawia-  
nia nie był nawykły i daleko więcej do czynu, niż

do słowa czuł się stworzonym, a zwykle krótko i stanowczo tylko wypadkiem swych myśli się dzielił, zasępiała się nieco. August wymagał od niego tego właśnie, co mu najtrudniej przychodziło. Żywy temperament, usposobienie, nawyknienie czyniły mu długie roztrząsania trudnemi. Pojmował żywo i natychmiast zwykł był pieczętować nieodwołalnym wnioskiem nakazująco rzucałym. August to znał, ale tym razem własne swe myśli chciał na kimś wypróbować, a nie miał nikogo zaufanego oprócz Fleminga... Nikomu w świecie, oprócz niego zwierzyć by się z nich, a nawet do nich przyznać nie ważył.. Były to, wielkie jego tajemnice, którychby w oczy zdradzać przedwcześnie się nie godziło.

Na zapytanie to—Ty znasz Polskę? Fleming niecierpliwem głowy poruszeniem odpowiedział.

— My ją wszyscy znamy — wybuchnął nagle — i nikt jej nie zna. Trzeba się w niej urodzić i żyć, aby ją rozumieć.

Rzucił ramionami Fleming.

— Przez moje familijne stosunki—rzekł—i przez moją kuzynkę kasztelanową nauczyłem się nieco znać polaków... Zdaje mi się, że z nimi wszystko zrobić można, ale umieć potrzeba...

Kurfirst milcząco na stole ukazał liczenie pieniędzy... dając do zrozumienia, iż niemi najskuteczniej było poczynać.

— To jest środek powszechny — odparł pułkownik—ale nie wszystkich w Polsce ująć można pieniędźmi. Wszędzie są tu ludzie przekupni... ale tu oprócz złota, trzeba rozumu i przebiegłości... Grać jak w szachy z tymi panami i z ich swobodami, o które są tak zazdrośni.

Szydersko się uśmiechnął August na wzmiankę o swobodach, Fleming też pogardliwie się skrzywił.

— Wysypać miljony — rzekł cicho król — ażeby mieć przyjemność elekcyjną nosić koronę, której po

sobie przekazać nie można... gra nie warta świecy. Ty wiesz co ja zamierzam na wschodzie Europy zbudować nowe, silne państwo, łącząc do mojej Saksonji dziedzicznej, nową dziedziczną Polskę.

Na wpół rozwinięta karta Europy leżała na stole, żywym ręki ruchem, August ją rozłożył szeroko i palcem wskazał Flemingowi wschodnie jej granice, a potem zachodnią część, Szląsk i Saksonję. Patrząc na ogromną przestrzeń krajami temi zajętą uśmiechał się.

Fleming się zbliżył do stołu...

— W każdym razie całością nie potraficie zawładnąć—szepnął.—Brandenburgskiego okupić będzie potrzeba...

— Królewskim tytułem—wtrącił August.

— Oh! oh! on się nim nie zaspokoi—mówił cicho, urywanemi słowy pułkownik—terytoryalne ustępstwa staną się koniecznością.

— Bodajby—rzekł król—jest z czego choćby dwa królestwa wykroić.

— A car zażąda także uregulowania granic—dodał Fleming.

— Ja na to rachuję—potwierdził król—patrzaj co pozostaje...

— Sądziecie, że cesarz przy tej zręczności nie spróbuje także coś zyskać?—odezwał się pułkownik.

— Cesarz?—rzekł August—nie może pożądać nic, jesteśmy z nim dobrze, sprzyja mi, a wie, że pomagając zyskuje sprzymierzeńca przeciwko Francyi, który go ludźmi i werbunkiem posilkować może...

— Na tem jeszcze nie koniec—mówił Fleming—od Turcyi potrzeba odzyskać Kamieniec, oderwać Moldawię i Wołoszczyznę...

— Na dziś! dosyć! — śmiejąc się wtrącił żywo król — rzucając mapę, która się zwinęła w trąbkę i stoczyła na ziemię. Fleming pośpieszył ją podnieść.

— Gdybym wierzył w przepowiednię — szepnął król—byłby to zły *omen*. Oba ruszyli ramionami.

Flemingowi widocznie przykrzyły się długie roz-

prawy, podniósł oczy ku panu swemu, który stał już zadumany.

— Wszystko to — dodał — nie może się zdobyć jednym zamachem. Stopniami powoli trzeba, naprzód dostać się we wnętrności Polski i tu rozpocząć działanie. Mamy wojsko, będziemy mieć pieniądze.

— Czarne bractwo — szepnął król — ofiaruje nam je... na zastaw klejnotów... na jego też pomoc liczyć musimy...

Pułkownik zdawał się już nie chceć słuchać, potrząsał głową.

— Wszystko to ja tak dobrze wiem jak wy — przerwał żywo — tymczasem co najbliższe, co najpilniejsze ułatwić trzeba... Wojsko nasze wprowadzić w granice Rzeczypospolitej, na żadne nie zważając hałasy, krzyki i protestacje... Koronację dopełnić.

— Conti przybędzie pewnie — odezwał się król — odegnąć go leży także w programie... Prymasa zjednać... Sobieskich się pozbyć... Warszawę zająć. — Mówiąc to August coraz ciszej, zadumał się głęboko, głos mu zamarł na ustach... Fleming patrzył na niego badająco.

— Zapisz sobie i to — rzekł — poufale pochylając się ku niemu, aby nikt w plany te wtajemniczonym nie był... Dosyć jest je ogłosić, a nawet tylko się dać dorożumiewać, aby one wniwecz poszły... Ja się ścian lękam i murów, aby nas nie podsłuchały i nie zdradziły... Gdy się raz rozniesie w Polskę, iż nowy król, dąży do *absolutum dominium*, nie będziemy mieli spokoju... Posądzali o to wszystkich...

Nastąpiło milczenie, porozumienie było zupełne, nie mieli się z czem zwierzać sobie... August podał rękę przyjacielowi, i krótko zakończył.

— My dwaj, nikt więcej!!

Pułkownik wtrącił żywo.

— Przybył biskup kujawski *incognito* dla porozumienia.

— Przywiózł co nowego?

— Nie, tylko swą gotowość na usługi — rzekł Fleming. — Tymczasem, dosyć mu ją będzie opłacić zapewnieniem Prymacyalnej godności, którą on przywłaszczył.

— Bardzom mu rad—odezwał się król — ale nie dosyć na nim, ma wpływy, dla siebie i dla mnie, powinien się starać kółko naszych w Polsce adherentów powiększać...

-- Zdaje mi się, że kilku ma w kieszeni — odezwał się Fleming.

— Naturalnie, nie darmo—odparł August—przystając na wszystkie warunki, ale trzeba się starać o pieniądze. Księża nam tak rychło ich nie obiecują, tymczasem Saksonia dostarczyć musi... kontrybucye... akcyza... rozumiesz...

— Akcyza! tak! wymyśl dobry—rzekł Fleming.

— Trzeba tylko znaleźć człowieka, któryby go, bądź co bądź, na nic nie zważając przyprowadził w wykonanie — dodał król.—W Saksonii ja szlachty pytać się nie potrzebuję, rozkazuję co chcę... Tak z czasem i w Polsce się urządzić musimy... Szlachtę zaś saską, jeżeliby rezonować chciała, potrzeba w urzędach zastąpić obcemi... System to najlepszy... Cudzoziemcy w usługach moich, na nic się nie potrzebują oglądać. Kraj ich nie obchodzi... nie zależą od niego i nie mu nie są winni, panujący dla nich wszystkim...

Zamaszyste kroki pode drzwiami gabinetu słyszeć się dały, i król umilkł nagle, palce kładąc na ustach. Fleming usunął się w głąb nieco... drzwi otworzyły się i wielce arystokratycznie, pańsko, a dumnie przedstawiający się mężczyzna, lat średnich w progu niskim ukłonem przywitał Kunfirsta i obejrzawszy się lekkim głową skinieniem pułkownika.

Nowy ten przybysz, któremu się uprzejmie, ale z pewnym przymusem August uśmiechnął, z powierzchowności już kazał się domyślać wysokiego dygni-



tarza... Był to w istocie nie tak dawno z Wiednia tu przywieziony namiestnik książe Egon Fürstenberg. Przystojny mężczyzna, ubrany bardzo starannie, wyraz twarzy miał zagadkowy, więcej usiłowania o pokazanie się pewnym siebie niż siły dowodzący. Jakiś niepokój zdradzał się w ruchach i wyrazie twarzy. Król pośpieszył go natychmiast o jakąś sprawę bieżącą, tyczącą miasta zagadnąć... a Fleming, porozumiewawszy się z paucm wejrzeniem, skłonił się i wysunął.

Wprost z zamku, pułkownik nie siadając do powozu, który nań czekał, udał się na Zamkową ulicę... Dom do którego wszedł, należący do zabudowań połączonych z pałacem Kurfirsta, zajmowanym był przez jednego z przybocznych pańskich ulubieńców i dworaków... ale stojąca kolasa, obłożona, na wpół rozpakowana, kazała się tu świeżo przybyłego domyślać gościa...

Na pierwszym piętrze spotkał Fleming służbę w polskich strojach... a przedpokój pełny czeladzi pominawszy, w salce którą otworzył, prawie u progu spotkał już naprzeciwko wychodzącego mężczyznę.

Strój ciemny, krojem sukni duchownych katolickich, tak jakoś dziwnie był przykrojony i włożony, iż niemożna było z pewnością powiedzieć czy noszący go do świeckiego czy do duchownego należał stanu. Małego wzrostu, okrągławy, pulchny, z twarzą gładko wygoloną i pełną, z oczyma czarnemi żywemi, z wypukłemi wargami i szeroko, tępo uciętą, brodą, z pod której wyglądał już podbródek, z głową postrzyżoną, na którą dosyć nieumiejętnie wrzucona była raczej niż włożona peruka, witający Fleminga, niewykwinną francuszczyzną nieznanomy zdawał się mu rad bardzo...

Fleming też zdobywał się na uśmiech dla niego... Przywitawszy się z pewnym pośpiechem, zwłaszcza ze strony pulchnego pana, odedrzwi przeszli ku oknu,

szepejąc i okazując wzajem wielką dla siebie uprzejmość.

Żywością nie ustępował Flemingowi, przybysz, który w ciągu rozmowy, ciągle na sobie suknie niepokojnie poprawiał.

— Będę więc miał szczęście widzieć N. Pana? — spytał w końcu.

— Jak tylko bieżących spraw się pozbędzie, księże biskupie — odparł Fleming. — Nie chcecie aby tu wiedziano o was?

— Niepotrzeba! nie godzi się aby o tem mówiono — żywo zawołał biskup.

Byłto główny ów króla nowego pomocnik w Polsce, Dębski, biskup kujawski, o którym przed chwilą wspominał Fleming.

-- Przybywam tu tylko — ciągnął dalej z pośpiechem — aby się umówić o koronację, zapewnić, iż zgodni jesteśmy co do ludzi i obrotu naszej sprawy. Nie mogłem zwierzać się i posyłać nikogo, chciałem sam mówić z królem, wybiegłem więc z Krakowa tak, iż nie wiedzą gdzie jestem... czas mam ograniczony, powracać muszę.

— My was nie wstrzymamy — odparł pułkownik — a król rad wam bardzo., Co słysząc o Contim?

Dębski wydał usta i brwi podniósł.

— Wątpliwa to rzecz, czy przybędzie, a pewna, iż się opóźni. Tymczasem starać się będziemy jego adherentów pozyskać. Kurfirst przez dwór austriacki i szwagra powinien się zapewnić, iż mu Sobiescy bruździć nie będą.

— Conti daleko nam straszniejszy — dodał pułkownik.

— Ja nie wiem — wtrącił Dębski — Sobiescy gdyby byli zgodnic. byliby niebezpieczniejszymi współzawodnikami. Pieniądzy mają gotowych poddostatkiem i wielu dawnych przyjaciół.

— Ale niechętnych jeszcze więcej — rzekł Fleming, jeżeli mnie Przebédowscy nie zwodzą.



— Przedewszystkiem, dosyć twardego Wielkopolskiego, pozyskać należy — począł Dębski — bo zamek nam przed nosem zawrze, do skarbu, w którym koronne insygnia są złożone nie da przystąpić, a siły tu zażyć nie wypada.

— A klucze skarbcza? — zapytał Fleming.

Za całą odpowiedź, biskup się uśmiechnął. Zaczęli znowu bardzo żywo szeptać z sobą. Rozmowa musiała zadrasnąć o coś drażliwego, bo Fleming odezwał się gorąco:

— Potrzeba choć pozory legalności zachować we wszystkiem. Niestety, będziemy musieli w wielu rzeczach ograniczyć się niemi. Szlachta nieufna, zakrzyczy wnet, że grozimy jej swobodom, a Kurfurst najusilniej pragnie uniknąć nawet podejrzenia.

Do zamku, do skarbcza, musimy uzyskać dostęp — mówił dalej — choćbyśmy inną koronę dostarczyć mogli.

Mówią mi, że wedle form i zwyczajów dawnych, do ceremonii koronacyjnych, należy pogrzeb zmarłego króla. Sobiescy nam zwłok nie dadzą! Cóż zrobimy.

— Al! o tem myśleliśmy i radzili — odparł Dębski, trumna pusta, będzie reprezentowała nieboszczyka... daleko trudniej przyjdzie nam otworzyć sobie zamek, a koronacya nie może się gdzieindziej odbywać, jak na Wawelu.

Fleming wskazał milcząc, liczenie pieniędzy, a biskup zrobił minę dwuznaczną.

— Wydaliśmy już tyle, że się ich skąpić nie możemy — rzekł pułkownik.

W ciągu tej rozmowy, niemiec dawał oznaki niecierpliwości, chciał żywo wyczerpać wszystko co z Dębskim do narady było, ale biskup, choć równie żywego temperamentu, nawykłym był więcej się nad każdym rozwodzić przedmiotem.

Mówił właśnie o pieniądzach Fleming, gdy powolnym krokiem, z wnętrza pokojów, zajętych przez bi-

skupa, wszedł, pochyło trzymający się, rysów wiele znaczących, oblicza pełnego myśli, starzec, w sukni czarnej, przepasanej takimże pasem, z płaszczykiem na ramionach.

Był to niegdyś ulubiony Janowi III, znakomity uczony O. Vota, towarzystwa Jezusowego. W zakonnie swoim niepospolite miał on znaczenie i mimo bardzo już podeszłego wieku, zakon i Rzym w sprawie katolicyzmu i wprowadzenia na tron saskiego Kurfirsta, nim się posługiwać musieli. Fleming pozdrowił go zdaleka, grzeczniej niż się po nim było można spodziewać, a biskup, mimo, że był prostym zakonnikiem, zrobił mu miejsce pośpiesznie, okazując wielkie poszanowanie.

O. Vota, wydawał się już gościem na ziemi. Niegdyś żywy, a niezmordowany w pracy, dziś zimny, wyżyty, zastygły, spokojny, spełniał już tylko powołanie obowiązków, gorąco się sprawami powszednimi nie zajmując.

— Przychodźcie bardzo w porę—począł Fleming, zbliżając się.—Mowa jest o pieniądzach, myśmy już skarb saski znacznie wyczerpali, nim akcyza da nam coś znowu, zakon nam w Polsce u siebie kredyt zapewnił. Niezmiernie go potrzebujemy.

Vota słuchał zimno.

— Cośmy przyrzekli i co ojciec generał w Rzymie, zapewnił Baronowi von Rose, my to spełnimy święcie. Ale najdostojniejszy panie—dodał—pieniądze to nie są nasze, należą one do zakonu, a raczej do chrześcijaństwa całego, do kościoła, do misyi naszych. Dać ich więc nie możemy bez pewnych gwarancyj i bezpieczeństwa.

— Myśmy ofiarowali klejnoty—odparł Fleming—to rzecz umówiona.

— Nasi prowincynałowie, będą mieć stosowne rozkazy, chciejcie o tem upewnić króla.

I pomilczawszy chwilę, O. Vota rzekł ciszej, nie patrząc na Fleminga.

— Elekcya i koronacya Kurfirsta, leży nam wszystkim na sercu. Nie potrzebuję powtarzać, że w Polsce popierać będziemy wszelkimi siłami króla. Nawzajem też, spodziewamy się dotrzymania nam obietnic. Dotąd nabożeństwo katolickie w Dreźnie w Lipsku, odbywa się potajemnie przy drzwiach zamkniętych, musimy się domagać otwarcia kaplic.

— Tylko nie dzwonów, bo tymczasem wam dać nie możemy—wtrącił pułkownik. — Król najmocniej polecił, aby katolicy, wszelkie możliwe swobody uzyskali, ale musimy się też oglądać na naszych ewangelików, w których namiętności są poruszone. Mamy fanatyków... potrzeba czytać, co piszą, słuchać, co z kazalnicy wygłaszają.

— Pierwsza chwila we wszystkim się gorączką odznacza—szepnął O. Vota.

Fleming szukał już tylko pozoru dla skończenia rozmowy i wyjścia. Poszeptał coś z biskupem i pożegnawszy obu duchownych, przez Dębskiego do drzwi przeprowadzony, zniknął.

O. Vota sam z nim pozostał.

— Cóż wy mówicie o tem wszystkim—zawołał biskup—zwracając się ku niemu.—Jam się dla interesów kościoła poświęcił i wdałem się w grę niebezpieczną. Skorzysta na tem istotnie kościół... świat... Stolica Apostolska.

Zakonnik się zadumał.

— Nie mam—rzekł—proroczego ducha. Kurfirst szczerze powiedziawszy, nie obudza we mnie ufności żadnej. W nawrócenie nie wierzę. Żona z pewnością wyznania nie odmieni. Syna obiecano nam wychować jako katolika, ale matka protestantka będzie jego pierwszą wiary nauczycielką, a potem... potem, Bóg dziełu swojemu dopomoże. W Saksonii, gdzie herezya zagnieździła się najsilniej, trudno ją przyjdzie wypłenić.

— Przykład monarchy—szepnął, zmieszany nieco Dębski. — Młody, gorącej krwi, pan ten, gorliwym

w początkach się nie okaże, ale z czasem... wpływy, otoczenie całe, my wszyscy..

Uśmiechnął się O. Vota.

— Daj Boże — rzekł—bo też ofiary są dla pozyskania go niemale.

— Syna wychowamy my, nie matka—dodał Dębski—upcmini się Rzym o niego. Musimy go wyrwać, wywieziemy go zagranicę. Zakon wasz dostarczy nauczycieli.

Zakonnik słuchał dosyć obojętnie. Widać było, że nie wiele miał wiary we wszystkie te obietnice. Dębskiemu szło o to, aby O. Vocie, króla inaczej odmalować... poczynął mówić coraz goręcej.

— Pierwszy krok zrobiony, wyrzekł się herezyi... to główna, jest w naszych rękach, teraz my działać powinniśmy.

— Życie zmienić powinien — szepnął Vota.—Zły przykład... a w Polsce, takie jawnochrześcijaństwo, sercu mu nie zjedna.

— Ojcie mój—począł Dębski—spójrzycież co się na dworze Ludwika dzieje, na oczach duchowieństwa katolickiego, z królem arcy-chrześcijańskim. Obyczaj ten Salomonowy ztamtąd, z nad Sekwany, przeszedł nad Elbę. Dla nas to nauka, że w wielu razach trzeba być pobłażającym, dla uniknienia gorszego zła...

Daj Boże, daj Boże — szepnął Vota—ja się tylko lękam, aby miasto tego by się do was stosował, wasi panowie jego naśladować nie chcieli.

Dębski potrząsnął głową.

— Nasze kobiety stoją na straży domowych ognisk, nie lękajcie się ojcie...

Vota z cicha powtórzył łagodnie swoje.

— Daj Boże, daj Boże!

Rozmowa ustała na chwilę, biskup, jak gdyby sobie coś przypomniał, zbliżył się do Voty i szeptać począł...

— *Ni fallor*, ojcie mój, pan to jakiego mu było potrzeba. W Tarnowskich górach przyjmując nas,

zdusił pubar srebrny w ręku... Ma siłę i nie w dłoni tylko, sądzę, że znajdzie się ona i w charakterze. Poskromi rozpasanie, stłumi rozkosze, niedopuszczy rebelii, ukróci zbytnią swobodę, z oczów mu to patrzy. Nawykł zresztą do *absolutum dominium* bo u siebie nie zna żadnego władzy ograniczenia.

Vota, raz jeszcze szepnął.

— Daj Boże! Daj Boże! *Utinam!*

---

### III.

Jak z wielkich przewrotów w naturze, korzystają małe istoty i zjawiają się instynktem wiedzione, na rumowiska, na posiewy, równie na zapach pól kwitnących jak na woń zgorzeliska, tak samo w świecie ludzi, z wypadków dziejowych doniosłości wielkiej, korzystają drobni i mali, niewidoczne efemerydy, znajdujące się wszędzie, gdzie się co wznosi lub upada.

W chwili, gdy Saksonia osłupiała i zdumiona niepokoiła się, w wyborze swojego Kurfirsta, widząc zagrożoną religię, gdy w Polsce przenikliwsze umysły w Augustcie lękały się przyjaciela, ucznia i sprzymierzeńca Habsburgów, usiłujących ukrócić swobody, ludów ich berłu podległych, wszędzie gdzie zapanowali: w Dreźnie przy Zamkowej ulicy pan Zacharyasz Witke i dworak Przebédowskiej Łukasz Przebor, myśląc tylko o sobie, obrachowywali jak z tej elekcji i z nowego pana korzystać i zużytkować go potrafią. Witkego ambicya popychała na śliską drogę, w matce obudzającą nie bez przyczyny trwogę wielką. Łukasz, któregośmy w sklepie przy kubku poznali, w wyszarżanej sukience kleryka, nie mniej też nad przyszłym

losem swoim przemyślał, budując go na tem, że trafem stanął już jedną nogą niedaleko dworu króla...

Sierota, ubogi, jakim sposobem zamiast poprostu zapisać się gdzieś w rejestr czeladzi i dworu jakiegoś Lubomirskiego lub Jabłonowskiego, bez żadnych środków, na własną rękę, przebojem przedsięwziął dobijać się krescytywy: to mógł tylko charakter jego i temperament tłumaczyć... Okoliczności też składały się, że nie innego dotąd mu się nie nastroczyło. Biedny, zostawiony sam sobie, ratował się instynktem, jakim... przypadkiem dorwał się abecadnika, zaciekawiał nim, pisać i czytać sam prawie nauczył; gwałtem potem wcisnął się do szkółki kościelnej, o suchym chlebie karmiąc łaciną cheiwie... Czyścił buty i zamiatał izby księdzu, który go na kleryka wykierował i wyrobił wstęp do seminarium.

Wśród tego nowicyatu, zwolna w głowie jego, po której się myśli błąkały najdziwniej poplątane, jaśniej się robić coraz zaczynało.

Była jakaś opatrność na sierotę, niewidomą ręką, która go popychała i posilkowała...

Zgadywał, domyślał się, miał instynkta wieszczego, chociaż nikomu się nie zwierzał i nie radził nikogo, w tem przeżuwanu myśli, nabył przebiegłości i daru odgadywania. Niepozoruy, w wyszarzanej opończy klecha szedł z życiem w zapasy z tem przekonaniem, że sobie da rady... A spragniony był wszystkiego bez miary... Ale czyż nie czytał o tych arcybiskupach, co jako paupry po Krakowie chodzili z mieszkami i garuu-zkiem? Krok za krokiem tak stawiając, snuł wszystko z samego siebie. Zamknięty, milezący, posuwał się naprzód ostrożnie, a każda nowa zdobycz, ośmieliła go do nowych marzeń i nadziei.

W seminarium nabywszy tyle nauki, ile jej powszechni bieg życia naówczas wymagał, od tych co szczególnego zawodu nie obrali, Przebor coraz się więcej zaczął wahać czy nie czas było zrzucić tę suknię, która mu ciążyła, albo ją zachować i poświę-



cić tak zwanej służbie Bożej... Mógł się wprawdzie dobić najwyższych szczebli, ale wszystkie śluby i prywatacje, jakich nowicjat wymagał, nie smakowały, bo lubił życie ze wszystkimi jego nasyceniami...

Pozostał więc do czasu klerykiem, aby mieć świat zabezpieczony, ale rozpatrywał się tylko dlaczego, lub dla kogo sutanny się pozbędzie.. Przypadek nastręczył mu pomieszczenia tymczasowego przy dworze kasztelanowej, która do Drezna jadąc ze służbą polską, potrzebowała dla niej dozoru i tłumacza, dla siebie sekretarza i kopisty, umiejącego tajemnice zachować, Łukasz się jej wydał dosyć ograniczonym... tak, że się nie wahała ważnych dokumentów dawać mu do przepisywania. Przebor z tego korzystał, z chciwą ciekawością obeznawał się ze wszystkim, podsłuchiwał, odgadywał i wtajemniczał w arkana polityczne. Niktby lepiej nie mógł i nie umiał wyzyskiwać położenia. Najmniejsza rzecz baczności jego nie uchodziła. Łapał słowa, kombinował, z ludzi, z twarzy, z najmniejszej oznaki ciągnąc wnioski. Im dłużej to trwało, tem był pewniejszym, że pobyt na dworze pani kasztelanowej, będzie dla niego podstawą nowego bytu.

Błyskawicą przebiegała mu już myśl, że mógłby to co wiedział dobrze spieniężyć Contiemu... Sumienie mu tego nie wzbraniało, zrzeczności tylko brakło.

Rozmowy z Witkiem, chociaż ten się nie wygadywał otwarcie, wskazywały Przeborowi, że chwila na deszła, w której pomiędzy polakami a sasami pośrednicząc, można było z obu stron korzystać. Dla czegoż on nie miał próbować docisnąć się do dworu, bodaj do króla... W jego przekonaniu Witke chciał tylko zarabiać jako kupiec, on zamierzał frymarczyć jako człowiek pióra... i polityk...

Obu im kupcowi i klerykowi paliły się głowy. Witke dostawszy nauczyciela, którego tak pragnął, następnego dnia wziął się do polskiego języka, nie tylko z zapalem, ale z szaloną zawziętością. Pamięć

miął doskonałą, język serbski wybornie mu posługiwał, szło tylko o pochwycenie języka i form tej mowy, której główny etymologiczny materiał cały miał w głowie. Okazało się też przy pierwszych lekcjach, że pan Zacharjasz miał dar do języków, a łatwość w uczeniu się ich, jest istotnie darem i nie wszyscy ją mają w równym stopniu. Sam nie pozbawiony zdolności Przebor się zdumiewał co chwila, niepojętej dla niego bystrości umysłu swojego ucznia. Witke po pierwszych próbach, tak był uszczęśliwiony, że kazawszy dać wina, nakarmił i spoił profesora. Nic go mocniej ująć nie mogło, bo choć u Przebédowskiej nieźle mu się działo, łakomy był i łasy, jak każdy biedak, co się głodził długo. Czego nie mógł zjeść chował do kieszeni. Witke ujął go sobie tą papką, tak że podochociwszy, czułym się dla niego okazywał i choć za język się kąsał, zdradzał się potrosze... jeśli nie faktami, to temperamentem i charakterem. Kupiec go nawskroś przeniknął, przypatrując mu się, badając, ażali później posługiwać się nim nie będzie można.

— Zdradzi mnie przy pierwszej zręczności, to pewna—mówił w duchu—jeżeli mu to korzyść jaką będzie obiecywało, ale w tem rozum, żeby go nie wtajemniczać, tylko do służby sposobić.

Być bardzo może, iż Przebór podobnie myślał o kupcu.. Lekcje dla praktycznej wprawy w język upływały na gadaninie. Dotykano różnych przedmiotów. Witke począł się oswajać nie tylko z tą mową, ale z bytem a obyczajem Polski, który mu się objawiał jako całkiem różny, jak niebo do ziemi, do saskiego niepodobny.

Kupiec, choć w handlu miał pod tę porę, bardzo ważne sprawy, ani jednego dnia nie zaniedbywał. Część ich zdawał na matkę, mniej znaczące powierzał pomocnikowi, sam z całą gorącością marzeniem upojonego człowieka, poświęcił się temu, co było najpilniejsze.

Były we Wrocławiu dla Niemców, jeszcze w XVI wieku wydawane rozmowy dla uczenia się polskiego języka, z tych skorzystał Przebór, aby sobie nauczanie ułatwić.

Kleryk śmiał się i zdumiewał, bo technąć nie dawano.

— Nie rozumiem—bąknął—po co się tak męczycie. Znajdziesz pan w Krakowie bez liku Niemców osiadłych tam od wieku, a i w Warszawie ich niemało.

— Po co ja się męczę?—odparł Witke—bo się nikim posługiwać nie lubię. W mojej naturze jest, że sam wszystko chcę robić, a na nikogo się nie spuszczam.

Po kilku dniach, nauczyciel i uczeń, przyszli do pewnej poufalości. Przeborowi zdawało się równie jak Zacharjaszowi, że znał na wylot towarzysza, chociaż kupiec a Niemiec tyle mu siebie pokazywał ile chciał, a nie zwierzał się wcale. Z nich dwu, ów daleko więcej umiał ze znajomości korzystać.

Dziwiła go ta Polska, którą pierwszy raz poznawał. Przywileje, swobody szlachty, których saska wcale nie znała, wydawały się Niemcowi niemal poczwarnymi. Nie mówił tego, ale sądził, że August Słny, z pomocą wojsk, które miał wprowadzić do Polski, nie zechce się poddać niewoli, jaką nań wkładały dawne ustawy Rzeczypospolitej. Nie mieściło mu się w głowie, ażeby król, z całą władzą swoją, mógł być bezsilnym przeciwko sejmom i rokoszom.

Gdy Przebor mu opowiadał o zuchwałości i bucie szlacheckiej, o samowoli możnych, która Janowi III życie zatrzymała, nie umiał sobie wytłumaczyć tego króla, zmuszonego być sługą i bezwładną lalką.

— To się nie może utrzymać — myślał w duchu, odgadując swojego pana—August się porozumie z Carem Moskiewskim, z Kurfirstem Braudeburskim i te niedorzeczne prawa i przywileje w kąć pójść muszą. Jeżeli tego nie uczyni niewart w istocie korony.

— U nas—mówił do Przebora, gdy ten mu o szla-

chectwie rozpowiadał — szlachta też wolną jest od wszelkich opłat, oprócz, że dostarcza koni, obowiązana jest iść w obronie kraju, ale praw nie dyktuje... Gdyby na zwołanem zgromadzeniu, saski baron śmiał co burknąć Kurfirstowi, nie wydobyłby się z Kônigsteinu.

— My mamy przeciwko temu, nasze: *neminem captivabimus nisi jure victum*—zamruczał Łukasz—nie dalibyśmy się, ho! ho!

Szło tedy wszystko doskonale, w kamienicy pod rybami, ale jeszcze nie tak szybko, jak Witke sobie życzył. Zapowiedział więc klerykowi, że otrzyma oprócz nagrody umówionej, podarek piękny, byle na koronację Witkego przygotował.

— Nie przyjdzie to trudno wmości—rzekł śmiejąc się Łukasz—u nas różnych dialektów dosyć, na Szlązku mówią inaczej, inaczej na Mazurach, inaczej Kaszuby, opowiesz się z innej prowincyi i dosyć.

A pewnie — odparł kupiec — ale chcę dla siebie języka się dobrze wyuczyć.

— Trudniej daleko—rzekł Przebor—przyjdzie wam zrozumieć nasze życie i obyczaj, niż mowę. Tego się prędko nie nauczycie.

— Nie rozpaczam o tem—szepnął Witke—wszystkiego nauczyć się można. Masz waćpan dowody, ja bardzo tępy nie jestem.

Wieczorem codziennie pani Marta oczekiwała na syna, ciekawa dowiedzieć się, jak mu tam szło z nauką.

Cieszyła się razem i obawiała. Wiedziała, że na tej drodze, którą się puścił, już go powstrzymać nie potrafi. Spowiadał się przed nią codziennie i choć całej prawdy nie mówił, czuła, że nadziejami sięgał daleko. Lecz widząc zatrwożoną, uspakajał.

— Nie myślcie bo, matusiu moja, że ja mam ambicję dobijania się urzędów, stanowisk, tytułów. To nie nasza rzecz. Chcę się stać potrzebnym i jak Lehman i Meier dorobić pieniędzy. Z nabitą kabzą dojdę potem, gdzie zapragnę. Ze sklepu wielkich rzeczy wy-

ciągnąć nie można, a kto ma rozum i pieniądze, powinien z nich korzystać.

Matka wzdychała, ścisła syna i powtarzała ciągle jedno:

— Bądź ostrożnym, moje dziecko, bądź ostrożnym. U dworu, jak we młynie, kogo koło pochwyci, to mu kości potrzaska.

Zacharek śmiał się, nie miał najmniejszej obawy.

Kleryk rozpatrzywszy się dłużej, a widząc przysięgę, że Przebédowska wcale go wyżej promować nie myślała, ułożył sobie, iż przyjąłby chętnie na początek ladajakie miejsce. Zaczął od tego, iż na swoją panią narzekał półgębkiem, oświadczył, że gotówby ją porzucić, ale knpiec, milcząc, przyjął to wyznanie, a z pomocy do otrzymania jakiejś posady, wymówił się tem, że stosunków niema.

— U nas się umieścić nie łatwo — rzekł — a wy u siebie w Polsce łatwiej coś znajdziecie.

— Łatwiej? — rozśmiał się kleryk — widać, że nie znacie łacińskiego przysłowia: *nemo propheta in patria*.

— Nie zawsze się ono sprawdza — odparł kupiec — Sprzykrzyła się wam pani Przebédowska, radziłyście ją porzucić, choć z cierpliwością moglibyście dojść łatwo do czegoś. Przypnśmy, że jabym was posłuchał i poszukał wam zajęcia, innego bym nie znalazł chyba w handlu, a samiście mi mówili, że szlachcowi ani łokcia, ani wagi tknąć się nie godzi.

Westchnął i zamknął kleryk.

W istocie z całą chytrą i przebiegłością swoją, sam nie wiedział co robić, brak mu było cierpliwości, rzucał się nieopatrnie. Niemiec miał wyższość nad nim wielką, nie licząc tego, że kleryk, gdy podpisał, choć się pilnował, z tem i owem nieraz się wygadał niepotrzebnie.

Wiedział przez niego Zacharjasz, że z przepisanych dla kasztelanowej papierów, okazywały się między Dreznem a Krakowem, rozmaite do skutku je-



szcze nie doprowadzone układy, które koronację poprzedzać miały.

Oswojony już dostatecznie z językiem, nie mówiąc nic Przeborowi, Witke osnuł po cichu plan postępowania. Chciał się najrychlej dostać do Krakowa, rozpatrzyć tam zawczasu i tem sobie zjednać kogoś u boku króla... Dla upozorowania, miał interesa handlowe. Z dnia na dzień jednak odkładając podróż swoją, z którą się nauczycielowi nie zwierzał przedwcześnie, rozglądał się i namyślał, czyby na dworze nie mógł otrzymać jakich zleceń do Krakowa, aby od nich rozpocząć nowy zawód, któremu matka była tak przeciwną.

Skład dworu Kurfirsta i jego ulubieńców stosunki, dobrze były znane Witkemu. Wiedział, że do małych na pozór a ważnych robót, które ukrywane być musiały, poczynawszy od namawiania francuzkich i włoskich aktorek dla Kurfirsta, aż do frymarków klejnotami, nabywanemi na kredyt, najdzielniej posługiwał i największe miał zaufanie włoch weroneńczyk, pospolicie przezwany Mazotinem, uszlachcony już pan Angelo Constantini. Był ów poprostu kamerdynerem Augusta, ale mu się i przebiegły Pflug, wielki podkomorzy i nawet Fürstenberg kłaniał i uśmiechał. Była to, niewiadoma, nieukazująca się prawie nigdy, pociągająca. Mazotina, wśród tysiąca poznać było łatwo, jako włocha, nie tylko z czarnego, kruczego, bujnego wlosa, oczów jak węgle, brwi zrosłych i najeżonych, ale z ruchów niespokojnych, z gestykulacji nieustających, z nadzwyczajnej gibkości i zręczności, z jaką wszędzie się wciskał. Waleczyć z nim na dworze nikt nie śmiał, nawet towarzysz jego, także w wielkich łaskach zostający Hoffman, z którym o lepsze współzawodniczyli. Hoffman miał również zaufanie Kurfirsta i był do tych samych posług, co Mazotin używany, ale nie miał jego śmiałości i przebiegłości. Obawiali się wszyscy weroneńczyka, a każdy go sobie pragnął pozyskać. Wtajemniczony we wszystkie kaprysy miłosne,



nienasyconego Kurfista, który ciągle czegoś nowego zachciewał, Mazotin umiał *per fas ne fas* zawsze fantazji jego zadość uczynić. Nieprzyjemne następstwa szalonych czasem wybryków, brał potem na siebie i wykręcał się z nich bez szwanku.

Constantini, chociaż głowy nie miał, tak tegiej jak sławny z niej podkomorzy Pflug, który dziesięć butelek wina mógł wypić, nie przestając być trzeźwym, dobre wino lubił, szczególnie hiszpańskie i włoskie. Witke już dawniej, gdy jeszcze żadnych nie miał widoków, zdobywania sobie przyszłości, dla pozyskania protekcji Mazotina, sprowadził *Lacrima Christi* i parę gatunków wyszukanych win południowych, którymi go obdarzył. Ztąd się zawiązała znajomość między nimi, ale Constantini był zbyt zajęтым, wmięszanym we wszystkie płatniny dworskie, aby miał czas wiele z kupcem obcować i z nim się spotykać często. Odnowić teraz te zaniedbane stosunki, zdawało się Witkemu koniecznością.

Od Elekcji Kurfista na dworze panował ruch i zamęt podwojony. Brak pieniędzy, potrzeba ich gwałtowna, wyszukiwanie środków dla ściągnięcia ich, nabywanie klejnotów, których wielkiej ilości wymagały podarki dla pań i panów polskich, nietylko Lehmana i Mejera, tak zwanych Hofjuden, bankierów dworu zajmowały, ale co żyło. Mazotin też był bardzo czynny i trudno do niego teraz docisnąć się było, zrana i wieczorem musiał stać w gotowości na usługi i z raportami w gabinecie, wśród dnia biegał, szpiegował i starał się czemś zasłużyć.

Mazotin był najruchliwszym szpiegiem i pod swemi rozkazami miał całą bandę najrozmaitszego powołania ludzi, donoszących mu o wszystkim i roznośzących to, co on chciał rozgłosić.

Małeńka ta, niedojrzana sprężyna, poruszała ogromnymi siłami. Prorokowano już naówczas uszlachconemu włochowi, że z kamerdynera przejdzie do kance-

larji tajnej i na najwyższe posunie się szczeble, o czem on sam nie wątpił.

Jednego wieczoru Witke z latarką sam zszedł do swoich piwnic. Miał on tam w odgrodzonym kątku, stare najdroższe wina, od których kluczków nikomu, oprócz matki nie powierzał. Wydobył ztąd pół tuzina *fiasconów* pyłem i pajęczyną ozdobnych, ułożył je ostrożnie w koszyku i okryte suknem, kazał ku zamkowi nieść za sobą.

Mazotin zajmował tu, niedaleko od sypialni Kurfista mieszkanko, w którym rzadko kiedy zastać go było można. Powiedziano, uśmiechając się, że najczęściej nie nocował tu nawet, a gdzie się obracał, było tajemnicą.

Tym razem, cudom prawie, król się znajdował na polowaniu, a Constantini pozostał w Dreźnie—i Witke, który od posługacza sam koszyk wziął do ręki, zapukawszy, został wpuszczonym.

Mazotin właśnie zajęty był przeglądem jakichś pudełek, pełnych rozmaitych klejnotów, ale poznawszy w progu kupca, który mu był zawsze sympatycznym, dostrzegłszy może koszyk w jego ręku, uśmiechnął się i po włosku go palcami od ust pozdrowił.

Szczęściem dla Zacharjasza byli sami.

Witke skłonił się bardzo nisko i twarz sobie ułożył wesolą.

— Ze względu—odezwał się, odrazu przystępując do rzeczy—że pan podkomorzy (dał mu ten tytuł niby omyłką, ale nie bez myśli) musi być teraz bardzo pracą znużonym, przynoszę tu coś, aby siły jego pokrzepić.

To mówiąc, na uhoczku zakryty koszyk ustawił, ukazawszy tylko szyjkę butelki.

— Chel che! chel—rozśmiał mu się włosch—pamiętałeś o mnie Witke. Serdeczne dzięki, ale wino pod ten czas raczej mi siły odejmie, niż ich doda.

— O! o!—odparł kupiec—takie wino, jak te, które przynoszę, wie dokąd iść i nigdy do głowy nie uderza, ale do żołądka aby mu sił dodało.

Mazotin zmęczony, wyjątkowo był jakoś skłonnym

do rozmowy tem chętniej, że Witke po włosku się był nauczył i wcale nieźle z jego signorją mógł się rozmówić.

— No, kochany Zacharia—rzekł kamerdyner, żywo się poruszając—cóż tam słyhać? co robisz?

-- Ja?—rzekł szybko Witke—jak zwykle w sklepie siedzę i niewiele mam do czynienia, ale gotów bym czynnym być, gdyby się tylko znalazło zajęcie.

Constantini pomyślał trochę.

— Jakie?—zapytał.

— A! mam wielką ochotę służenia i przydania się na coś, teraz gdy najjaśniejszy pan tyle i tak rozmaitych usług potrzebuje—odezwał się Witke—że gotów bym był na wszystkiezlecenie, gdyby mi je tylko powierzono.

— O! o!—przerwał Mazotin, przystępując do niego.—Serjo to mówisz? W istocie nam zaufanych ludzi, szczególnie do Polski potrzeba.

Witke podniósł głowę.

— A jak się to składa dobrze — odpowiedział z uśmiechem— bo nawet przypadkiem po polsku nieźle się nauczył.

— Jakim sposobem — zawołał zaciekawiony wido-  
cznie Mazotin.

— A! a! nie miało się co robić — rzekł kupiec— zdarzył się człowiek, a ja jestem każdego języka ciekawy.

Constantini się zamyślił. Położył rękę na ramieniu kupca.

— Hml — rzekł — w istocie się wmości przydać i nam też może. Nam pewnych ludzi potrzeba, którymby czasem i pieniądze i klejnoty powierzyć można. Jesteś człowiekiem majątnym i uczciwym, na rozumie i zręczności ci nie zbywa.

Witke się skłonił, dziękując.

— Proszę mną rozporządzać — odezwał się prędko—do Krakowa, a choćby i do Warszawy pojedę

chętnie. Mam wielką ochotę mój handel rozszerzyć. Każdemu się chce dorobku.

— Naturalnie—odparł Constantini—jesteś młody, siły masz po temu, czemuż nie korzystać ze zręczności. Umiesz po polsku, ale to niezmiernie dziś wiele znaczy, dodał — tylko rozmyślić się musisz, czy się tam masz posługiwać, czy tać ze swą umiejętnością, bo i jedno i drugie, w danych okoliczności, przydać się może.

Witke rękę na piersiach położył.

— Niech wasza Signorja wierzy mi — rzekł — że z całą gorliwością służyć mogę, jakiej dziś potrzeba. Ostrożności wyuczył mię handel i od młodu z ludźmi obcowanie.

— Ja cię znam, nie masz mi co mówić o tem — wtrącił pośpiesznie Mazotin, podając mu rękę. Zakręcił się potem przechodząc po pokoju, jakby mu na miejscu spokojnie trudno wytrwać było i zwrócił się żywo do Witkego.

— Mógłbym więc na was rachować — poczał żywo — gdybym kogo do Polski potrzebował i rzeczby pozostała pomiędzy nami w największej tajemnicy.

— A to się rozumie—zawolał Witke.

— Kurfirst nasz, gdybyście mu usłużyli, potrafiłby to zawdzięczyć—dodał Constantini.

— Ja i sam z siebie w Polsce zamierzałem handel mój rozszerzyć i otworzyć sklep — rzekł Witke. — Nikt więc na mnie tam zwracać nie będzie uwagi, a kupcowi wszędzie przystęp łatwy i nikt go podejrzewać nie może...

Mazotinowi słuchając twarz się rozjaśniała...

— Pamiętaj tylko — szepnął — ażeby do tego eo się może między nami ułożyć, nikt nie był przypuszczonym... Dopóki nasz pan nie owładnie nową koroną, potrzebujemy oględni być bardzo...

Witke uradowany wszystkie warunki przyjmował chętnie. Znał jak z włochem postępować było po-

trzeba, ażeby go sobie zupełnie pozyskać, zakończył więc wyznaniem.

— Nie kryję się z tem, że szukam zarobku i chciałbym z okoliczności korzystać, pomożesz mi wasza Signorja, samo z siebie, iż wdzięczność winien mu będę. Korzyści dla obu z tego porozumienia wyniknąć mogą, a w moim i waszym interesie jest, aby ono pozostało tajemnicą...

Mazotin z kolei przyjął to zapewnienie z oznakami wielkiego ukontentowania... Rozmowa się po cichu rozpoczęła już poufna, o położeniu sprawy króla i stosunkach jego w Polsce, o Krakowie, gdzie naprzód rozpocząć się miało panowanie, o Warszawie, do której kupcowi już teraz dostać się było łatwo, choć ją stronnictwo Prymasa i Contiego zajmowało...

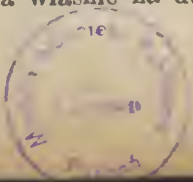
— Gotów jestem i do Warszawy—rzekł Witke—ale nieznając Polski, od Krakowa wolałbym rozpocząć, aby się z nią obycz... W Warszawie tymczasem pewnie Kurfirstowi Przebédowscy usłużą...

Na wspomnienie nazwiska tego, Mazotinowi usta się trochę skrzywiły.

— Tak — rzekł — sam pan kasztelan teraz już jest całkiem nasz, ale ja nie zapominam o tem, że on już służył innym a i on i jego żona nie zawsze nam starczą i nie we wszystkim usłużyć potrafią. Na nich ja się nie będę oglądać... Kasztelan zaś już dziś znany powszechnie jako Kurfirstowi oddany, przez to samo nie wszędzie użytym być może...

Z pół godziny potem jeszcze nowi sprzymierzeńcy szeptali z sobą po cichu się naradzając... i Witke pożegnał Mazotina, umawiając się z nim, aby ilekroć się z nim widzieć zapragnie, zażądał czegoś ze sklepu. Witke miał naówczas natychmiast przybieść do niego.

Niespodziewał się tak szczęśliwego obrotu, a nadewszystko tak łatwego osiągnięcia celu p. Zacharjasz i w najweselszem usposobieniu powrócił do domu... Matka, która właśnie na dole się znajdowała,





gdy wszedł, z lica mu wyczytała jakieś powodzenie i byłaby się niem uradowała, gdyby nie to, że teraz wszystko dla niej przechodziło w obawę. Wiedziała, domyślała się do czego dążył syn...

Po południu tegoż dnia nadciągnął kwaśny Przebor... Jemu się jakoś nie powodziło, Witke go wprowadzając do komórki, w której zwykle przesiadywali, począł od oznajmienia, że po namyśle postanowił jak najrychlej wycieczkę przedsięwziąć do Krakowa.

P. Łukaszowi wcale to na rękę nie było.

— No — przerwał chmurno — a ze mną naówczas co się stanie?

— Prosta rzecz — odparł Witke — ja dotrzymam wszystkiego com przyrzekł... nie narazi to was na żadną stratę...

— I rozstaniemy się tak? — bąknął poruszając głową Przebor. — Nie użyjecie mnie do czego?

Witke poruszył ramionami.

— Do czegoż ja bym was mógł użyć? — odparł. — Jesteście związani z Przebédowskimi, a ja oprócz handlowych innych interesów nie mam. Do tych wy mi pomocnymi być nie możecie... Kto wie — dodał po namyśle kupiec — później może, gdybyśmy się spotkali...

P. Łukaszowi, który już na frasunek nagle już spory kielich mocnego wina wychylił i opróżniony tak ustawił, że kupiec mu natychmiast drugi napelnić musiał, zebrało się na gorzkie żale.

— Z Przebédowską — począł — ja do niczego nie dojdę. Posługuje się mną jak ścierką, którą potem rzuca do kąta. Widzi mi się, że muie ma za zupełnie głupiego człeka, który do niczego lepszego się nie zdał, tylko do przepisywania... Nie zwierza mi się nigdy z niezem, a obchodzi pogardliwie... Wprawdzie zyskuję na tem, bo mi wierzy i nie nie tai, ale z tego jaka korzyść dla mnie?

— Cierpliwości i wytrwania W. mości brak — przerwał kupiec.



— Bo w sobie czuję siłę do trochę większych spraw okazać się zdolnym, niż do tej mizernej roli amanuenta—westchnął Przebor.

— Radbym mu z duszy pomódz—dodał Witke — ale jak? Nie widzę sposobu.

Przebór kulakiem w stół uderzył.

— Bądź co bądź — zamruczał — wybić się na wierzch potrzeba...

— A ja tego w. panu życzę jak najmocniej — rzekł Zacharjasz — ale razem i zimnej krwi, a wytrwałości, bo bez tego nie... Teraz zaś—dodał, dobywając z kieszeni sakwę dobrze naładowaną — składam wam dzięki najszczerze za naukę, z której się będę starał skorzystać... Oto jest mój dług, wedle umowy, a to przyjacielska ofiara za okazaną mi życzliwość.

Przeborowi oczy się zaśmiały do talarów na stole rozłożonych, których się nie spodziewał dostać tak wiele... a nigdy ich w życiu tylu nie miał razem. Począł kupca za rękę ścisnąć i w ramię całować...

— Jakże niemam na tych sknerów narzekać — zawołał—czyż oni mi kiedy za poświęcenie im całego czasu mojego, choć połowę tego dali!... Do stołu mnie przypuszczają zaledwie, gdy niema gości i to na szarym końcu... Grosza się u nich nie doprosić, a posługują się niemal jak stróżem...

W głowie mu się nieco zakręciło, począł śpiesznie chować pieniądze, nienawykły do nich, że mu one na bardzo długo wystarczyć były powinny. Pożegnali się serdecznie i podwójnie upojony p. Łukasz, powrócił do pałacu Fleminga, którego część zajmowała Przebédowska, z postanowieniem niemal już stanowczym zerwania z chlebobawcami, aby szukać sobie czegoś korzystniejszego.

Odbiły się talary, które skrzętnie do kufra schował, na twarzy, w obejściu się i minie. Pani Przebédowska, która wkrótce potem dla podyktowania listu

pozwać go kazała, zdziwiła się widząc wchodzącego z jakąś butą, której nigdy w nim nie widziała.

Nie wiedząc czemu ją przypisać, nie pytając o przyczynę, siadła do korespondencji. Łukasz zajął miejsce i przysposobił do roboty.

Przypadkiem pani kasztelanowa, nim się ona rozpoczęła, z dumą i pańską flegmą uczyniła uwagę, aby się starał pisać wyraźnie i czytelnie.

— Hm! — odparł Przebor — czy ja jeszcze źle piszę?

Kasztelanowa spojrzała ostro.

— Czasem dosyć niedbale — rzekła — wiem, że to w pana nie bawi, ale obowiązki należy spełniać sumiennie.

— A ja je spełniam niesumiennie?

Zamruczał pióro ciskając pan Łukasz i zarumienił się okrutnie.

Przebédowska, która go cierpliwym znała, popatrzyła wielkimi oczyma.

— Co się w. panu stało?—zapytała.

— Nic — rzekł powstając pan Łukasz — tylko ponieważ ja źle piszę i obowiązek mój spełniam niesumiennie, więc dziękuję za miejsce. Proszę mnie kazać obliczyć i koniec.

Przebédowska uszom swym wierzyć nie chciała, nie wiedząc czy śmiać się czy gniewać. Brwi jej się w końcu ściągnęły.

— Waćpan oszalałeś!— rzekła dumnie. — Myślisz więc, że ja na to pozwolę, abys mnie tu porzucił, gdy nie mam go kim zastąpić? Nie łudź się waszmość. Zatrzymywać go nie będę, gdy powrócim do domu, ale tu waćpana nie odpuszczę.

Jesteśmy w Saksonji, jesteś moim oficjalistą, dosyć słowa mojemu bratu, aby wzięto pod wartość i zaprowadzono na Nowy-Rynek. Miej więc rozum i nie buntuj mi się, bo to się źle skończyć może.

Przeborowi zrobiło się zimno, gorąco, siadł, nie mówiąc słowa już i nie odzywając się, przygotował

piśać pod dyktą pani, która bynajmniej nie poruszo-  
na, list natychmiast rozpoczęła.

Nawykła do biernego posłuszeństwa, kasztelanowa  
wybryk ten amanuenta przypisała podchmieleniu.  
Rzecz się jej zdawała załatwioną. List stylizować  
ukończywszy kazała go sobie podać, przeczytała i nie  
nie mówiąc, położyła na stole.

Przebor stał i czekał chwilę, a widząc, że pani  
Przebędowska nie myśli już dyktować dłużej, skłonił  
się niezgrabnie i wyszedł.

Wszystko się zdawało skończonem, ale nazajutrz  
rano kasztelanowa dowiedziała się, że nocą Przebor  
wyniósł się z pałacu Fleminga i znikł bez wieści.  
Wydano natychmiast rozkazy poszukiwania zbiega,  
tropiono go po całym mieście, ale bezskutecznie.

Żałowała może poniewczasie prędkości swej suro-  
wa pani, ale nie czuła się coś winną. W jej oczach  
nie darowanem było zuchwalstwem, że się jej taki  
biedak śmiał stawiać ze swą dumą szlachecką i wy-  
magać choćby najmniejszych względów!!

Dostało się za niego całej Polsce i wszystkim  
szlachcie!!

---

#### IV.

Jednego jesiennego wieczoru, gdy już sklep został  
zamknięty, a pani Marta niespokojna oczekiwała na  
syna, podśpiewując wesoło, wszedł do pokoju, w któ-  
rym zawsze wieczorzali, Zacharyasz i całując matkę  
w rękę, a dojrzawszy łzy na jej oczach, rzekł z wy-  
rzutem i czułością.

— Matusiu kochana, widzę, że wy w dziecku  
swem ufności nie macie? czy żeby Zacherek nie

stracił tego, co jego ojciec zapracował? a wy nie popadli w ubóstwo?

Pani Marta przerwała mu gwałtownie.

— A! ty niewdzięczny! alboż mi tak idzie o bogactwo, którego ja najmniej potrzebuję? Chodzi mi o ciebie, skarbie mój jedyny! Ja każdego dnia, gdybyśmy stracili wszystko, z rozkoszą bym powróciła do mojego Budziszyna, bylebym ciebie z sobą miała. Czyż nie rozumiesz tego, że mi o nic, tylko o twoje chodzi bezpieczeństwo?

— A! matuś miła — jeszcze raz ręce jej całując, odparł Witke — zważ proszę, co mnie zagrażać może?

— Nie wiem — rzekła matka, wdychając — ale się lękam. Jedziesz do Krakowa?

— Jadę, tak — zawołał Witke — należy się zawczasu rozpatrzyć. Kurfirst wkrótce ma tam przybyć także.

Bystro matka mu spojrzała w oczy.

— Nie mówisz mi wszystkiego szczerze — dodała — a ja odgadywać zmuszona, więcej się może tem trwożyć niżby należało. Mazotin parę razy przybiegał do ciebie, a kto wie, jak on zajęty i jaką gra tam rolę przy Kurfirstcie, ten musi się domyslać, że ty nie wino sprzedawać jedziesz do Krakowa.

Uśmiechnął się Zacharjusz.

— A! matusiu, nasi panowie — rzekł — Fleming, Pflug i inni, których August z sobą zabiera, Niemców przy sobie potrzebują. Nie będą też wiedzieli w pierwszej chwili, gdzie i jak stąpić... jedno nie zawadzi drugiemu, ja i swój interes zrobię i Kurfirstowi posłużyć mogę.

Smutnie potrząsać głową zaczęła matka.

— Widzisz, Zacharek — odezwiała się — widzisz, tego właśnie się ja boję, tego wiązania z Mazotinami, Hofmanem i dworem, gdy ty nie potrzebujesz nikogo. Raz im posłużywszy, dostajesz się w niewolę. Nie puszczają cię. Mniejsza o to, że swój handel zaniedbać możesz dla tych posług, ale ja się wszystkiego boję,

co ze dworem i panem ma stosunki. Przyjaźń ze lwami i tygrysami niebezpieczna.

Zacharjasz śmiał się.

— Uspokój-że się, matuś, uspokój — rzekł poważnie — nie jestem i nie będę niczem związany, nie narzucam się nikomu, ale są rzeczy nieuniknione. Odmówić swojemu panu nie godzi się i równie niebezpiecznem nie jest, jak mu się narzucać. Proszę więc, bądź matuś spokojną.

To mówiąc, siadł Zacharjasz do wieczerzy nadzwyczaj ożywiony i zwrócił rozmowę na to, co pozostawiał w domu. Wina potrzeba było ściągać, inne klarować, odebrać transport, który miał nedejść, wypłaty porobić w różnych terminach, co wszystko matka brała na siebie.

— Moje dziecko — odparła, wysłuchawszy go — a kiedyż ty z powrotem?

— Ha! ha! — zaśmiał się raźno Zacharek — to tylko Pan Bóg wiedzieć może, ale pewna, że tęsknić będę za wami i pośpieszać o ile zdołam.

— Al — dodała troskliwa matka, wzdychając znów — nie jedną trwogą mnie nabawia, ta twoja ruchliwość i zabiegi, mój Zacharku. Sam mi powiadałeś o polakach, że ludzie są zuchwali, do zwady i rąbania się bardzo skłonni...

— Z temi moja kochana matuś — odparł żywo Zacharjasz — którzy szable u boku noszą, ja zaś kupcem jestem, spokojnym człowiekiem i laską, albo łokciem się podpieram.

Chcąc zwrócić z tego drażliwego przedmiotu, Witke stracił na Przebora, o którym matce opowiadał.

— Ciekawym bardzo co się z nim stało? ktoś wie? spotkać się może przyjdzie w Krakowie, bo jeden Bóg wie gdzie się obraca. Wyrwał się ztąd z pomocą nagle, a gdybym był wiedział, że go nazajutrz Fleming po całym mieście szukać będzie, nie byłbym tak skory do ułatwienia mu ucieczki. Lecz

mała to rzecz i niewielką z niego pociechę musiała mieć Przebédowska...

— O, ja sobie wcale nie życzę, abyś się z nim spotkał—dodała Marta—temu człowiekowi źle z oczów patrzy.

— Ale to biedak, który żadnego nie ma znaczenia - przerwał kupiec.

— I tem niebezpieczniejszy—odparła Marta — bo chciwy, aby co pozyskać gotów na największą podłość.

Zacharjasz potwierdził to poruszeniem głowy.

— Nie myślę się też z nim wdawać—rzekł krótko.

Następnego dnia rano jeszcze niezupełnie rozwidniało, gdy pan Zacharjasz był już na wozie wygodnym, z dwojgiem czeladzi, i pożegnawszy matkę, która nieznacznie krzyżem go świętym błogosławiła, puścił się w podróż odważnie i wesoło.

Na trakcie tym, który z Drezna prowadził do starej stolicy, chociaż nie było jeszcze oddziałów saskich, które tam ciągnąć miały, ani dworu i ekwipażów króla poprzedzających go, ruch już panował większy daleko niż zwykle. Po gospodach spotykał kupiec i od Drezna i do Drezna dążących panów, szlachtę, duchownych i wojskowych. Pomiędzy tymi wielu z twarzy znał Witke, ale im nie był znanym. Z nikim jednak nie zawiązując stosunków, jak mógł najpośpieszniej biegł do Krakowa nasz kupiec, gdyż czasu potrzebował, aby tam jakąkolwiek zrobić znajomość, a wskazówek miał mało. Baur tylko dał mu list do kupczącego jak on suknamy mieszczanina krakowskiego, Hallera, człowieka zamożnego, który chociaż od kilku pokoleń całkiem się stał polakiem, pochodzenia swego niemieckiego się nie zapierał i języka niezapomniął...

Zacharjasz czynny i baczny, nawet w podróży nie omieszczał z niej korzystać, rozglądając się wśród spotykanych ludzi i nastawając ucha na rozmowy.

Z nich jedno tylko mógł wyciągnąć, że chociaż



August wybranym był i przygotowywał się już przybyć i koronować, w Polsce jeszcze pewnego nie miał oparcia. Zdawało mu się nawet, że słabiej stał Kurfirst, niż sobie w Dreźnie wyobrażano. Słyszał opowiadających, że w Krakowie samym Contiego stronników było wielu, a pałacyk w Łobzowie, który zamierzano zająć, nimby uroczysty zjazd mógł się odbyć do Krakowa, zajmował Franciszek Lubomirski, starosta olsztyński z oddziałem wojska. Wprawdzie garstkę tę jego łatwo mogli sasi ztąd wyparować, ale narażać się na walkę przed koronacją nie było wcale politycznem.

Naostatek śpiesząc wielce, p. Zacharjusz, pominąwszy Łobzów, stanął na starym rynku w Krakowie, gdzie gdy mu gospody szukać przyszło, okazała się taka trudność dostania jej, że rad nie rad z listem Baura musiał pójść do Sukiennic szukać Hallera. Łatwo mu go znaleźć było. Średnich lat, poważny, pięknej powierzchowności kupiec krakowski, odebrawszy pismo przyjaciela drezdeńskiego, czynnie i gorąco się zajął poleconym sobie Witkem.

— Gospody szukać nie potrzebujesz wcale—rzekł uprzejmie, dom mój stoi wam otworem. Wprawdzie znacznieszą część jego musiałem ustąpić jednemu z panów naszych, ale izbę dla was znajdę zawsze, a stajnie i wozownie pomieszczą wóz wasz z końmi i ludźmi:

Ale chciał już Haller słyszeć o tem, aby się to inaczej ułożyć mogło. Rad był widocznie gościowi i dla tego, że się przez niego mógł coś więcej o Kurfirstcie dowiedzieć, o którym bardzo rozmaite biegały pogłoski. Jedni go tu przedstawiali jako dla wolności rzeczypospolitej bardzo niebezpiecznego człowieka, drudzy jako pożądanego do zaprowadzenia ładu i porządku pana.

Haller, co się łatwo z jego rozmowy dawało wyrozumieć, był wielce umiarkowanym, wyczekującym i ostrożnym, a że na swem stanowisku radcy miasta nie wiele mógł i nie chciał sięgać wysoko, zaspo-

kajał się świadomością tych interesów, które go najbliżiej obchodziły.

Od pierwszych słów wymienionych podobał się gość gospodarzowi i nawzajem. Zacharjasz niemal pierwszą tu próbę posługiwania się nauczoną językiem polskim mógł uczynić. W podróży kilka razy szczęśliwie się mu z nim powiodło; z Hallerem też, tłumacząc się zawczasu, iż językiem nie włada wprawdzie a radby nabyć łatwość mówienia nim, rozmowę prowadził po polsku.

Szła mu ona lepiej nawet niż się spodziewał, bo Haller na germanizmy nie zwracał uwagi. Z listu Baura miał prawo cieszyć się przybyły, gdyż lepiej trafić, jak na starego Hallera, było trudno. Wytrawny, spokojny mieszczanin krakowski, choć nie wielomówny, na wszystkie pytania mógł doskonale odpowiedzieć, bo nikt od niego lepiej o bieżących sprawach informowanym nie był.

Na to co Haller powiedział śmiało się można było spuścić.

Rodzina kupca składała się z żony polki, niewiasty bardzo miłej i temperamentem do męża podobnej, z dorastającego już syna i dwu córeczek wyrostków. Handel, jak się łatwo mógł przekonać Zacharjasz, prowadzili Hallerowie na wielką skalę, mieli sklep drugi w Warszawie i dostatek czuć było w domu.

Jako powód przybycia do Krakowa podał Witke chęć zaopatrzenia się w celu handlowym i zawiązania stosunków, które dwa kraje pod jednym berłem mające się łączyć, zbliżyć do siebie musiały. Gdy po obiedzie pozostali sami, Haller pierwszy ciekawie począł badać gościa o Kurfirsta, przy czem p. Zacharjasz dowiedział się, jak ta sprawa jego stała. Haller nie wyrokował o przyszłości.

— Wątpliwości niema — rzekł — że większość i prawomocność przy elekcji miał Conti, ale saski Kurfirst wasz przy swej mniejszości ma wiele korzyści i ułatwień, na jakich francuzowi zbywa. Wojsko

jego stoi na granicy, garstka ludzi, co go okrzyknęła ruchawą, śmiała i czynna. Prymas daj Boże, aby Contiemu do końca wiary strzymał, a kiedy i jak on przybędzie... rzecz wątpliwa... Gdy obrany królem August pośpieszy, koronacja raz będzie dokonaną. Trudno z nim przyjdzie walczyć francuzowi.

— Ale jakże tu rzeczy stoją w Krakowie? — zapytał Zacharjasz. — Łobzów, słyszę, zajmuje Lubomirski, niechętny Kurfirstowi. Zamek sam trzyma Wielopolski i otwierać go nam podobno nie życzy.

— Wszystko to prawda — szepnął Haller — ale zmienić się to może... Myśmy już przez elekcję i za panowania ostatniego króla, czyli raczej królowej, bo ona rządziła i gospodarowała, do frymarków i przekupstwa nawykli. Wiedzieć to przecież musicie, że sam pan kasztelan Przebédowski, nim się z Kurfirstem porozumiał, innego kandydata na tron popierał. Toż samo stać się może z innemi, których pieniędzmi i względami zyskać nie jest niepodobieństwem... Wojsko niepłatne... grosza też jest żadne, pójdzie z tym, co mu zaległości choć część wyliczy.

Haller zamilkł.

— Sprawa więc naszego pana źle nie stoi — rzekł Witke — cieszę się tem... Nie zaniedba on pewnie skorzystać z tego...

Od niechcenia zapytał krakowianin o królowę.

— Będiesz ona towarzyszyć mężowi? Mówią, że w paktach przyrzeczono jest, że i ona katolicką przyjmie wiarę i złożywszy wyznanie jej, ma być koronowaną.

— O tych paktach ja tak dokładnie zawiadomiony nie jestem — odezwał się Witke — ale tegom pewny, że Kurfirstowa wyznania ewangelickiego na żaden sposób się nie wyrzeczce, chociażby dla niego koronę miała utracić.

— Nie wiem więc, jak sobie z tem poradzą panowie — dodał Haller. — Nam wszakże bez krótovej się obejść można, a tron nie jest dziedziczny.

Zagadnął Zacharjasz o osobę Prymasa, o którym

bardzo rozmaicie mówiono, a Haller nieśmiało, jakoś i wahając się, dwuznaczną dał odpowiedź.

— Sprzyjał on Sobieskim — rzekł — teraz popiera francuza... upiera się przy nim, bo go otacza partja Contiego, lecz za nie ręczyć nie można... Wpływ na niego wywiera rodzina, pan i pani Towiańska... i inni. Na mamonę też mówią obojętnym nie jest...

Skutkiem tej pierwszego dnia rozmowy było, że p. Zacharjasz wcale ducha i nadziei nie stracił, że tu sobie radę dać potrafi... Szło tylko o bardzo ostrożne zawiązanie stosunków... Następných dni sposobności się do tego nastreć zaczęły. Po Krakowie, który teraz długiem opuszczeniem stał się niemal małym miasteczkiem, każda pogłoska rozechodziła się szybko bardzo... Nie zjawił się nikt na tutejszym bruku, o kimby sobie natychmiast nie rozpowiadano. Przybycie więc Witkego nie przeszło niepostrzeżonem.... Wszyscy ciekawi byli niezmiernie czegoś się więcej o przyszłym dowiedzieć królu. Drzwi się u Hallerów nie zamykały.

Zacharjaszowi było to na rękę, gdyż miał zrzeczość jednać dla Kurfirsta i z tego co słyszał, wynioskować co go tu czekało.

Pierwszym wnioskiem, któremu oprzeć się nie mógł iż samowolny w swem państwie Kurfirst, nie nawykły szanować prawa, które sam dyktował, będzie tu miał wiele do zwalczenia trudności ze szlachtą, o swe przywileje zazdrosną.

W kilka dni po przybyciu sasa, zjawił się dawny znajomy Hallera, stary już stolnik Górski, który obyczajem dawnym u Hallera gospodą stanął. Górski był wielce dla Witkego ciekawą postacią, z której o innych mógł wnosić. Wcielał on w sobie wszystkie właściwości szlachty polskiej i panów, bo stał pomiędzy jedną a drugimi. Zamożny tak, że z wielu magnatami mierzyć się mógł dostatkami, pan stolnik ani pragnął, ani próbował wciskać się pomiędzy nich, choć ród i posiadłości obszerne, zachcianki te by uspra-

wiedliwiały. Pozostał szlachcicem, ani się dobijając urzędów, ani dworem nie otaczając licznym. Przyjmowano go pomiędzy senatorami z poszanowaniem, wśród szlachty jako pana brata, którym się ona poszczycić mogła.

Dom i obyczaj Górskich niewiele miał nowego, stał przy starych tradycjach i prostotą, a nawet pewną, umyślną, republikańską surowością się odznaczał. Stolnik był nieposzlakowanej prawości mężem i w żadne z sumieniem się frymarki nie wdawał. Sąd jego o sprawach Rzeczypospolitej był nieubłagane ostrym i prawdomównym, a otwartym bez oglądania się na ludzi.

Ci co się w sumieniu nie czuli czyści, a takich naówczas nie mało już było niestety, unikali Górskiego, bo im bez ogródki wyrzucał ich błędy i przewinienia.

Aby się na to nie narażać, obchodzono pana stolnika, kłaniano mu się, ale niechętnie wdawano w rozprawę.

Wiadomem było, że Górski za życia Sobieskiego, przyjacielem był mu wiernym, ale królowej niechętnym, a gdy przyszło do jawnej rozterki, pomiędzy matką a synami, odstąpił Sobieskich i na polu elekcyjnym z większością za Contim głosował.

Przybycie jego do Małopolski i Krakowa, miało na celu przekonanie się tu, jak stała elekcja saska i jakie nadzieje mógł mieć kandydat francuzki.

Nowym całkiem dla pana Zacharjasza, wydał się ten szlachcic polski, trzeźwy, spokojny, w przekonaniach twardy, nieambitny i na pozór bardzo chłodny...

— Nie bierz waszmość z niego miary — rzekł mu spytany Haller. — Pan Górski u nas podobnych sobie liczy mało.

Następnego wieczoru, u kolacji, Witke znalazł się z nim razem u gościnnego stołu gospodarza. Górski



się z nim zapoznał i dosyć ciekawie o Kurfirsta się rozpytywać zaczął.

Witke oczywiście chwalił go i wynosił, a stolnik cierpliwie słuchał.

— Sławicie go z mocy wielkiej — odezwał się potem — a my się z niej cieszyć byśmy powinni, bo nam pana potrzeba, któryby wiele wybryków mógł poskromić, ale tu skopuł. Rzadko kto użyciu siły granice położyć umie i prawo chce poszanować, gdy je bezkarnie złamać może. U nas zaś, cośmy na straży nietylko praw, ale obyczaju naszego nawykli, stoi od lat kilkuset samowola niemożliwa. Próbowali, od Batorego począwszy, panowie nasi wszyscy, władzy sobie pomnożyć, a nam swobód ukrócić, a pomnożyli tylko nieład i rokosze. Możeby nam zbytich wolności w istocie ująć należało, ale kto ich zakosztował, nie łatwo się zrzeka. Posłysz, kto się porwie na *absolutum dominium*, bodaj *percat mundus, vivat libertas!*

— A pan stolnik—wtrącił Haller — pochwalasz to bałwochwalstwo wolności?

— Ja?—odparł Górski, z uśmiechem—ani chwałę, ani ganię, opowiadam co widzę. Pragnę dobra Rzeczpospolitej, nie mogę poszanowania praw ganić, boć prawo prawem i nie łamać je, ale poprawić należy, jeśli złem jest. Kurfirstowi to wrazić potrzeba, aby go w niebezpieczną kolizję nie wciągnięto, nie zua nas. Ci co mu się podjęli Rzeczpospolitą dać poznać, bodaj nie wszyscy sumienni.

Po chwili milczenia, Górski zwrócił się do Witkego.

— *Si fabula vera* -- rzekł — bo na wysoko stojących potwarze łatwo płyną, mówią, iż Kurfirst zbyt krewkim jest i choć żonę ma, z miłośnicami się nie kryje, a nieustannie je mienia. U nas mu to ani sere, ani szacunku nie zjedna.

Witke zarumieniał się mocno.

— Młodym był—rzekł—ale dziś lata nadchodzą,



w których pomiarkować się musi. Podróżował wiele, napatrzył się przykładów lekkomyślności tej na królewskim dworze w Paryżu. Zaraza się pochwycą łatwo.

— Tak ci jest—dodał stolnik—im z większej wysokości płybie, tem niebezpieczniejsza jest. Do Polski przybywając, powinien się wyrzec tego, bo dzięki Bogu i niewiast nie znajdzie, któreby sromu się pozbyły.

Nie chcąc dłużej o tem mówić, pan Zacharjasz zwrócił na bogactwa Kurfirsta, szczodrośliwość jego i świetność dworu, na rycerskie wreszcie przymioty.

— Myśmy słyszeli — rzekł Górski — jakoby na wojnie z Turkami, wcale powodzenia nie miał.

Witke nauczony, wyłożył to zazdrością i zdradą, a Górski głową potrząsnawszy, uniłkł.

— Nie ujmując waszemu Kurfirstowi — odezwał się—za którym ja nie głosowałem, zawsze to zastrzedz muszę, iż dla nas bezpieczniejszym jest pan, który przybywa zdala, niż ten, który o granicę dziedziczne ma posiadłości. Łatwo mu z sasami nami przewodzić i stałem wojskiem swem swobody nasze ścieśniać.

Nawzajem tak Witke i stolnik, badali się przez cały wieczór, przy czem sas się nauczył wielu rzeczy, o których pojęcia nie miał. Coraz dziwniejszą wydawała mu się ta Polska... jej szlachta, swobody i obyczaje... Było myśleć o czem. Miarkował już, że Kurfirst wcale wolności tych szanować nie myślał, ale zamileczał z ręcznie i bez rozgłosu, powoli je wniwecz obrócić... Zdradzał się z tem, mówiąc z nim Mazotin, naprowadzały na wniosek i inne wskazówki... Co z tego wyniknąć mogło?... odgadnąć było trudno...

Górski, który w istocie żadnego nie miał interesu w Krakowie, zapowiedział, że chce tu dłuższy czas pozostać, aby przebiegu spraw publicznych być bliżej.

Ponieważ codzień do niego napływało osób mnóstwo, a Haller wiedział o tem co się u stolnika działo, Witke też wiele z jego korzystał.

Mazotinowi przyrzekł zdawać sprawę ze wszystkiego co tu widzieć i słyszeć będzie, mogącego obchodzić Kurfirsta; musiał więc w parę dni zasiąść do listu, chociaż do pisania wstręt miał wielki i jako kupiec, znaczenie skryptu znał dobrze i obawiał się go. Z Krakowa do Drezna, regularnych poczt nie było, wysyłali sasi, już tu zesłani na zwiady, raporta niemal dnia każdego, przesyłanie więc pism nie było trudnem... Taż samą drogą Witke miał je odbierać.

Wieczorem codzieln prawie stolnik Górski, który w rozmaitych kołach się obracał, przychodził z miasta powracając do Hallera gdzie i Witke się znajdował... Na rękę to było niemcowi, bo się od niego najłatwiej mógł dowiedzieć co w mieście i na zamku przybywający panowie radzili i rozprawiali, i jak stała sprawa Kurfirsta. Górski intrygi, potajemnych robót wcale nie rozumiał, miał je za nieuczciwe, niekrył więc nic o czem słyszał, ani co sam myślał. P. Zacharjasz od niego się najłatwiej mógł dowiedzieć, jak się tu składały przygotowania do koronacji, i co przywozili z sobą z Warszawy i Łowicza nadjeżdżający panowie.

Stolnik mówił otwarcie, że choć Conti był prawnie obranym królem i miał za sobą poważnych ludzi wielu, z trudnością przeciwko Augustowi będzie się mógł utrzymać, gdyż garstka adherentów jego z Przebędowskimi i biskupem Dębskim na czele była niezmiernie ruchawą i zuchwałą, skrupulatnego poszanowania prawa znać nie chciała i szła przebojem.... Conti tymczasem zwlekał, i pieniędzy nie nadsyłał, gdy Sas zapożyczając się coraz nowych kupował przyjaciół, którzy od francuza odstępowali.

Prymas był główną siłą, na którą rachowali Kontyści, a o nim mówiąc stolnik tylko przez uszanowanie dla arcybiskupiej i kardynalskiej godności wstrzymywał się od sądu o charakterze praelata.

Katolik gorliwy, człowiek pobożny bardzo, Górski, który dzień każdy rozpoczynał od mszy świętej u Pan-

ny Marji, a kończył razem z czeladzią klęcząc i modląc się przed podróżnym swym ołtarzykiem, chociaż Contiego obierał, zaczynał się wahać sam co miał czynić. Nie żeby uległ namowom lub się dał, jak inni pozyskać, gdyż na to zbyt był sumiennym, lecz znane mu postępowanie Stolicy Apostolskiej, jej życzenia, zachody Nuncjusza Davij, syna kościoła, ostudzały dla francuza.

Jawnem było, z czem się duchowieństwo nie tało, że Rzym koronę Polską sasowi dawał i do otrzymania jej dopomagał, z pomocą OO. Jezuitów, aby za tę cenę przywrócić Saksonji zapewnić i dynastję Włtynow, którzy w rozprzestrzenieniu i utwierdzeniu protestantyzmu, tak czynny niegdyś udział brali, kościołowi pozyskać.

Górski, wierny syn kościoła, chociaż August wcale mu sympatycznym nie był, przypuszczał już, że do jego obozu przejść będzie zmuszony. Milczał smutny. Z jednym tylko bardzo się często odzywał, to że fałszem i drogami podziemnymi nie przystało monarsze iść do korony, a na podstępnych i nieczystych zachodach codziennie łapał partję saską.

Witke jak mógł i umiał oczyszczał swojego pana, składając intrygi na ludzi, a rycerski charakter Kurfirsta podnosząc. Ale im więcej go sławił, wedle swego przekonania, tem Górski mniej w nim smakował.

— Zbytnik jest, zbytki lubi — mówił otwarcie — złotem się okrywa, klejnotami błyszczy, a nam tego nie potrzeba, ale powrotu do kożucha i wielkiej prostoty obyczaju. Mówią nam, że te elegancje i kunszty ludzkości wzrost i ogładę oznaczają, ale ja widzę, że gdzie się one zagnieździły, tam stara cnota poszła precz. Co mi po przepychu, gdy pocziwości w nim niema, a dla połyску sprzedaje się sumienie??

O tych głosach, Witke nie zawiadamiał Mazotina, wiedział bowiem, że stolnik sam prawie jeden stał przy tem przekonaniu. Nazywano je dziwactwem. Gdy Górski mówił słuchano go z poszanowaniem, jak

kaznodziei, ale nikt tego nie brał do serca i szedł potem każdy dawniej obraną drogą...

Sklaniano głowę przed prawym i czystym starcem a naśladować go nikt nie myślał.

Na miejscu wiele jeszcze przed koronacją do przełamania było. Naprzód na zamek się dostać bez użycia przemocy, mogli sasi tylko z pomocą Wielopolskiego, a ten opierał się i kluczy odmawiał powtórę, z ośmiu czy dziesięciu kluczy do skarbcu koronnego, sześć było w rękach Kontystów, a ci ich nie myśleli puścić. Łobzów zajmował Lubomirski... W Warszawie francuzcy adherenci gospodarowali, prymas nie chciał znać Sasa.

Owe osiem tysięcy wojska, które stało w pogotowiu na granicy, wprowadzie przemagającą było siłą przeciwko garstce pułków koronnych, ale przelewać krew, nim się do stopni tronu dostało, wydawało się groźnem. August przynajmniej na początek od kolizji się wzdragał. Za to i on i jego partja na ścisłe poszanowanie prawa wcale zważać nie myśleli...

Po Krakowie już się rozchodziła wieść o tem, że żona Kurfirsta, za którą mąż zaręczył, iż wraz z nim rzymsko-katolickie przyjmie wyznanie, popierana przez matkę, nie myślała wcale się dać nawrócić, ani synowi dozwolić aby przeszedł w ręce katolickich nauczycieli.

— Stoi jak wół w paktach ten warunek—mówili Kontyści z przekąsem — aby królowa wraz z mężem katoliczką się okazała...

Ze strony sasów, półgębkiem szeptano, że podpisany oryginał paktów tych, gdzieś się zapodział, zawieruszył i nigdzie go odszukać nie było podobna. Kopje tylko chodziły.

Nalegano na to z jednej, lekceważono to z drugiej strony.

Witke spisywał co słyszał. Mazotin nie odpowiadał mu na piśmie, nie dawał instrukcji, kazał mu tyl-

ko oświadczyć przez swych wysłańców, że był z niego rad i pochwalał zręczne postępowanie.

Witke przybywszy tu pod pozorem stosunków handlowych, przekonał się i z tego co mu Haller mówił i z tego na co patrzył, iż nie wiele mógł przedsiębrać. Wszystko czego miejscowi potrzebowali, dosyć było obficie, mógł tylko pan Zacharjasz to wprowadzić z korzyścią do Polski, do czego sasi byli nawykli, a znaleźć tu nie mogli. Takich zaś niemieckich towarów dla Niemców bardzo się liczyło niewiele.

Wedle zapewnienia Hallera, w Warszawie stał handel tak samo. Witkemu o handlowe sprawy nie chodziło, ale ich dla pokrywki istotnego celu potrzebował. Krzątał się więc.

Powoli robiły się znajomości, ale tym nie zwierając się, pan Zacharjasz korzystał, aby się z krajem obeznawać. Ponieważ nowo obecny król, dopiero pierwszych dni września mógł stanąć pod Krakowem, gdyż wiele przyborów do uświetnienia koronacji potrzebnych z Wiednia ściągać musiał, pozostawało Witkemu dosyć czasu, aby do Warszawy przedsiębrać wycieczkę.

Haller, który dla miasta się podjął sukna szkarłatnego dostarczyć na wysłanie w Rynku szranków, wśród których Kraków nowemu panu, wedle zwyczaju hold miał składać, potrzebował jeszcze sporo postawów i zamierzał je ściągnąć od swoich współników z Warszawy, bo mu za nie we Wrocławiu zbyt drogo się domagano.

Sam on niemal rzucił tę myśl Witkemu, że go z sobą zabrać gotów do nowej stolicy, z której prędko powrócić mieli. Jednego więc dnia z pośpiechem wielkim, pożegnawszy pana stolnika, pozostającego w Krakowie, wyjechali oba i z pomocą znajomości, jakie miał Haller po drodze, prędzej się dostali do Warszawy niż obrachowywali.

Tu krakowski kupiec za swemi poszedł interesa-



mi, a Witke oswobodzony od wszelkiej kurateli i nadzoru, puścił się na miasto.

Po Dreźnie nowa stolica nie uczyniła na nim korzystnego wrażenia, znalazł ją małą, wielce zaniedbaną w porządku, zabrukana, a co gorzej, tak przez Contistów zajętą, że tu o Sasie odzywać się nie było można. Zaraz następnego dnia po przybyciu z Rynku starego miasta, gdzie stanęli u kupca pokrewnego Hallerowi, Witke rano powędrował oglądać zamek i przedniejsze ulice. Na tej pielgrzymce, w której z wielką swą pociechą, doskonale się polskim językiem posługiwał, zeszedł czas niemal do południa i na-  
zad ku krakowskiej bramie i zamkowi wróciwszy pan Zacharjasz na jednym domu nieopodał zamku, spostrzegł winne grono i wiechę zieloną. Pić mu się chciało. Szynceł nie wiele obiecywał, ale napis miał franeuzki i nazwisko właściciela, cudzoziemca oznajmywało: Jean Renard, marchand des Vins français.

Zaledwie próg przestąpił, owiała go wonią napojów przejęta, duszna izby atmosfera, nim okiem miał czas rzucić po izbie, usłyszał okrzyk podziwienia i swoje nazwisko.

Za stołem przy butelce siedział, o dziwo! pan Łukasz Przebór, ale go poznać było trudno, tak wypiękniał.

Naprzód nic w nim już nie pozostało z kleryka, wąsa pokręcał, a suknie miał pospolitym krojem ówczesnym polskim, jak z igły, niesmacznie dobrane, ale jaskrawe i bijące w oczy.

Strój ten brzydszym go czynił, niż był nosząc strój dawny, ale z twarzy widać było, że albo on albo szczęśliwe okoliczności, Przeborowi dodały odwagi i swobody w obejściu się z ludźmi. Siedział w gromadzie szlachty, dosyć krzykliwie rozprawiającej, której zdawał się przewodzić.

Zobaczywszy Witkego, nie zważając na towarzyszków, porwał się żywo bardzo pan Łukasz i podbiegł ku niemu.



Sasowi to spotkanie wcale przyjemnem nie było. Nie życzył sobie aby go tu, jako adherenta Augustowego paleami wytykano. Szczęściem Przebór się musiał tego domysleć i z krzywym uśmieszkiem, a okazem radości wielkiej, pozdrowił go jako Szlązaka.

Szlachta siedząca u stołu, której pan Łukasz coś szepnął, snadź już tu długo biesiadująca, bo lica miała pałające i próżnych flaszek dosyć przed nią stało, ruszyła się od stołu i rozchodzić zaczęła, Przebór pozostał.

Witke zajmwszy miejsce u opróżnionego stolika, kazał podać butelkę wina i dwie szklanki, bo wiedział, że Przebór, choć już niespragniony, nie odmówi zaproszeniu.

Ciekawość nadzwyczaj podniecona, z oczów mu tryskała.

— Na żywego Boga!—zawołał—co waćpan tu porabiasz. Przedewszystkiem się był dzisiaj spodziewał widzieć nie wiem kogo, niżeli was!

Witke miał czas się namysleć nad odpowiedzią.

— Prosta rzecz—rzekł—kupiec jestem, mówiłem waćpanu, że tu handel założyć myślę, przybyłem się rozpatrzyć.

Przebór głęboko wlepił w niego oczy.

— No i cóż?—zapytał.

— Nic jeszcze nie wiem — obojętnie dosyć odparł Witke. — Byłem w Krakowie, ale to bodaj umarłe miasto, które tylko może na krótką chwilę odżyje, a Warszawę lepiej poznać potrzebuję.

I dodał z umyślnym przekąsem.

— Czego macie dosyć—to błota.

Rozśmiał się pan Łukasz.

— W jesieni? cóż to za dziw — rzekł nieco urażony. — Zresztą inna to rzecz miasto niemieckie, a polskie, my do fatalaszek ceny nie przywiązujemy.

Machnął ręką.

— Cóż u was słyhać—ciągnął dalej.—Po mojej

ucieczce, czy pani Przebédowska wdziała przynajmniej żalobę?

Rozśmiał się bardzo głośno, aż się po izbie rozległo.

— Co się mnie tyczy — dodał — jak widzicie, suttannę wyrzuciłem za płot i powróciłem do swobody, szabelkę jak przystało, przypasawszy.

Pokręcił niezbyt wyrosłego wąsika.

— No i ze złości na Przebédowskich — rzekł — przerzuciłem się do Kontystów, którym służę...

Rzucił okiem na Witkego, ale ten ani podziwiania, ani żalu nie okazując szeptał tylko.

— A jakże się powodzi?

— Mam najlepsze nadzieję... poznałem już wiele osób, obiecują mi dosyć, nasz Conti nie tak bezpiecznym jest, jak się może wydaje, i tylko co go nie widać w Gdańsku, gdzie z ogromną flotą i znaczną ma wylądować siłą, a tam też już nie małe na niego poczty oczekują... Mamy z sobą Prymasa, a ten jeden za dziesięć regimentów zaważy...

Rzekłszy to, poczekał trochę Przebór, azali się jakiej odpowiedzi nie doczeka, ale Witke mu nalał szklankę opróżnioną i ramionami tylko poruszył.

Po krótkim milczeniu dopiero sas się odezwał.

— Jakto dobrze żem was spotkał i informacji zasięgnął, okazuje się bowiem, że ja tu nie będę miał co robić i nie potrzebuję wina sprzedawać, gdy francuzi zawczasu już swoich mają.

I ręką pokazał na izbę, w której się znajdowali.

— A tak! — rozśmiał się Przebór — gospodarzem tu Renard jest... i bodaj nie od dzisiaj. Niewiem ojcico jego czy dziad za królowej Marji Ludwiki tu się osiedlił. Handel mu idzie dobrze, człowiek stateczny... jejmość jeszcze wcale przystojna, a była bardzo piękna. Córeczka zaś... Mówiąc to potracił lokciem Witkego i wskazał na drzwi.

Stała w nich właśnie ta, o której mówił.

Było to dziecię jeszcze, ale tak przedziwnej piękności i wielkiego wdzięku, tak zachwycające. że od niego oczu oderwać nie było można. Wszyscy goście, gdy się ukazała mała Henrjetka, obrócili się ku niej, patrząc jak w obraz cudowny...

Dziewczyna, śmiała, bo od dzieciństwa do obcych nawykła... z zalotnością nad wiek swój, uśmiechała się swoim wielbicielom. Widać z niej było, że rodzice kochać ją i pieścić musieli, bo z niezmierną elegancją ustrojona, miała nawet od rana klejnociki na sobie i pyszniła się niemi i sobą.

Tak pięknego dziecka, gdyż Henrjetka więcej nad lat dziesiątek nie liczyła, trudno było znaleźć nietylko w pospolitej winiarni, ale i po pańskich pałacach. Witke, który dzieci lubił, a i pięknemi twarzyczkami wogóle nie pogardzał, patrzył widocznie zachwycony...

Dziewczę z włosami ciemnymi, w puklach puszczo-nemi na ramiona, w różowej z białem sukience krótkiej, w bucikach na czerwonych korkach, ze swą twarzyczką ślicznego owalu i rysów delikatnych, było jakby do malowania!

Przebór, znajomy już uśmiechnął się jej oczarowany...

— A co to będzie, gdy ten cudowny kwiatek rozwinie się całkiem, toć pański kasek, ale w takiej winiarni, gdzie wszelkiej młodzieży zawsze bywa pełno.

Westchnął i nie dokończył.

Wyszła w tej chwili wystrojona również, matka Henrjetki, niemal tak piękna jak ona, ale już drugiej młodości jejmość zażywna i otyła—i pochyliła się ku dziecieniu i nieco opierające się odebrała ciekawym oczom, uprowadzając z sobą.

Pan Łukasz, który już wprzód był podochocony a tęgim winem Witkego bardziej jeszcze głowę sobie zawrócił, pochylił się przez stół do kupca i gwarzyć począł, co mu ślina do ust przyniosła.

— Ja tak dobrze jak na służbie jestem u Prymasa — mówił otwarcie — skorzystałem z tego, żem przy tej Przebédowskiej wisiał. W wielu rzeczach mogłem ich objaśnić, a co mnie wasz Sas obchodzi? Zobaczymy jak się rzeczy obróca, juści to nie może być, ażeby francuzi mniej od jednego Kurfirsta saskiego mieli pieniędzy, ale jakoś dotąd ich nie wiadać a saskie talary kursują gęsto. Prymas się skarży, że mu one ludzi codzień odciągają. Hel hel! ja bym i za niego samego nie ręczył.

Witke się uśmiechnął.

— Tak sądzicie? — zapytał napozór obojętnie.

— Kardynał sam — rzekł Łukasz — pewnie by się sprzedać sromać i za mało go kupić nie można; ale około niego bab dosyć.

— Jakto bab? około arcybiskupa? — zagadnął Witke ciekawie.

— Nie myślcie złego nic — odparł Przebór — ucho waj Boże, ale siostrzenicę ma bardzo ulubioną, Towiańską, a ta klejnoty lubi, a blizka też krewna księżna Lubomirska. — Pokręcił głową, popił i ciągnął dalej.

— Prymas ma słabość do Towiańskich.

Ani się spostrzegł pan Łukasz, gdy się nie bardzo nawet za język ciągnięty, wypowiadał ze wszystkiego. Z kolei począł badać też kupca, ale ten mówił tylko co chciał i co mu mówić było potrzeba. Wygadał się niby nieumyślnie, że na koronację całe beczki złota wiozł Fleming dla opłaty wojska, całe skrzynie klejnotów na podarki dla przyjaciół.

Przebór głową poruszał znacząco.

Naostatek dowiedział się kupiec od niego, iż Radziejowski list miał wystosować do Saskiego Elekta, w pięknych i łagodnych wyrazach, uprzedzający go, aby spokoju Rzeczypospolitej nie zakłócał rozdwojeniem, gdy wybór jego nieprawny, w żaden sposób utrzymać się nie mógł.

O tem też wiedział pan Łukasz, iż jósliby w Kra-

kowie zebrał się sejm koronacyjny, Prymas zwoła drugi do Warszawy i ogłosi rokosz.

Długo tak wysiedziawszy Witke, gdy się nareszcie ruszył, żegnając z Łukaszem, nie mógł się go pozbyć, bo mu aż do gospody towarzyszył.

---

## V.

Dnia dziesiątego września, dziwy już sobie rozpowiadano po Krakowie, o tym niesłychanym prze-pychu, z jakim August do spalonego dobrowolnie przez Lubomirskiego Łobzowa nadciągnął.

Ze stolicy sznurem ludzie płynęli tam i napowrót ku murom pałacyku, aby się cudom o jakich głoszone przypatrzeć.

W istocie August nie żałował na wystawę, którą by mógł polakom dać jak największe o bogactwach swych wyobrażenie. Okazałości te były albo na wiarę przez kupców wiedeńskich dane Kurfirstowi, lub niesłychanym uciskiem jego poddanych saskich zebrane. Przewrót zupełny spowodował ten wybór Kurfirsta, szczególnie w licznych urzędnikach kraju, którzy wszyscy na raz zdegradowani zostali, a kto się opłacić nie miał czem, aby utrzymać na stanowisku, musiał je zamożniejszemu ustąpić. Oprócz tego ustanowiono akcyzę, narzucono na szlachtę kontrybucję i biedna Saksonja przeklinała zawczasu Polskę.

Alę potrzeba było widzieć za to, jak August po królewsku się rozpościerał, w Łobzowie. Samych złotych i srebrzonych kolebek pańskich sto dwadzieścia pięć liczono, koni przeszło kilkaset, a niektóre z nich niesłychanego bogactwa dźwigały na sobie

dywdyki i czapraki. Paziów, lokajów, hajduków w barwie nowej, szamerowanych galonami, nie można było policzyć. Trabanci, szwajcarowie, gwardje, działa ogromnej wielkości, zapasy kul i prochu, czterdzieści wielbłądów, objuczonych szkarłatem i złotem, towarzyszyły naśladowcy Ludwika VIV.

Szeptano, że jedna laska marszałkowska, która przed królem niesioną być miała, cała brylantami wysadzana, na tysiąc dukatów szacowaną była.

Widział już i pamiętał stary Kraków niejedną raz wciągające tu orszaki pańskie, równie kosztowne i wspaniałe, ale na nie się cały kraj, szczególnie panowie i rycerstwo składało, teraz zaś, zmniejszoną wielce liczbą pocztów pańskich, sam jeden przepych Kurfirsta miał zastąpić.

Na parę dni przedtem, znajomy nasz Witke, w którym kupca trudno się było już domyśleć, przystrojony modą francuską, w peruce, kręcił się około zamku.

Zdawał się mieć tu dobrych znajomych i stosunki. Przybywającego wieczorem oczekiwał poważny, podżyły urzędnik dworu dowódcy zamku i z poszanowaniem wprowadził go przez puste korytarze do komnat, które sama pani zajmowała.

Oczekiwano tu nań widocznie. Średnich lat poważnie i pańsko wyglądająca matrona, strojna wytwornie, klejnotami okryta, przyjęła przybywającego, którego wpuścił tylko przewodnik i nie bez pewnego zakłopotania, miejsce mu przy stole wskazała.

Witke, jak gdyby w życiu nigdy nie innego nie robił, z wielką zręcznością wywiązał się z jakiegoś poselstwa i po krótkim przemówieniu, dobył z pod sukni pudełko, przyniesione z sobą. Otworzył je podsuwając przed oczy pani, która, choć zarumieniona, z wielką troskliwością przyglądać mu się zaczęła. Rumieniec oblewał jej twarz, ręce drżały, wzrok obiegał po pustej komnacie, jak gdyby lękała się być pochwyconą na tej schadzce, której tajemniczy cel,



zdawały się odsłaniać, w mroku ogniem strzelające brylanty. Brała je, przyglądała się i rzucała, przysuwiała i odtrącała leżące na stole klejnoty, zdawała się walczyć z pokusą. Witke w milczeniu czekał z poszanowaniem na jakąś stanowczą odpowiedź. Po kilkakroć zadrżały wargi, jak gdyby mówić chciała i zamknęły się, bo przyspieszony oddech odezwać się nie dawał.

Kamienie były wysokiej ceny, a poważna pani może po raz pierwszy w życiu była wystawioną na to pokuszenie.

Witke przypatrywał się jej tak zimny i na pozór obojętny, jak gdyby w tych frymarkach, do których w istocie nie był wcale nawykły, miał już wprawę i nawyknienie.

Myślała jeszcze, namysławiając się poważna pani, gdy kupiec rzekł półgłosem.

Bądź co bądź, objęcie zamku, w jakikolwiek sposób, przyjdzie do skutku. Ksiądz biskup Dębski, pan wojewoda Jabłonowski, marszałek Lubomirski, upewnili o tem Elektora; spokojnym więc umysłem możesz pani przyjąć ten *podarek*.

Usta słuchającej, z przyciskiem powtórzyły ten wyraz.

Witke zlekka podsunął klejnoty, ujął kapelusz w ręce i jakby mu pilno było dokończyć, skłonił się na pożegnanie.

Zakłopotana pani powstała, chciała coś mówić i opadła na krzesło.

Witke na palcach, cicho, opnął zamkową komnatę, uśmieszek zwycięzki błysnął po nstach jego.

Dnia dwunastego września, pomimo, iż słońce nie bardzo chciało przyświecać uroczystości, od rana napływały już tłumy do miasta, a kto się tu wcisnąć nie mógł, obawiał, lnb nie chciał, stawał na drodze z Łobzowa wiodącej, którą pochód Augusta miał się odbywać.

Starcom przypominały się dawne czasy i opowiadania ojców i dziadów, o tych świetnych wjazdach, zaślubinach, obchodach, których Kraków był świadkiem.

Przepych i na ten dzień się obiecywał zdumiewający, olśniewający, królewski, lecz wielce on różnił się od tego, jaki niegdyś świadczył o kraju bogactwach i przywiązaniu jego do swych panów.

Nader mała liczba magnatów występowała, towarzysząc wybranemu panu, wszystko co tu błyszczeć dziś miało, było saskie i należało do Kurfirsta. Owe poczty wojewodów, biskupów, kasztelanów, wysokich urzędników dworu i Rzeczypospolitej, które się nieraz po kilkaset koni liczyły, wcale się nie obiecywały. Za to orszak własny, przyszłego króla, miał być niezmiernie liczny i nad wyraz wspaniały i smakowny. Ci, którym się udało wcisnąć na podwórze Łobzowskie i oglądać tam poodslaniane powozy od złota i aksamitów, konie postrojone w opony herbami okryte, ludzi w najrozmaitszych barwach, cudzoziemską modą poprzybieranych, wielbłądy z jukami w kobierce wschodnie powiązanemi, unosili się nad zamożnością i szczodrobliwością Augusta.

Mówiono sobie, że miljony już rozsypał, aby Elekcją swą utwierdzić, a drugie tyle ich wioził z sobą, aby między wiernych adherentów rozdzielić.

Uspokobienie tłumów, które niewidzialni Augusta posługiwacze zagrzewali, całe się ku niemu zwracało. Sławiono jego męstwo, siłę i zręczność, rozum a razem uprzejmość i łagodność. Unosili się ci co go już widzieli nad pięknością postaci, porównywając z kolei do Apollina, Herkulesa, Samsona i Marsa. Ciekawość kobiet szczególnie, była do najwyższego stopnia podsycona.

W rynku Krakowa, panowie Radni, już na pewno wiedzieli, że bramy zamku, których Wielopolski jeszcze przed kilku dniami otwierać nie chciał, miały stanąć bez przeszkody na oścież wjeżdżającemu. Uwi-

jano się w zamku z przygotowaniem opuszczonych dawno i zaniedbanych komnat, widziano wozy niemieckie wczoraj wieczorem już tu nadciągające i wpuszczone.

Mieszczanstwo też zawczasu przybrane, występowało całe z cechami, znakami, godłami, uzbrojeniem i chorągwiami i wjazdowi miało przyczynić, jeśli nie okazałości, to powagi i liczby uczestników.

Szły tedy na przedzie, gdy z Łobzowa sygnał dano, cechowe chorągwie, każda ze starszyzną i insygnjami swemi, zbrojne i strojne; za niemi polskie gwardje i wojsko, załogę miejską stanowiące, po nich dwa piękne regimenty dragonów, a za niemi w ślad dwudziestu czterech paziów saskich z cudzoziemska postrojonych.

Dwadzieścia i cztery konie ręczne Augusta we fiokach i czubach, wszystkie były jednakowo okryte czaprakami z karmazynowego aksamitu, bogato srebrzem szytymi w herby Saskie i Welftynów, w cyfry króla. Czterdzieści mulów po nich, miały na sobie saskiej barwy, żółte nakrycia. Poprzedzały one dwadzieścia i dwie karety, tak uporządkowane, iż coraz wspanialsze i bogatsze następowały jedno po drugim do końca. Ale własny powóz Augusta, zamiewał je wszystkie. Dwanaście koni perłowej masy, nadzwyczajnej piękności, tak dobrane doskonale, jakby je jedna matka rodziła, ciągnęła kolebkę wyłancaną, około której pieszło szło dwunastu drabantów, w żółtej barwie krojem szwajcarskim.

W szeregu powozów ciągnęły kolebki paradne cesarskiego posła i własna jego kareta.

Konie ręczne, które przodem prowadzili masztalercze, uderzały pięknoscią i doborem, lecz niczem one były obok czterech wierzchowców osiodłanych, które wiedziono za karetami. Całe rzędy na nich, siodła, czuby, napierśniki, świeciły drogiemi kamieniami i złotem. Za temi szła muzyka z trębaczów i bębnow złota. Pałki nawet, któremi w kotły bito, srebrem

połykiwały. Zapowiadała ona dwa oddziały wojsk saskich, którym dowodził konno, minister hrabia Eck. Cudzoziemskiego autoramentu, umundurowania i uzbrojenia, w Polsce już nowością nie było, ale król August swoje pułki na okaz wyprowadzając, ze szczególną je i uderzającą wyszttytował elegancją.

Gościnność wymagała, aby sasów przodem puszczono, a pułki pancerne za nimi kroczące, wcale się porównania nie obawiały.

Na każdego z panów towarzyszków, składających je, warto popatrzeć było z osobna, bo, choć wszyscy oni, mniej więcej w jeden sposób strojni byli i zbrojni, każdy się starał fantazją i wytwornością zbroi, lamparcich skór, skrzydeł, kopii złożonych, siodeł i rzędów, prześcignąć drugich, każdy czemś się szczególnie odznaczał.

Niektórzy prosili towarzysze szeregowi, tysiące na sobie dźwigali, a z twarzy i postawy do dowódców raczej niż żołnierzy podobni. Największe imiona, i najlepsza krew rzeczypospolitej szła dumnie w tych szeregach.

Z nimi i za nimi po większej części konno jechali senatorowie, wojewodowie, kasztelanowie, urzędnicy wyżsi, każdy z sobą mniejszy lub większy prowadząc poczet. Dębski biskup kujawski, ten którego dziełem była, można powiedzieć, elekcyja, jechał z biskupem sandomierskim, poprzedzając marszałka wielkiego koronnego Lubomirskiego, który niósł w rękę ową łaskę marszałkowską, całą wysadzaną brylantami, już zawczasu ogłoszoną jako klejnot drogocenny, kosztem króla przygotowany.

W ślad za Lubomirskim jechał Elekt, i na niego się oczy wszystkich zwracały, badając w nim przyszość, której on był tu przedstawicielem.

August na ten dzień za poradą biskupa, dla pozyskania sobie serc przebrał się po polsku. Pod nim koń szedł śnieżnej białości, krwi wielkiej, którego silna dłoń króla gorącość z łatwością poskramiała.

W całym blasku młodzieńczej jeszcze piękności był saski Kurfurst. Okrywała go suknia ze złotogłowu, podbita gronostajami na żupan niebieski narzucona, który świecił guzami ogromnemi brylantowemi. Niemi też wysadzone i obszyte były kapelusz, szabla, pas, siodło, wędzidła i rząd konia, na którym djamenty naprzemian z rubinami wielkimi połyskiwały. Nad nim baldachim ze szkarłatnego aksamitu, niosło sześciu radców miasta, a straż dokoła stanowili trabanci w żółtych szwajcarskich barwach.

Za królem jechał biskup Paszewski i liczne duchowieństwo polskie, kapituła, kanonicy prałaci, dalej urzędnicy dworu Kurfursta, nieodstępny Pflug, generał hrabia Trautmansdorf, koninszy W. von Thielau, pułkownik trabantów i królewska gwardya przyboczna, królewscy kirasyerowie i t. p.

Piechota saska z obu stron drogi ustawiona straż trzymała aż do zamku... Nie pozostawiono objuczonych wielbłądów w Łobzowie, bo ich juki tajemnicze miały zawierać owe bajeczne skarby, które August rozsypywać w Polsce obiecywał.

Wszystko to razem wzięte, choć starano się aby miejsca zajmowało wiele i długim się przewlekało ogonem, mogło przepychem olśnić, lecz dla tych co stare czasy pamiętali, uderzało skąpyim udziałem kraju... nieobecnością wielu rodzin, i wielu głównych dostojników. Ci, którzy dotąd oblicza króla nie oglądali, wpatrzyli się w nie, z niego chcąc rokować przyszłość.

Mogła ona wydać się im promienistą, bo dzień ten był dniem tryumfu dla Augusta, a twarz jego posłuszna zachowała wiarę w siebie spokojną, poważną, majestatyczną. Łagodny uśmiech, jakby dobroci pelen nieschodził z ust i serca przyciągał...

Pamiętało wielu wspaniałą postać Sobieskiego i mimowoli narzuciło się, porównanie. August młodszy nie miał na sobie majestatu bohatera z pod Wiednia, ale elegancją i wdziękiem zalotnym go prześcignął...



Czarujący ten uśmiech łagodny, który w nim ujmo-  
wał, nikomu się nie wydał tem, czem był w istocie,  
wdzianą ozdobą dnia tego, ponętą, pod którą serca  
szukać było próżno. W prostocie swej zawsze skłon-  
ni do przyjmowania z dobrą wiarą, co do ich serca  
przemawiało, polacy szeptali—Dobrym będzie... szczo-  
drobliwym jest... łagodność mu patrzy z oczów, a przy  
sile wielkiej coś nadto pożądańszem być może?

Radowali się więc wszyscy...

¶ W rynku stał z garstką wielkopolanów, wcale się  
niczem nie odznaczający stolnik Górski. I on przybył  
tu, aby sobie coś wywróżyc z aspectu Elekta, jak  
się wyrażał... Wybrano mu miejsce takie, aby wygo-  
dnie i swobodnie mógł się przypatrzeć Augustowi.  
Wlepił też w niego oczy z całą siłą, iż na siebie  
zwrócił królewskie wejrzenie... Uderzyć musiał prze-  
jeżdżającego Elekta, wzrok ten śmiało i uparcie wei-  
skający się mu jakby do głębin jego duszy...

¶ Górski odepchnięty zaostrzonym wejrzeniem Au-  
gusta, nie cofnął się przed niem. Walczyły z sobą,  
dwa te badające się wzroki i gniewne oczy króla  
z pewną niecierpliwością w stronę się odwróciły...

Oszust i komedyant jest! ozwało się w duszy  
stolnika, który myśl tę narzucającą mu się odepchnął...  
Niepostrzeżenie, jakby zgrzeszył tem, uderzył się  
w piersi i szepnął, przebac mi Pani! Grzeszenie  
może potępiam to czego nie znam... *Parce domine.*

— A co, panie stolniku?—odezwał się głos z bo-  
ku towarzyszącego mu Morawskiego.

Ze smutnym twarzy wyrazem obrócił się ku nie-  
mu Górski. Morawski domagać się zdawał wyroku  
na tego króla, którego po raz pierwszy oglądał.

— A cóż, panie stolniku? król?—powtórzył Dzier-  
żykraj-Morawski.

— A waćpanu, panie starosto, jak się zda? —  
odparł pytaniem odbijając pytanie Górski.

— Piękny, choć go malować!—zawołał starosta.



Nastąpiła krótka chwila milczenia, Górski zadumał się i z koniem przybliżył ku Morawskiemu.

— Uczyli was ojcowie jezuici w szkołach historyi zwierząt?—zapytał po namyśle.

Morawski się rozśmiał.

— Mało co—rzekł...

— No, to życie waćpanu dało tę obserwacyę—rzekł stolnik zimno — że najsroższy a najniebezpieczniejszy zwierz stroi się w najpiękniejszą sukienkę. Niema wdzięczniejszych barw tęcza, nad skórę żmii i węża, mieni się i złoci kameleon, piękny jest tygrys i lampart...

Morawski słuchał zdziwiony.

— Więc?—wtrącił.

— Ja żadnych wniosków z tego nie ciągnę — zakończył Górski. — Nie wiem zkad mi to na myśl przyszło, może od tych skór lamparcich, które nasi pauncerni mieli na barkach...

Morawski nie pytał więcej.

— Chcesz panie starosto, na bigos do mnie? — wtrącił z koniem się w tył cofając stolnik — bardzo proszę. Na zamku wprowadzie pulpety nas czekają, ale ja tam nie pojadę...

— Ja zaś nie dla pulpetów, uchowaj Boże — rozśmiał się starosta — lecz żeby bliżej poznać naszego pana przyszłego na zamek muszę.

— A jakże się z nim rozmówisz?—spytał z przekąsem Górski — po polsku zasię nie umie słowa, po łacinie, jakom słyszał, nie wiele zna, a waszmość z niemiecką i francuzką mową jak stoisz?

— Na bakier — rozśmiał się Morawski — co nie przeszkadza, abym zdala choć mu się nie chciał przypatrzeć.

Górski skłonił się i odjechał ku kamienicy Hallerowskiej.

W bramie jej stał Witke, chciwie pochwytyując słowa i wyrazy twarzy, on sam wesół był usposobionym.

Pobyt dłuższy w Krakowie, już mu całkiem usta rozwiązał, rozumiał i mówił jaką taką polszczyzną, opowiadając się szlązakiem...

Z wielką rewerencyą powitał stolnika, bo nauczył się go szanować, widząc jaki ma mir u ludzi.

— A cóż?—zapytał przystępując do niego.—Spodziewam się, że Kurfirst wstydu sobie ani koronie tej nie uczynił?

— Gdyby ludzi więcej było, choćby kamieni drogich mniej, wolałbym może—rzekł z przekąsem Górski i poszedł do mieszkania swego.

Witke poruszył ramionami.

Pierwszy raz przez czas dłuższy przebywając między obcemi, kupiec czuł coraz dobitniej jak odmienniej natury istnieć mogą ludzkie społeczeństwa, jak różnemi one pojęciami rządzą się i żywią. Człowiek uczciwy w sprawach powszednich, aż do drobnostek pilnujący rzetelności słowa, tu w Polsce nieustannie się ocierał o niepojęte dowody lekkomyślności w tych samych ludziach, którzy do rzeczy dla Witkego obojętnych nadzwyczaj wielką przywiązywali wagę.

Trudno mu było ich zrozumieć.

Spotykał tolerancyą największą połączoną z najgorętszą pobożnością, rzucanie bezrozumne groszem obok oszczędności spartańskiej, a naostatek w małych i nieznaczących ludziach, którzy sił żadnych i wpływu nie mieli, takie przejęcie gorące sprawami ogólnemi rzeczypospolitej, jakiego gdzieindziej w największych nie spotykał sferach. Sprzeczności te, które chwilami w osłupienie wprawiały kupca, znajdował na każdym kroku. Natrafiał na ludzi przekupić się dających, nie czyniących z tego tajemnicy, ale ciż sami ludzie po za pewną granicą, którą sobie zakreślili, stawali się niezłomni i niczem się ugłaskać nie dawali.

Witke musiał się tu uczyć nowego człowieka, jakiego w Niemczech nieznał, wiedział już z krótkiego doświadczenia, że ówczesna Polska rozpadła się na dwa wielkie obozy. Gdzie tylko cywilizacya za-

chodnia z oglądą i pogardą obyczaju starego się wciśnęła, tam moralność była zachwiana i nadwyreżoną; gdzie surowe stare panowało prawo, ludzie z żelaznym stoicyzmem opierali się zepsuciu... Naostatek i to musiał sobie zapisać p. Zacharyasz, iż pozorne nieokrzeseanie, szorstka skorupa tych, których on miał za barbarzyńców, okrywała sobą nie ciemnotę i nieświadomość, ale zupełnie inną różną jakąś o własnych siłach wypracowaną cywilizację, od zachodnich odmienną.

W krótkim przez kraj przejeździe z Hallerem zdumiewał się Witke, w grube i brndne siermięgi poubieranym chłopom, którzy w najtrudniejszych razach umieli sobie radzić ręką i głową, tam gdzie on, wykształcony stawał się bezsilnym.

Tacy ludzie jak stolnik Górski, dawnego autora-mentu mąż, znajdowali się dosyć gęsto rozsiani, choć nie wszyscy równe jemu przymioty umysłu okazywali. Obok nich Witke liczył i widział tych, których Kurfirst łatwo unieść mógł i pociągnąć z sobą.

Ale i ci nawet, w razach gdy szło o prawo stare, o obyczaj, który złamać było potrzeba, raczej obejść je, niż zniweczyć byli gotowi. To poszanowanie zakonu, przy nienstannem wymijaniu jego skutków, zdumiewało Niemca, i należało do najciekawszych właściwości polskiego narodu.

W interesach elekcyi, która prawomocną nazwać się nie mogła, nikt tu ani pomyślał, aby siłą skruszyć i pominąć odwieczne przywileje. Starano się wytłomaczyć, przekreślić zakon nie śmiejąc go wywrócić. Na chwilę tylko usuwano się z pod jego skutków, ale odwieczny mur nietknięty pozostawiano przyszłym wiekom...

Wieczorem tegoż dnia na zamku już nasz kupiec zszedł się ze zmęczonym wielce Mazotinem, Hoffmannem i Spieglem, kamerdynerami królewskimi.

Wszyscy oni zobaczywszy przybywającego kupca

uradowali się niezmiernie, wiedzieli, że on tu już mieszkał dłużej, oblegli go więc pytaniami.

Mało i tylko powierzchownie poznawszy polaków, ci ichmoście znajdowali ich tak łatwymi, uprzejmymi uginającymi się, że sobie i królowi najpiękniejszą wróżyli przyszłość, sądząc, że im się uda przeprowadzić, co tylko zechcą.

Mazotin szczególnie zuchwale patrzył na przyszłość.

— Straszono nas niepotrzebnie — mówił śmiejąc się. Nikt tu się opierać nie myśli, ludzie lgną do nas, nawet z przeciwnego obozu francuzkiego, codzień się ktoś do naszego przerzuca. Niechże bliżej naszego pana poznają i skosztują, dopiero w nim zasmakują.

Hoffman z uśmiechem sarkastycznym, szepnął bardzo cicho.

— Ale im Königsteinu i Pleissenburga nie pokazujcie, bo tego oni nie lubią.

Mazotin, który po ciężkim dniu odpoczywał w swojej komnacie na zamku, dla towarzyszków i gości, zastawił i wino, które królewskiego stołu były godne, bo też od niego zostały przyniesione. Tem bezpieczniej mogła sobie służba pozwolić, bo August też, odprawivszy gości ceremonialnych: nuncjusza, duchownych i wyższych urzędników, w ciśniejszem kółku rozpoczął zwykle wieczorne libacje, często się dopiero kończące nad rankiem.

Fleming, Pflug i inni przyboczni, dotrzymywali mu placu. Ale dnia tego nie można było biesiadowania przeciągnąć zbyt długo, bo następny miał zająć uroczysty pogrzeb poprzednika, wedle prastarego zwyczaju.

Ponieważ zwłok Sobieskiego, rodzina i Kontyści, wydać nie chcieli i strzegli ich w Warszawie, sądzono, że nawet cały obrzęd koronacyjny rozbije się o to, iż ceremonii pogrzebowej dopełnić nie będzie można.

Zakłopotanie było wielkie, bo starego obyczaju zaniedbać i pominąć nikt się nie ważył doradzać.

Sam nowo obrany król, podszeptując księdzu Dębskiemu, że ściśle biorąc zwłok króla nieboszczyka nie było potrzeba. Lud i tłumy nie wiedziały, gdzie się one znajdowały, dla innych starczyła próżna trumna i egzekwie, wedle tej formy, której ceremoniał wymagał.

Myśl tę pochwycono. Wszystko więc na ten dzień przygotowane kłamstwem było i udaniem. Chować miano trumnę pustą, kruszyć insygnia naśladowane, niszczyć pieczęci udane. Ale prawu i zwyczajowi zadość się stało. Nikt przeciwko temu nie protestował, August śmiał się i poruszał ramionami, szepcząc do ucha Flemingowi:

— Słuchaj, Henrysiu i z tego bierz miarę, jak tu postępować potrzeba. Pozory musimy we wszystkim poszanować i zachować, w tem grunt. Byle one okrywały to, co się tobie będzie, przejdzie wszystko.

Był też najlepszej myśli Elekt, a przed polakami z przcsadzoną troskliwością, dowodził najskrupulatniejszego poszanowania prawa.

Mówił o niem ciągle i skłaniał głowę pokornie. Jeden może biskup Dębski wiedział, że ten popis z legalnością, był jednym ze środków pozyskania zaufania w narodzie.

Trzynastego września stało już w katedrze na Wawelu wspaniale wzniesione i przyozdobione *Castrum doloris*, ze szkarłatną, złotemi ozdobami przystrójoną trumną, a w tłumie, który kościół zappełniał, bardzo wielu miało to przekonanie, że istotnie zwłoki Sobieskiego grzebano.

Kruszenie chorągwi, kopii, miecza rycerza, który wjeżdżał konno, aby paść u katafalka... wszystko dnia tego widziano, jakby na prastarych pogrzebach królów. Nikt przeciwko tej komedyi tak dobrze odegranej nie protestował.

Wieczorem po wielkiem przyjęciu na zamku i ucz-



cie, August z przyjaciółmi pił znowu i po cichu szydził z pogrzebu, który się tak udał doskonale.

W sobotę potem, jechał król uroczyście na Skałkę, wedle obyczaju, za morderstwo Ś-go Stanisława przez poprzednika swego, odbywając rodzaj pokuty.

Nie potrzebujemy mówić, że skupienie ducha i pobożność, z jaką całował podane relikwie męczennika, powszechnie były ocenione i wynoszone.

Duchowieństwo guiewało się na tych, którzy posądzali Sasa o religijną obojętność i cieszyło się jego nawróceniem.

Biskup Dębski bardzo zrzęcznie dowodził:

— Chociażby dla korony wiarę zmienił, różnemi drogami Bóg do siebie prowadzi. Serce się jego poruszyło, łaska zstąpiła, zwycięży wiara i będzie gorliwym katolikiem.

A ojciec Vota szeptał: *Utinam.*

W niedzielę naostatek dopełnić się miała z niecierpliwością wyczekiwana koronacya.

Nie wszyscy wiedzieli, jakim sposobem bez kluczów do skarbcza koronnego i nie wylamując drzwi, nie gwałcąc zamków, Kurfurst przyszedł do opanowania korony Chrobrego insygniów starych, bez których obrzęd za ważny nie mógł by uchodzić.

Król był zatem, ażeby fikcją pogrzebem rozpoczętą, prowadzić dalej, korony, miecza-Szczerbca, jabłka i berła kazawszy wykonać naśladowanie. Sprzeciwił się temu nawet Dębski. Drzwi łamać nikt nie doradzał, mowy być o tem nie mogło.

Szepnął ktoś; myśl ta może królowi przynależała znowu, że nie naruszając kutych żelazem podwoi, łatwo było mur przebić i wyłomem do skarbcza się dostać.

Fortel ten rozbójnicki nie wszystkim przypadął do smaku, zakrzyzczano zrazu, protestowano, ale nie było innego środka a koronacya insygniami nowemi nie starczyła.

Musiano więc nocą, po cichu, wypiłować otwór, weszli nim do skarbcza wysłani urzędnicy i wynieśli



drogie pamiątki, poczem straż postawiono, nimby napowrót ściana została zamurowana.

Tak składało się wszystko na to, aby z tej przypieszonej koronacji, uczynić akt niesłychanego zuchwalstwa, urągającego się prawom.

Surowi z senatorów, zaszedłszy raz dalej, niż chcieli, cofnąć się już nie mogli, ale na obliczach ich widać było, jak ich bolało, że się zaawanturowali, nie przewidując, do czego ich wybór króla doprowadzi.

Kontyści, których nie mieszających się do niczego, dosyć było spektatorami, urągali się, śmieli się i oburzali, co wcale ani króla, ani najbliższych jego zwolenników nie hamowało.

August spodziewał się olśnić przepychem dnia tego, to diamenty, które miał dźwigać na sobie, szacowano na milion talarów, sumę naówczas olbrzymią, choć dzisiaj się ona taką nie wydaje.

Sam strój był najdziwniejszą mieszaniną, jakby na teatralne deski wymyśloną, z rzymską, niemiecko-polską. August chciał się koronować we zbroi i ufając olbrzymiej sile, wdział bardzo ciężki kiras złożony, a na głowę kapelusz białymi piórami przystrójony. Płaszcz na zbroi był z niebieskiego aksamitu szyty w kwiaty złote, podbity gronostajami. Dodawszy do tego starożytne sandały, miecz rzymski i inne drobniejsze przybory, składało się to na coś niewidzianego, dziwaczного, ale przez to samo obudzającego podziw i zachwycenie.

Stolnik Górski, ujrawszy go wchodzącego w tym stroju, przy ogłosie trąb i muzyki, krokiem wyuczonym, z postawą teatralną, złożył ręce i jęknął:

— Komediant! Daj Bóg, byśmy tragedyi pod nim nie oglądali, dobrze nasze opłaciwszy miejsca.

Zbytecznie sobie zaufawszy król, pierwszy *omen* złowrogi, niebacžnością swą wywołał.

Znużenie, ciężar zbroi i ubranie nawet tak herkulesową siłą obdarzonego złamały.

Śpiewano przed wielkim ołtarzem kirye elejson i biskup Dębski miał rozpocząć wyznanie wiary, które za nim August powinien był powtarzać, gdy się pochylił błędnie i omdlał.

Blżej stojący nie dali mu paść, a natychmiast nadbiegająca służba pośpieszyła porozpinać zbroję i zdjąć ją z niego. Człowiekowi, który swoją siłą zwykł się być chlubić, a uchodził za atletę, w obliczu tłumu, w tak uroczystej godzinie omdleć, było ciosem niesłychanie bolesnym. August wstydem był dotknięty i zburzony, gdyż zresztą jak w nic nie wierzył, tak i do przepowiedni żadnej nie przywiązywał wagi, ale wśród pobożnych i bogobojnych polaków, omdlenie w chwili wyznania wiary... miało znaczenie jakby groźby i przestrogi z niebios.

W duszy króla srom doznany wywołał gniew straszliwy, który w sobie pohamować musiał; całą nadzieją jego było, że w ścisku, tylko bliżsi to chwilowe osłabienie dostrzedz mogli... chociaż piorunem o niem rozeszła się wieść po kościele, za kościół do miasta.

Ale wkrótce potem, gdy na skronie namaszczone włożono koronę i zaczęło się wołanie *Vivat Rex!* coraz głośniejsze, a działa zagrzmiały na wałach, towarzysząc uroczystemu, *Te Deum*, zapomniano o wrażeniu, a inni pogłosce nawet wierzyć nie chcieli.

August, który żadnemu bolesnemu i przykreemu wrażeniu nigdy nad sobą długo panować nie dał, razem z lazurowym płaszczem, który na szkarłatny przemienił i humor potrafił rozjaśnić.

Zamek przepełniały tłumy, chociaż inaczej one wcale wyglądały, niżeli przed wieki w równie uroczystych dniach namaszczenia i hołdu. Orszaków senatorów i magnatów brakło, połowa znaczniejsza ziem korony i Litwy, wcale tu reprezentowaną nie była.

Ale ci co tu przewodzili nie zważali na to wcale, wiedzieli oni jakiego znaczenia dla narodu pobożnego był obrzęd uroczysty, religijny, w którym sam Bóg

przez swych kapłanów brał udział. Był to jak ślub któremu choć orszaku brakło, nie mniej on wiązał przysięgą nowożeńców... Na to poszanowanie namaszczenia rachował i biskup Dąbski i wielu adherentów Augusta, a w obozie przeciwnym wiadomość o spełnionej koronacyi musiała przynębiające uczynić wrażenie.

Biegały jednak dowcipy o tej elekcyi bez prymasa, pogrzebie bez zwłok, otwarciu skarbcza bez klucza i koronacyi bez Pactów Conventów, o których mówiono już po cichu, że zgingły!

Fortel to był, aby nowe układając postarać się o wyeliminowanie z nich niewygodnych punktów, a między innemi warunku tyczącego się królowej, która wolała korony się wyrzec niż wiary...

Ostatnim dniem dopełniającym uroczystości koronacyjnych był zwykły hołd miasta w rynku krakowskim. Król, który wiele rachował na powierzchowność, wystąpił znowu inaczej przebrany we wspólnym płaszczu niebieskim, złotem podbitym, w sukni srebrno-litej obsianej dyamentami, w czapce polskiej z kitą brylantową i buławą dziwną w rękę. Dla ludu pieczono woły i urządzono winotryski... August lubił jeść i karmić a poić.

---

## V.

W kamienicy Jabłonowskich siedział sam, sparty na rękę, w myślach zatopiony pan wojewoda wołyński, syn hetmana... Uciekł on od wrzawy zamkowej i zabawy królewskiej, która go nie bawiła... Młody, w sile wieku wojewoda na twarzy pięknej

typu polskiego, rysów szlachetnych, wypiętnowane miał swe pochodzenie, krew pańską i wczesną dojrzałość, która lat nie czekała.

Z pańska przybrany pokój, w którym się znajdował, świadczył o ulubionych zatrudnieniach myślącego i pracowitego hetmańskiego syna. Dosyć duży stół cały był zarzucony księgami rozmaitych formatów i powierzchowności. Leżały na nim i w drewnianych skórą świnia, odzianych okładkach stare foljanty i piękne z pozłocistemi brzegi francuzkie wydania i niepozorne w niebieskiej bibule nowości domowe. papier, inkaust, pióra stały w gotowości do pisania.

Wojewoda jednak ani czytał, ani pisał, odpoczywał i dumał, wydychać potrzebował cieżką wesołość z zamku przywiezioną.

Pod pięknem wyniosłem czołem, chwilami ściągaly mu się brwi i usta zaciskały od jakiejś wewnętrznej boleści. Ręka bezmyślnie chwytala jedną z ksiąg leżących przed nim, oczy roztargnione zatrzymywały się krótko na rozwartych jej kartach i wojewoda precz odsuwał uchwyconą księgę. Niepokój i walka wewnętrzna tem widoczniej się w nim piętnowały, że sam będąc nie potrzebował lękać się, aby go podpatrzono.

Każdego bowiem zdziwić by było musiało to usposobienie Jabłonowskiego właśnie w tym momencie, gdy zdawało się, że spełnione fakta zaspokoić go były powinny.

Hetman i on po surowej rozwadze, widząc, że Sobiescy się z własnej winy utrzymać nie będą mogli, że Conti nie wczas i słabo przez Francję zostanie poparty, przeszli na stronę Kurfirsta i potężnie go swym wpływem poparli. Stało się czego pragnęli, August został ukoronowanym, okazywał się dla ojca i syna wdzięcznym, obiecywał sobie mogli wpływ i znaczenie za jego panowania.

Czegóż więcej mogli na teraz żądać? W rozdawnictwie losu nie byli pominieci, jeśli nie sami to ci,

których losem się zajmowali. Pomimo tego szczęśliwego składu okoliczności twarz wojewody wyrażała niepokój i smutek... Kto znał domowe sprawy Jabłonowskich, ten strapienia nie mógł im też przypisywać.

Wina więc troski spadała na rzeczy publiczne, chociaż te po myśli ich się zdawały. Samo tak wcześnie usunięcie się od towarzystwa nowo ukoronowanego króla, gdy ten właśnie odpoczywał i weselił się poufale z przyjaciół, miało niemałe znaczenie. Nikt jednak z najbliższych nawet wojewodzie, wytłomaczyć sobie tego nie umiał. Parę razy zajrawszy do bajek Ezopa, Jabłonowski otworzył Boccjusza, którego najmniej zdawał się potrzebować, przeczytał jedną kartę i odsunął go. Spął się na łokciu i zadumał.

Wtem drzwi zlekka się uchyliły i znana a miła wojewodzie twarz wypogodzona Dzieduszyckiego, pokazała się w nich, a wchodzący gość nie śmiejąc zakłócić spoczynku wojewodzie, zatrzymał się milczący, jakby czekał na pozwolenie do wnijsścia. Wojewoda wstał i zbliżył się do progu, podając mu rękę, a twarz usiłując rozjaśnić.

— Pozwolicie?—zapytał starosta.

— Proszę was—rzekł Jabłonowski—widzicie, nie przerwaliście mi nic, oprócz smętnych myśli!

— Smętnych! wśród prawdziwego wesela?—odparł wchodząc zwolna Dzieduszycki i zabierając miejsce przy stole, u którego Jabłonowski też siadł na swem krześle.

— Tak jest—rzekł wojewoda — smętnych wśród wesela, a może tem weselem właśnie wywołanych. Taką jest ludzka natura, że się w sprzeczności łatwo przerzuca.

— Nie sędzę — mówił dalej starosta — abyście mogli czemkolwiek smutek usprawiedliwić, ja się już tem nawet cieszę, żeśmy szczęśliwie przebrnęli te dni ciężkiej radości urzędowej, występów galowych, viva-

tów, prezentacji, mów i procesji. Wszystko to czeze, a nużące bez miary...

— A! tak jest, tak jest! — potwierdził wojewoda — lubować się w tem mogą tylko ludzie płosi, ale czego zwyczaj wymaga, co tradycja narzucają, spełnić się musi. Koronacja ze wszystkimi jej przynależnościami dokonana, ale teraz dopiero sejm następuje... orzech do zgryzienia twardy.

Oba zamilkli, Dzieduszycki potrząsnął głową.

— Najgorsza to — rzekł — że go trudno uczynić prawnym, bo nim nie jest, nie cała Rzeczpospolita będzie na nim reprezentowana.

— A kwestje przyjdą — dodał wojewoda — które i najpełniejszemu zgromadzeniu rozstrzygać by nie łatwo było...

Po krótkim milczeniu Jabłonowski dodał.

— Wiecie, że oryginał paktów konwentów zaginął.

Ruszył ramionami Dzieduszycki, a wojewoda z pełnym przekąsem ciszej dokończył.

— Osobliwa to rzecz, że co zawadzać by mogło, w sam czas znika, a co pomagać ma, znajduje się najniespodziewaniej. Wielkie to szczęście króla, szczerze powiedziawszy... niepodoba mi się.

Trochę zdziwiony spojrział na mówiącego pan starosta. Parę razy w milczeniu zmierzył krokami niewielki pokój gospodarz i, zawróciwszy, stanął przed swym gościem.

— Tak, tak, wiele mi się rzeczy niepodoba, i dla tego widzicie mnie smutnym. Przed wami zeznać to mogę — mówił dalej — sam nasz nowy regent, im go bliżej poznaje, tem mniej mi przypada do serca..

Dzieduszycki szeroko zdziwione otworzył oczy. Wojewoda westchnął.

— Gładki, miły, uprzejmy — ciągnął dalej wojewoda — ale zbyt łatwy, gdy o rozwiązanie takich węzłów idzie, które, dla sumiennego człowieka bywają szkopułem i zaporą. Wszystko omija lub nadrabia, śmieje się ze wszystkiego. Rozumiem teraz, że



mógł łatwo zmienić wiarę, bo do niej żadnej nie przywiązuje wagi. Mamże ufać temu, który Boga w sercu niema?

— Panie wojewodo — przerwał z boleścią Dzieduszycki — zapóźno to przychodzi! niestety! kłamka zapadła.

Nie nie odpowiedział Jabłonowski, jak gdyby nie uważał kłamki za nieodwołanie zamkniętą. Potrzebował, uczyniwszy wyznanie szczere, a przykre uniewinnić się z niego i począł, o stół się oparłszy, a głowę spuściwszy.

— *Mea culpa!* Zawiódł mnie ten człowiek, bom go takim sądził, jakim się okazywał pierwotnie. Zdawał się otwartym, szczerym do zbytku, dobroci pełnym, tymczasem...

Starosta przerwał.

— Wątpicie?

— Wszystko fałsz! komedje są wszystko! — kończył rozgrzewając się Jabłonowski — teraz, gdy mniej potrzebuje się kryć przed nami, codzień straszniejszym mi się wydaje. To, co o nim z Saksonji dochodzi, przeraża. Gdyby nam pan był potrzebnym do bankietowania i zabawy, z pewnością byśmy lepszego nad niego wybrać nie mogli, my zaś właśnie o silnego, surowego, ale sprawiedliwego, Bogaśmy byli prosić powinni. Rzeczypospolitej gmach nie podpierać, ale zgoła przebudowaćby należało nie obalając. Śmieciem i brudami stare nasze grzechy zarzucić oczyścić. Sądziliśmy, iż weźmiemy człowieka, który to zadanie pojmie, a będzie miał siłę je rozwiązać. Tymczasem cała jego moc w dłoni, w głowie płochoci i próżności, w sercu chłód i egoizm.

— Na Boga! — wykrzyknął Dzieduszycki — nie patrzajcież na przyszłość z takim o niej zwątpieniem, a pozwólcie sobie powiedzieć, że jakeście się raz omylili na nim, tak i w sądzie, bez miary surowym, możecie być niesprawiedliwymi.

Jabłonowski ręce złożone podniósł do góry.

— Obyście byli prorokiem, a ja kłamcą — zawołał—ale niestety, niestety, lękam się, abym tym razem nie widział za jasno. Rozpatrzcie się w całym jego postępowaniu, wszystko jest fałszem, podrobieniem i obłudą.

— Nie wiem tylko—przerwał Dzieduszycki — czy wszystko to jego jest winą. Widzicie go otoczonym doradcami, a w sprawach Rzeczypospolitej on nie tylko rozstrzygał, co Dębski i Przebędowski. Złóżcie winy część na tych doradców.

— Macie słuszość — rzekł wojewoda—lecz w takim razie przyzwolenie i przyswojenie sobie tych środków fałszu jest współnictwem w nim. Wiecie to, że kto pomaga do spełnienia przekupstwa, a nie opiera mu się, ten niewinny nazwać się nie może.

Od Elekcji poczynawszy, stąpamy na bezprawiaach, Dębski uzurpuje miejsce Prymasa, garść wyborców mianuje się większością... my wszyscy rokoszanie jesteśmy... lecz pomijmy to. Na koronację kradniemy insygnja, na zamek dostajemy się przekupstwem, grzebiemy Sobieskiego, gdy zwłoki jego są w Warszawie, i tak dalej.

Z tego wszystkiego gdybyście wiedzieli, jak się on wesoło śmieje! Cóż my po nim spodziewać się możemy... co go wiąże? Nasze ustawy i prawa łąco mu będzie obchodzić lub wywracać, a życie prywatne, zgroza!

= Młodość—odparł starosta.

— Namietność, krewkość—mówił dalej Jabłonowski—wszystko to przyjmuję, ale nie, gdy się chluby szuka z grzechu i urąga temu, co jest prawem Bóżem i ludzkim.

Nauczyl nas Cezarowie rzymscy, iż dla nich praw i granic nie było, że sobie mogli pozwolić konie konsulami mianować, siebie Bogami, a wyzwolenców swych, niewiastami, ale po nich przyszedł Chrystus, światło się rozlało po ziemi, kondycja człowieka zmie-

niła się, obowiązki przysłyły nowe, od których się wyzwolić nie może.

Westchnął wojewoda i długa chwila milczenia nastąpiła potem. Zachmurzył się i Dzieduszycki, jaśniej przejrzawszy, ale pierwszy potem usta otworzył:

— Panie wojewodo, bądź co bądź, nam już nie utyskiwać trzeba, lecz myśleć o tem, jak złemu zapobiedz.

Jabłonowski spuścił ręce, jakby bezsilne.

— Macie słuszość. Żbotałe serce tylko otworzyłem przed wami—dodał—a wiercie mi, żem nikomu więcej do niego nie dał zajrzeć. Macie słuszość, że popełniamy błąd, przyznając się do niego, gdy się go nie usiłuje naprawić, na nic się lamentsy nie zdały. My, cośmy sądzili, że temu panu pomagać tylko będziemy obowiązani, niestety, podobno z nim wkrótce do walki stanąć budziemy musieli.

— Nie wzdrgniemy się przed nią—odparł mężnie starosta,—Do tegośmy niestety wdrożeni i nawykli.

— Ale tu o szkopał rozbić się łatwo—dodał wojewoda—na który w ciągu długich lat natrafialiśmy ciągle... Walka o prawa przechodziła w namiętne rokoszowanie i spiski. Nastawano na życie Batorego, zatruto żywot jego następcy, warcholono za dwu synów jego, zamęczono Wiśniowieckiego, znękano Sobieskiego i toż samoby miało się powtórzyć znowu?

Dzieduszycki się podniósł z siedzenia.

— Sądzę—odezwał się weselej—że da-li Bóg, nie przyjdzie do tego! Zawczasu tylko należy mu dać uczuć, że poprawy Rzeczypospolitej żądamy, ale wywrotu jej nie depuścimy.

I po chwili dodał starosta.

— Mielibyśmy się nleknąć ośmiu tysięcy saszów, których wpuścimy do kraju?

— Wojska?—rozśmiał się smutnie Jabłonowski.—Ja wojska się wcale nie lękam, boję się czegoś innego... tych ludzi dla prywaty gotowych na wszyst-

ko, którzy królowi służyć będą tak w przyszłości, jak mu teraz posługiwali.

— Większość przecież uczciwa — dodał Dzeduszycki.

— Tak, ale uczciwi są to ludzie spokojni, którzy nie radzi krzyczyć i podnosić wrzawę, a szyby w oknach wybijać. Mniejszości burzliwe wszędzie górą.

To mówiąc i jakby już syt był własnych smutnych wieszczb i przeczuć, wojewoda zbliżył się do stolika, wziął w ręce jakąś książkę, rzucił oczyma na nią i, zwracając się do starosty, zapytał:

— Nie wiecie o czym nowem od Łowicza?

— Od Prymasa — podchwycił starosta — wiem o tem, co i dla was nowością nie będzie, że Radziejowski, choć się dotąd trzyma uparcie Contiego, bodaj dla tego to czyni, aby drożej się sprzedał.

Wojewoda dał znak potwierdzający.

— A o Contim co słychać?

— Płynie do nas to pewna—mówił starosta—ale siły znacznej sobą nie prowadzi, a tu jej zebranej na przyjęcie nie znajdzie. *Nifallor* rachuje na to, że dosyć mu się pokazać, aby za nim poszły zbrojne rzesze, a my, my wielce wątpimy o tem.

— Gorzej, bośmy pewni, że garść się może znajdzie tych, co swe wrota na polu pod Wolą orężem popierać gotowi. Wojna domowa... najstraszniejsza klęska, jaka może kraj dotknąć... rokosze.

Dla tego my nietylko przy Augustcie stać musimy, ale mu jednać nowych przyjaciół... to w istocie zadanie obecnej godziny, a jutro *Deus scit et Deus providebit!*

Na tem skończyła się rozmowa *de publicis*, a Jabłonowskiemu zrzuciwszy ciężar z serca lżej się jakoś zrobiło. Nie długo jednak rozchmurzonym pozostał, brwi mu się najeżyły i twarz posmutniała.

— Wiecie o tem—rzekł—że ten Elekt jadący na koronację, nie mógł się bez tego obejść, aby z sobą nie wlec jakiejś niemkini, pani Dufeki, która jawnie

rezyduje w Łobzowie i wygląda jak wielka pani, a zowią ją hrabiną? Służba zaś jego niepoczciwa już tu po Krakowie lata polując na twarzyczki i miłośnice dla pana, któremu coraz coś świeżego potrzeba.

— *Proh pudor*—odparł marszcząc się starosta — ale nie są-ż to wymysły i potwarze?

— Nie—rzekł wojewoda—są to sromotne początki tego co nas czeka. Nie damy mu potem złamać ustaw naszych, ale cóż to pomoże, gdy rodzinę nam zarazi rozpustą, a ze świętych niewiast naszych porobi sobie nałożnice. Ognisko domowe zburzy... co nam pozostanie?

Milczał starosta, spuścił głowę i wzdychał, dopiero po długiej chwili rozmyśłu, wyrwało mu się:

— Nie może to być, nie może! zaraza ta nas nie imie. Nie wierzę! nie przypuszczam, nie boję się. Niewiasta nasza zbyt czystą jest i świętą. Matki nasze zbyt pobożne.

I silną pięścią uderzył w stół, a oburzenie to, widząc wojewoda, porwał go w ramiona i serdecznie uściskał. Obu im łzy na powiekach stanęły.

Jabłonowski się rozweselił znowu, a że godzina wieczery nadchodziła, klasnął na sługi aby ją podawano, zaprosiwszy Dzieduszyckiego.

— Na zamek dziś nie pójdę, jutro się będę musiał wytłumaczyć chorobą—rzekł — ale pijatyki, jaka tam wczoraj była i dziś się powtórzy, nie znoszę, a nawet patrzeć na nią mam obrzydzenie.

Przy wieczery, choć wojewoda rad był rozmowę odwrócić od tego, co umysł jego zajmowało, jemu i starości zarówno przychodziło to z trudnością i mimowoli najmniejsze słówko napowrót ją do króla i bieżących spraw ciągnęło.

Dla Jabłonowskiego był on niepokojącą zagadką, której coraz nowe strony się ukazywały. Obok płochego, rozpasanego i lekkomyślnego człowieka, zdradzał się zuchwałych planów polityk, który obudzał obawę. Wojewoda dostrzegł, iż August po kilkakroć

zawsze sam na sam i w nieobecności panów polskich, narady miewał z posłem Brandeburskim v. Overbeckiem, usiłując widocznie go sobie pozyskać.

Ze słów pochwytyanych w różnych źródłach, dawało się wnosić, że król już zbliżył się do Cara Pietra i na jego przyjaźń i aljans rachował.

Wszystko to wprawdzie tłumaczyło się potrzebą zabezpieczenia od Szweda, któremu Inflanty należało odebrać.

W paktach, które zagięły, stało odzyskanie *awulsów*, a do tych należały równie Inflanty, jak Kamieniec, Podole i części oderwane Ukrainy.

W kraju szczególniej boleśnie się czuć dawała utrata Kamieńca i na tę twierdzą zwracały się wszystkie oczy, tymczasem na dworze saskim, mówiono więcej o Inflantach i nie ulegało wątpliwości, iż król naprzód myślał o ich odzyskaniu. Wojska saskie, które miano wprowadzić do Polski, do Inflant przeznaczone były.

Wiedziało już, że młody Karol XII, był wielce rycerskiego ducha, surowego obyczaju i mężkiego, żelaznego charakteru ale i w Augustcie spodziewano się znaleźć siłę, mogącą się mierzyć z nim. Generalowie niemieccy, pomimo wspomnień kampanii dwukrotnej przeciwko Turkom, którą się chlubić nie było można, wychwalali rycerskie męstwo Augusta i wielkie militarne wykształcenie.

Spodziewano się w nim przyszłego bohatera, który mógł stanąć godnie obok wielkiej postaci zwycięzcy z pod Wiednia.

Niepowodzenia pierwsze przypisywano powszechnie zazdrości i podstępom dowódców austriackich.

— Konszachty potajemne z Brandeburczykiem i jego posłem nie podobają mi się — mówił po cichu Jabłonowski — tak jak i zbytne serdoczne bratanie się z Carem Piotrem.

— Czegożbyśmy się obawiać mogli? — uspakajał Dzieduszycki — trzeba przypuścić, aż zdradę tego



kraju któremu się wierność zaprzysięgało, ażeby waszą trwogę podzielać.

— *Utinam sim falsus vates!* — westchnął wojewoda—ale ja obawiam się najgorszych rzeczy. Bóg może niedopuścić ich spełnienia, a jednak...

Hałas w przedpokoju, nagle zmusił przerwać rozmowę.

Gospodarz wstał, nie mogąc zrozumieć, kto się dobija, gdy dworzanin wbiegł, oznajmując posłańca od króla J. Mości.

Był nim znajomy nam Zacharjasz Witke, chociaż nie król go przysłał, ale Constantini, który sam nie chcąc się fatygować na miasto, pozwolił sobie wysłać tego podręcznego swego, pod pozorem, że się z wojewodą po polsku porozumieć potrafi.

Witke też dla własnych celów już się tu był przebrał po polsku, nazywał się śmiejąc — Witkowskim i wcale nieźle udawał polaka:

Wojewoda oznajmionego królewskiego posła przyjął nie powstając. Zdziwił się widząc niby polską postać, choć król jeszcze polskiego nie miał dworu.

Witkowski miał powierzchowność nader ujmującą.

— Przychodzę—rzekł, pokłoniwszy się—z polecenia króla do pana wojewody; gdyż radby był go N. Pan oglądał na zamku, gdzie w wesołym towarzystwie odpoczywa i do niego zaprasza.

Zafrasował się nieco Jabłonowski i posłańcowi kazawszy nalać kubek wina, rzekł uprzejmie.

— Czulem się niezdrów, prosilem pana marszałka koronnego, aby mnie uniewinnił, iż muszę się dziś wyrzec szczęścia oglądania oblicza J. K. Mości. Nie pojmuję jakim sposobem Lubomirski mógł moje zapomnieć ekskuzę.

— Mógł on oświadczyć królowi — odparł Witkowski—ale król, snadź tęskni za panem wojewodą.

— Chciej-że pan oświadczyć, iż choć niezbyt usposobiony, podziękować przynajmniej królowi natychmiast przybędę.

Nowokreowany przez Mazotina dworzanin, uklonił się i odszedł. Pozbywszy się go wojewoda kazał natychmiast podać ubranie i zaprzęgać kolebkę.

— Jestem zmuszonym jechać — rzekł żegnając Dzięduszyckiego — może też posłuży mi na coś przypatrzenie się mu lepsze w tym stanie podchmielenia, w jakim się już musi znajdować... *In vino veritas* ale mi się trafiało przy końcu takiej pijatyki, gdy go we dwu pod ręce prowadzili do łóżnicy sasi, jeszcze tak przytomnego, że się żadnem słówkiem nie zdradził.

Jabłonowski zastał na cichym oddawna zamku krakowskim, w oddalonych komnatach, Augusta otoczonego Niemcami i Polakami w humorze nadzwyczaj podnieconym, śmiejącego się, dowcipkującego, wyszydzającego swych przybocznych, lecz nieupojonego wcale.

Polacy i sasi w najlepszej komitywie, obejmowali się i ściskali. Ze złośliwością dziecinna król jednym przeciwko drugim podbudzał i robił sobie z tego igraszkę.

Zobaczywszy wojewodę, podszedł ku niemu z nadzwyczajną grzecznością i nazwał go dezterem, za którym tęsknił...

Ale zarazem przenikliwemi oczyma badał go, jakby się czegoś domyślał i obawiał. Wojewoda trochę chmurny i przemódz się niemogący, podziękował pokornie dosyć, lecz nie potrafił udawać wesołego.

Zmuszono go do wychylenia zdrowia króla tokiem, jednym z licznych przygotowanych kielichów rozmaitego kalibru, które stały uporządkowane.

August ujmował Polaków za serca swą niepraktykowaną w panującym poufaleństwie. Nie zrzucając z siebie nigdy majestatu, umiał jednak tak się uczyścić łagodnym i przystępnym, że prostoduszni byli zachwyceni. Jabłonowski raz już wpadłszy na trop charakteru, widział w tem tylko niezmiernie zżęcznie odegraną komedję, w której szczerłość nie wierzył.

Rozmowa, z której poważniejsza treść była wykluc-

czoną, toczyła się o fraszkach. Fleming i Przebédowski badali króla, jakie na nim krakowska ludność uczyniła wrażenie, a szczególnie kobiety, pomiędzy którymi i pań polskich wiele się wmięszało przez ciekawość.

Fleming utrzymywał na wpół serjo, że teraz, gdy August został zarazem królem polskim i Kurfirstem saskim, sprawiedliwość wymagała, ażeby przez pół roku bawiąc w Saksonii miał tam kochankę niemkę, a w Polsce polkę sobie wybrać był powinien.

Król się uśmiechał, Przebédowski coś mruczał.

Było to już nie pierwsze naówczas panowanie metressy, która Augustowi poczyniała się przykrzeć. Po pannie Kessel, nielicząc przemijających miłości, których obrachować nawet Mazotin nie umiał, po pięknej Kessel, nastąpiła Aurora hr. Königsmark, ze Szwecji rodem; a chociaż król nie zerwał z nią zupełnie, już ją zastępowała hrabianka Lamberg, austrijaczka, wydana za hr. Esterle.

Dębski przestrzegł Elekta, ażeby przynajmniej na koronację z sobą nie wiozł skandalu, któryby polaków mógł zrazić... Esterle więc miała pozostać w Dreźnie, ale się uparła towarzyszyć królowi, utrzymując, że nikt o niej wiedzieć nie będzie i siedziała w Łobzowie pierwszych dni, a potem wśliznęła się do Krakowa. Udawano, że niewiedzano o tem.

Oprócz niej za wiadomością i zezwoleniem Augusta, jako niby ochmistrzyni i żona jednego z urzędników dworu, przybyła tu pana Klengel i ta otwarcie na Wawel zajechała.

Służba ta cała, Spiegle, Hoffmanowie, Constantyny, Lehman bankier, Flemingi i Pflugi, naostatek sam pan—jak się wydawał w tym starym poważnym, smutnym, opuszczonym zamku, który nigdy podobnych ludzi i obyczaju nie oglądał—wypowiedzieć trudno. August czuł się tu obcym, gościem i było mu tak nieswojsko na zamku, jak w kościele katolickim, jak w katolickiej Polsce. Rozumiał to sam, że wchodził

we wnętrze Rzeczypospolitej, jako okryty skórą baranka nieprzyjaciel. Wszystko go tu raziło, z gruntu pragnął też to wszystko wywrócić i obalić.

Tymczasem zadanie to właśnie wymagało uśmiechania się i radowania z tego co dla niego było wstrętnem i śmiesznem. Tę walkę wewnątrz Jabłonowski pochwycił i odgadnął intuicją jakąś w królu Augustcie. Nie była ona tu w panującym nowością, bo z podobnemi uczniami wchodzili na tron Henryk Walezy, który uciekł od niego, Batory i Zygmunt III, w początkach chcący się pozbyć korony ustępstwem rakuskiemu Ernestowi. Ani Władysław, ani Jan Kazimierz polakami się nazwać nie mogli.

Ale w tych wszystkich była dobra wola porozumienia się z krajem i przejednania, gdy w Augustcie koronacją poprzedziły plany nieprzyjazne, wywrotu i zamachu na ustawy Rzeczypospolitej.

Zaledwie zstąpiwszy z majestatu w rynku krakowskim, król suknie polskie natychmiast zrzucił i poczuł się zaraz swobodniejszym.

Z panami polskimi, nie wyjmując zaprzędanego mu Przebédowskiego, nigdy się nie zdradził z tem co myślał... Z sasanami nie mówił też otwarcie, z żadnym oprócz Fleminga.

Tego dnia po przybyciu wojewody wołyńskiego na zamek, który stanowczo się od kielichów wymówił, zapijano, śmiano się i żartowano, tak że dopiero bardzo późno w noc, wszyscy się porozchodzili. Przez cały czas pobytu wojewody wołyńskiego na zamku, król go nie spuszczał z oka, chociaż nie dawał tego poznać po sobie. Jabłonowski też źle w sobie ukrywał jakieś podrażnienie.

Z Flemingiem potem wszedłszy do sypialni, August mu szepnął...

— Jabłonowski ojciec i syn są mi podejrzanymi. Ponieważ oni byli jednymi z pierwszych, którzy się nawrócić dali i wpływ ich wiele dopomógł elekeyi,

Fleming znalazł to podejrzenie dziwaczne... Ruszył ramionami.

— Tego wcale nie rozumiem i nie widzę najmniejszego powodu do zniechęcenia przeciwko nim, odparł. Nie godzi się im czynić takiej krzywdy.

Król stał patrząc ostro na przyjaciela.

— Przyczyny do posądzania ich nie mam—rzekł—to prawda, nie im dotąd wyrzucać nie mogę, zgadzam się, a pomimo to wszystko, czuję w nich prędkiej czy później wrogów moich. Szczególniej wojewoda wołyński, filozof i świętoszek nie podoba mi się...

— Śmieszna rzecz — dodał po chwili—zawsze się obawiałem ludzi, co nie piją, wesołymi być nie umieją, cnotę swą jak płaszcz na ramionach noszą. W Jabłonowskim ja nie widzę nic jasno, zamknięty dla mnie, nigdy ani na chwilę nie otworzył się przedemną.

— Ależ—odparł niecierpliwie Fleming—są natury i temperamenty różne. Ja się przynajmniej w Jabłonowskim nie obawiam zdrajcy.

— To są republikanie—zamknął król.

Z tem samem uczuciem wstrętu, wojewoda z zamku powrócił. Im dłużej był z królem, tem czuł większą do niego odrazę.

Nazajutrz rano już się przygotowania do sejmiku koronacyjnego rozpoczynały, które wszystkich pochłonęły. Znaczna część przybyłych, przerażona była tem, że podpisane Pakta Konwenta zginęły. Gdzie się one podziały i jak zaginać mogły, dojść było niepodobna, najściślejsza inkwizycja nie wykazała nawet jaśniej, w czyje one ręce przeszły po podpisaniu i kto je zatracił.

Nie był to jednak prosty przypadek, tak ja Dębski go podawał... Domyślano się zamiaru jakiejś zmiany w tych punktach, które królowi niewygodne być mogły.

Ze stronnictwa Augusta nawet, ludzie podnosili



głosy groźne, czując, że milczeniem tem, na siebie część winy za to przyjąć musieli. Król sobie lekceważył w początku i dopiero postrzegłszy, że się na burzę zanosilo, oświadczył, iż w razie konieczności po raz wtóry takie same słowo podpisze.

Z całego obejścia się jego w Polsce widać było, że formy gotów był zachować, do których wagę tu wielką przywiązywano, ale do celu swego innemi zamierzał iść drogami.

Myśli jego po za kulisami szukać było potrzeba, nigdy ona nie występowała na scenę.

Witkowski-Witke, który nie odstępował przyjacielowi Constantiniego, nazajutrz na rozkaz jego, stawil się na zamek. Tu pomiędzy niemiecką dwornią, przebranego po polsku kupca z Zamkowej ulicy, witano zawsze śmiechami, drwinami i cieszone się niezmiernie z tej maskarady, która dzielnie dopomagała Witkemu do wciskania się i podsłuchiwania.

On sam jakby upojony i rozmarzony, gdy mu się udało stać potrzebnym Constantiniemu, głowę tem sobie zawrócił i zapomniawszy własnych planów, dał mu się ciągnąć dalej.

Zdawało mu się, że stał już na pierwszym szczeblu drabiny, która go gdzieś do wymarzonych, górnych sfer prowadzić miała.

Co do handlu, przekonał się, iż tu nie wiele miał do zrobienia. Na czas pobytu króla w Warszawie, gdy ze dworem niemieckim musiał gościć, mógł wprawdzie Witke przywieźć to, czego Niemcom było potrzeba i do czego byli nawykli. Toż samo w Dreźnie dla przybywających panów polskich mógł przygotować, lecz wszystko to razem nie wiele znaczyło. O jakimś handlu olbrzymich rozmiarów nie było mowy, bo nowego nic stworzyć nie umiał pan Zacharjusz.

Zabiegi jego wszakże nie spęłzły na niczem. Po-chlebiał sobie, że król już o nim nawet wiedział, chociaż się w tem mylił. Zręczny włoch posługiwał



się nim jak drugimi, strzegąc się wyjawić przed panem, jakich używał narzędzi, a wszystko biorąc na siebie.

I teraz widząc, że królowi szło o to wielce, aby jakiś stosunek z rodziną Prymasa, z Towiańskimi zawiazać, oświadczył, mając na myśli Witkego, iż znajdzie człowieka, który się tam wcisnąć potrafi.

I gdy tu sejm się miał rozpoczynać, Witke od Mazotina odbierał instrukcje na podróż do Warszawy i Łowicza. Dla niezbyt jeszcze z krajem obznajmionego kupca było to zadanie dosyć trudne, ale Witke wiele sobie ufał i miał odwagę niepospolitą. Może też nowość tej roli, jaką miał odegrywać, pociągała go i nęciła. Miał na myśli zużytkować wreszcie Łukasza Przebora, który mu się już od pierwszej z nim rozmowy niepotrzebnie wypowiadał. Aby pokryć te roboty pokątne, musiał nareszcie Witke czemś usprawiedliwić swój pobyt w Polsce, a że tu handel napitków i słodczy mógł iść korzystnie, nie powątpiewał o tem. Godził się na to i Constantini, aby niedaleko zamku gdzieś handel otworzyć, wina sprowadzić i z winiarni zrobić źródło informacji.

Z planami więc gotowemi pożegnawszy Hallerów, wyruszył tym razem sam Witke do Warszawy. Constantini wyprawiając go, dając mu zlecenia, zużytkowawszy już do otwarcia bram zamku krakowskiego, dotąd o żadnem wynagrodzeniu, a nawet o zwróceniu kosztów nie mruknął.

W ogólnych wyrazach mówił o wdzięczności króla, w przyszłości ukazywał świetne widoki, na teraz jednak klepał go po ramieniu tylko, chwalił zgręczoność i na tem się skończyło.

Witkemu na środkach nie zbywało, był więc cierpliwym, ażby stał się niezbędnie potrzebnym. Nie szło mu o małeńkie zarobki, ale o grubą całą przyszłości rachubę.

Z głową pełną rojeń sunął się do Warszawy. Na ostatnim popasie przed stolicą, trafem w gospodzie

spotkał się z francuzem Renardem, właścicielem winiarni pod zamkiem, w której Przebora znalazł. Utkwiła mu dobrze w pamięci jego fizjognomja francuzka, a że nauczył się z każdej zręczności korzystać, przybliżył się do niego.

Renard długim w Polsce pobytem, nauczył się nie źle mówić po polsku.

— Kupcem jestem jak waćpan—rzekł—i miło mi z nim zrobić znajomość. W Warszawie byłem w pańskiej winiarni... Co słyhać w stolicy.

Renard był wielomówny, chętnie zabierał znajomość.

— A pan zkąd jesteś? i jakim się handlem zajmujesz?—zapytał.

— Sklep mam w Saksonii w Dreźnie, ale na pół polak, myślę, z okazji wyboru Kurfirsta korzystać i przenieść się do Warszawy. Handluję... a trudno powiedzieć czem, między innemi i winem... tylko go u siebie nie daję.

— W Warszawie też myślisz wino sprzedawać?—roześmiał się Renard.—To się na nic nie zda. Wielecy panowie sprowadzają z Węgier beczkami, szlachta też po kilku razem do Węgier posyła, pośrednika nie potrzebują.

— Ja też na jednym winie tylko nie stoję—odparł Witke—gotowem kupeżyć czemkolwiek bądź... Muszę się rozpatrzyć. Nasz Kurfirst dużo pije i poi, wasi panowie też pono za kołnierz nie wlewają.

Renard śmiał się.

— Wićcej się w Polsce przepija niż przejada—rzekł z przekąsem.

Począł Sas rozpytywać jak szedł handel. Francuz ruszył ramionami.

— Choć mógłbym dla zrażenia was od konkurencji narzekać—nie uczynię tego, począł. Handel szedłby dobrze, gdybym miał kapitał potrzebny. Muszę się rachować i łątać, a szlachta też nie rada płaci i czę-

sto długo czekać potrzeba.. Jeżeli waćpan pieniądze masz, możesz być szczęśliwszy odemnie.

— Pieniądze się znajdują— odezwał się po namyśle Witke — ale mnie doświadczenia i znajomości kraju brakować będzie... dla tego celu jeszcze nie wiem co zrobię i co przedsięwzmem. Król nowy pół roku tu będzie mieszkać.

Tak rozpoczęta gawędka przeciągnęła się dosyć długo. Renardowi bystry i przedsiębiorczy Witke podobał się, a nawzajem Witke francuza ocenił, czując w nim uczciwego człowieka... Przyszło mu nawet na myśl jakąś z nim spółkę zawiązać, ale się z tem nie wygadał. Ciągnęła go ku temu i pewne okoliczność, której wstydził się przed samym sobą... Wyrostek ten, Henryjetka, którą ujrzał w winiarni, córka Renarda, choć to było dziecko jeszcze, dziwnie mu wpadła w serce i oko. Twarzyczkę jej uśmiechniętą miał ciągle na pamięci.

Ile razy się pochwycił na tej słabostce, rumienił się sam przed sobą.

Renard, który za interesem winnym jechał do Krakowa, obiecywał rychło powrócić do Warszawy i zapraszał kolegę, aby go odwiedził, co p. Zacharasz z chęcią przyobiegał.

Rozstali się po tych paru godzinach spędzonych z sobą w dobrej komitywie. Renard wiele skorzystał z rozmowy, lepiej się obeznając z sasami i dworem.

Tegoż dnia Witke był na noc w Warszawie, a nazajutrz poszedł do winiarni i pani Renard, która gospodarowała sama z córeczką, przywiózł od męża pozdrowienie przy tej zręczności, zabierając z niemi znajomość.

Wyrostek śmiały, nad wiek swój już rozwinięty, trochę zalotny, jeszcze mu się teraz więcej podobał. Nie zbywało i w Saksonii na ładnych twarzyczkach, ale żadna z tych, jakie tam spotykał, takiego charakteru szlacheckiego, takiej dystynkcji nie miała.

W winiarni było huczno. Witke się nasłuchiwał du-

zo, szczególnież Kontystów, bo ci tu panowali, a sassey adherenci, jeżeli byli jacy, milczeli i siedzieli przyczajeni.

Następnych dni z systematycznością niemiecką wziął się pan Zacharjasz do obchodzenia sklepów, handlów, rozpatrywania ich położenia, wynajdywania sobie miejsca, gdzieby najwłaściwiej było się zagospodarować.

Nie zwierzał się nikomu i nie brał do porady narzucających mu się pośredników, którzy odgadywali, co go tu sprowadziło. Chociaż mówił po polsku i przebrał się z polską, wychowanie i obcowanie długie tak niemieckie na nim wycisnęło piętno, iż nie go już zatrzeć nie mogło.

O Przeborze w tych pierwszych dniach ani się mógł dowiedzieć, ani go spotykał. Zbyt małe było to stworzenie.

Ze wszystkich rachub Witkego wypadalo nie śpieszyć z żadnym krokiem stanowczym... Oglądał się na Constantinięgo... nie był pewien, gdzie go on, to jest król, użyje. Wyobrażał sobie bowiem, że włoch zamiast na swą korzyść go obrócić, podzieli się nim zasługą i królowi naiwnie rywała zaleci.

Bystrego w innych rzeczach oka jego nie uszło, że w Warszawie Kontyści chociaż głośno bardzo przeciwko sasowi krzyczeli nie uznając go, troszczyli się już, dowiadywali po cichu co wiało z Krakowa, liczyli siły Augusta i niespokojni dla tego trzymali się francuza, aby się sprzedać jego współzawodnikowi...

Postępowanie nowo ukoronowanego było nadzwyczaj zręczne i mądre. Wszystkie jego odezwy, listy do Prymasa, uniwersały, tchnęły nadzwyczajną łagodnością i dobrocią. Nikomu drzwi nie zamykano, ktoby się chciał zawrócić. Król wszystkim obiecywał być jaknajczulszym ojcem.

Gdy Prymas groził i niemal wyklinał, August uśmiechał się, przyrzekał zapomnienie win wszelkich.

Potrząsano głowami czytając i różnie sobie z tego rokując.

— Lis— mówili jedni — wszystkich on wywiedzie w pole.

— Mądry i dobry monarcha — unosili się drudzy, a inni dokładali:

— Wie, mospanie, że u nas kulakiem i grozą, nie się nie robi.

---

## VII.

Gdy w Krakowie przygotowywał się i toczył burzliwy Sejm Koronacyjny, na którego posiedzenia August przychodził zmęczony codziennem ucztowaniem mocnem, słuchał nie rozumiejąc i lekceważąc próżne wyrzekania. Ostatni akt dramatu, w którym Conti miał smutną rolę zawiedzionego, odegrał się pod Gdańskiem. Kandydat Francji zaledwie wyładowawszy, aby się przekonać o swej bezsilności, powracał, wyrzekając się marzenia o koronie.

Pozostawił jednak za sobą garść swych wiernych adherentów, a na ich czele prymasa Radziejowskiego, uparcie stojącego przy rokoszu, który już był tylko środkiem do uzyskania od Augusta okupu.

Nowo ukoronowany król z dziwną przenikliwością, która okazała się domyślać, że go zawczasu dobrane ze stanem umysłów w kraju obeznano, pojmował swe położenie, wesolą twarzą i spokojnym umysłem. Nic mu się nie wydawało groźnem, szedł powolnym, ale pewnym krokiem do zamierzonych celów, jednając sobie Cara Piotra i najprzyjaźniejsze utrzymując stosunki z Kurfirstem Brandeburskim.

Nawet rekuperacja awulsów była mu bardzo na rękę, bo usprawiedliwiała wprowadzenie wojsk saskich do kraju, których liczby nie kontrolowano.

Przyboczna rada, Fleming, Przebędowski, Dębski, mniej więcej wtajemniczeni w plany, sterowali dalej królewską łodzią... August zresztą do intryg i zabiegów politycznych miał więcej usposobienia, niż do wojny, o której wiele mówił, ale w pole wyciągnąć nie miał ochoty.

Przebędowski z biskupem knjawskim tak mu dobrze mówili, iż polacy krzyczą głośno, ale w końcu ulegają, że na króla wrzawa sejmowa nie robiła już żadnego wrażenia.

Drugą zasadą i prawidłem było wszystko, czego się Sejm domagał, obiecywać, podpisywać nawet z tem przekonaniem, że go to bynajmniej nie wiąże.

Po każdym niemal posiedzeniu, na pokojach u króla w poufałym kółku, wyśmiewano najgorętszych i Dębski szczególniejszkalował ich, doradzając zawsze iść przebojem.

Ważyło się już tylko, kiedy się wybrać do Warszawy i stawić czoło rokoszowi.

Tymczasem, gdy z Contim w listopadzie skończono, szło tylko o tajemne pozyskanie Prymasa, a August pozostawał sam, mimo wszelkich nielegalności przy Elekcji i koronacji, prawomocnym monarchą, uznanym przez całą Rzeczpospolitą.

Witke znajdował się jeszcze w Warszawie, gdy posłaniec Mazotina przywiózł mu instrukcje, aby koniecznie się starał dostać do kasztelanowej Towiańskiej, siostry Radziejowskiego. Przez nią tylko Prymasa można było pozyskać.

Pani Kasztelanowa słynęła z wielkiego rozumu, ale więcej jeszcze miała przewrotności i cynizmu. Nasłuchiwała się tego od młodości, jak Marja Ludwika i Marja Kazimiera płacić sobie za wszystko kaźły, wydawało się jej sprawiedliwem wyzyskać swe położenie... Miała wpływ wielki na brata, zachwalstwo,



bezwatyd, a chciwość jej spocząć nie dawały. Za jej poradą kardynał się trzymał, burzył, protestował, aby doprowadzić do tego, żeby go kupiono, pośredniczka nie myślała o sobie zapomnieć.

Witke dowiedzieć się mógł łatwo wszystkich potrzebnych mu szczegółów o pani kasztelanowej, ale drogi, jaką miał się do niej wcisnąć, nie łatwo mu było wyszukać. Pani Towiańska lada z kimby się układać nie chciała, ani zwierzyć pierwszemu lepszemu.

Miała dumę rodziny, która świeżo się dobila senatorskiego krzesła i w Rzeczypospolitej wcale dotąd znaną nie była.

Pomimo całej zręczności kupca sasa, który dniem i nocą przemyślał nad tem, jak się dostanie do kasztelanowej, nie mógł dotąd nic począć.

Zapowiedziano mu tylko, że gdyby do tego przyszło, ażeby umowa stanęła jakaś i klejnoty lub pieniądze składać było potrzeba, winien się mieć na ostrożności, gdyż bardzo łatwo mógł być oszukanym.

Przebór, którego naostatek wynalazł płatającego się na małych posługach u Kontystów, przyznał się, że był używany do Prymasa dla informacji o Dreźnie i królu, że mówił z Panią Towiańską, ale się nie mógł wcale jej łaską pochwalić.

Witke musiał tak chodzić około niego, aby nie wprasząc się sam, przez niego dostał się do kasztelanowej.

Panu Łukaszowi było na rękę tą posługą się pani Towiańskiej zalecić.

— Uprzedź wpan ją tylko — rzekł Witke, zgodzwszy się na wycieczkę do Łowicza — że ja mojego pana zdradzać nie myślę i dla tego chętnie objaśnię, czego się po nim spodziewać mogą, ażeby się fałszami nie ludzili. Prawdy tać nie mam powodu, bo Kurfirst wszystko co czyni, czyni otwarcie i jawnie.

Nie mało to zachodu kosztowało, nim się gładko złożyło posłuchanie u kasztelanowej.

Nie opuszczała ona prawie brata i żyła przy nim z większą częścią rodziny swej, zajmując część zamku. Koniec, kolebki, służba kardynała była pod rozporządzeniem Towiańskiej, tak jak i brat. Ona tu rozkazywała.

Krzykliwa, zuchwała, dumna nie miała przyjaciół, nie cierpiano jej, ale tłumy pochlebców ją otaczały i klientów wszelkiego rodzaju. Zbliżając się już do lat sześćdziesięciu, silna pomimo to, w nieustannym ruchu wcale nie okazywała się znużoną życiem.

Mąż, dzieci, tak samo jak brat musieli jej być posłuszni. Wpadała bardzo łatwo w passję, a narównocześnie nie miała pomiarkowania i brak wychowania na jaw wychodził, bo kłęła i lajała w sposób grubiański.

Purpura brata, jego Prymasowska godność, która go w bezkrólewiu dostojnością *Interrex*a okrywała, zawróciły głowę Towiańskiej, która w świecie ledwie go równym sobie sądziła.

Korzono się przed nią.

Niepowodzenia Contiego, słabość jego partji, która poprzeć go nie umiała, budziły jednak niepokój w kasztelanowej, a szczególnie, gdy pomijając Prymasa, August się porozumiewał z naczelnikami rokoszu.

Szeptano już o przyjacielu Sobieskiego, biskupie Żałuskim, że się chciał zbliżyć do Sasa, podejrzewano i Sobieskich. Potrzeba więc było korzystać z chwil ostatnich może, aby wyjednać korzystne warunki.

Przebór oznajmił kupca, jako człowieka, który miał na dworze stosunki wielkie, i mógł, niepostrzeżenie, cicho służyć za narzędzie.

Kasztelanowa wcale stę pewnie innego czegoś spodziewała i wyglądała... gdyż zdumiała się, gdy siedząc w krześle z poręczami, jak na tronie, ujrzała wchodzącego bardzo przystojnego młodzieńca, po polsku ubranego. Tak mało sasa w nim pozostało, że go pani Towiańska wcale nie dostrzegła. Sądziła na-

wyt, że zaszła omyłka, ale Przebór, który go przedstawiał, wątpliwości nie pozostawiał.

P. Łukasz zrozumiał to, że świadkiem rozmowy być nie potrzebował, a byłby zawadą nie pomocą; wysliznął się więc zaraz za drzwi.

Chwilkę jakoś Towiańskiej trudno było nawiązać rozmowę. Zaczepiła go o to, iż Sas, czy go kto królem uznawał czy nie, ciekawość obudzał, a mało osób go w Polsce znało i różne dochodziły pogłoski.

— All możemy powinszować jego wyboru — pośpieszył z odpowiedzią Witke—pan ze wszech względów godzien tronu... Umysłu wielkiego, wspaniały, szczodroblivy aż do zbytku, ludzki i łagodny.

— Więc tylko same pochwały masz waćpan dla niego! — odparła kasztelanowa.— To się rozumie, kto mu służy...

— Ja nie mam szczęścia być w służbie króla — rzekł Witke — ale mówię to co wszyscy, którzy go znają powtórzą.

— Mówią, że bardzo płochym jest — dodała Towiańska — no i wiarę katolicką, chociaż przyjął na pozór, swoją dawną podobno trzyma...

— Nigdzie się to jednak nie pokazało — począł Witke.—W Krakowie go wszyscy widzieli przystępującego do Komunji.

— Towiańska głową kiwnęła.

— Szczodrym jest—wtrąciła—powiadasz waćpan. Pewnie, pewnie, bo inaczejby nie nie dokazał. Rzeczpospolita wycieńczona wojnami potrzebuje pieniędzy. Wojsko niepłatne.

Zatrzymała się patrząc badawczo na kupca, który stał z pozoru bardzo chłodny.

— Na wszystko mu stanie — odezwał się po namyśle—nawet na zawdzięczenie tym, co mu sprzyjać i posiłkować zechcą...

Spojrzał w oczy kasztelanowej, której rumieniec dał poznać; że się już dorozumiewała posłańca.

— Na tym świecie— odezwała się wzdychając — nie darmo... My tego nie przerobimy...

— Król też August zaopatrzył się w zasób znaczny jadąc na koronację — rzekł z uśmiechem. — Radby pozyskać sobie przyjaciół i wojnie domowej zapobiedz. Nie będzie ofiar żałował na to...

Po chwili milczenia Towiańska, która już wytrzymać dłużej nie mogła, zawołała.

— Przyznaj się waszmość, czy masz jakie polecenia??

— Nie—ani rozkazów ni zleceń ni mam — rzekł Witke spokojny.— Jestem mały człeczek, ale ze znaczącymi ludźmi stosunki mnio wiążą. Wiele bym uczynić mógł, choć do niczego nie jestem obowiązany... a milczeć umiem...

Kasztelanowa wstała z krzesła, obejrzała się dookoła i skinęła na Witkiego, odprowadzając go ku przyległemu gabinetowi.

— Przyznaj że mi się waszmość — powtórzyła— masz co do powiedzenia. Ja ceregielów nie lubię, u mnie co w myśli to na języku... Przecież nie zdradzę...

— Powtarzam pani kasztelanowej — odezwał się Witke — zlecenia ni mam, ale królowi dobrze życzę, radbym mu pozyskać tych, od których pokój i uśmierzanie rokoszu zależy. Gotówem podjąć się zanieść, gdyby mi co zwiercono...

Towiańska skinęła głową... Niewiedzieć jaką drogą wpadła na myśl poczęstowania gościa.

— Możebyś waćpan napił się czego?—wtrąciła.

— Nie, dziękuję—rzekł Witke.

Kasztelanowa zakręciła się po pokoju.

— Ale któż waćpan jesteś?

— Ja? kupiec z Drezna...

— A zkadże ta polszczyzna?

Witke się zarumienił.

— Dawnośmy w Niemczech osiedli...

— Jak się waćpan nazywasz?

— Niemcy mnie zowią Witke, a polacy Witkowskim—odezwał się kupiec.

— Bo to tak, widzisz waszmość, z pierwszym lepszym w traktaty wchodzić...

Pokręciła głową. Witke wcale nie nalegał, chciał poznać i coś z niej wyciągnąć, nie spodziewał się od razu dojść do celu... Towiańska przypatrywała mu się z chciwą, rozbudzoną ciekawością. Nie wątpiła, że to był poseł jakiś z królewskiego obozu, albo wysłany na zwiady; nie wierzyła, ażeby kupcem był, usiłowała przeniknąć go, aby się nie dać oszukać. Poczucie własnej nieudolności, bo wcale zręczną nie była, ani stworzoną do subtelnych intryg, w których podejścia wszystko stanowią, nieufność czyniła ją podejrzliwą... Nie miała cierpliwości i kończyła zawsze zdradzając się wybuchem niezgrabnym. Zagadkowy sas, kupiec, mówiący po polsku, wychwalający króla, a przybywający do Łowicza na żądanie, niepokoił ją mocno.

— Mówmy bo otwarcie... co tam! — rzekła żywo zakłopotana — ja lubię wprost, tak, karty na stół... Macie przystęp do dworu...

— Najłatwiejszy, choćby do samego króla — odparł Witke.

— No, to możecie powiedzieć, żeście słyszeli i widzieli — poczęła coraz prędzej i goręcej — że prymas do ostatka nie ustąpi... a póki prymas trzyma z Contim, póty jego partja żyć i bruździć będzie, a rokosz nieustanie... Prymasowi zaś nic uczynić nie może... nie, ani nawet w Rzymie... Tknąć go nie śmie nikt pod exkomuniką... tembardziej taki król, który tylko co katolikiem został. Prymas jest potęgą, ma on więcej niż wojsko, bo jego słowo waży za regimenty... Brat mój dosyć utracił przez to bezkrólewie, zdrowie nadwyreżył... pieniądze rozsypał, nieprzyjaciół sobie przysporzył, w czemże mu to nagrodzić?...

Witkowski pomileczał trochę.

— Oczywiście rzecz — odezwał się — że pan mój

niema tego czem wynagrodzić, ale straty pieniężne przynajmniej zwrócić, i mnie się tu słusznem wydaje.

— Spodziewam się — krzyknęła Towiańska. — Król ma z czego ciągnąć... a mój brat własną ojcowiznę zmarnował dla dobra Rzeczypospolitej, rodzinę zubożył...

— Król z pewnością te straty będzie się starał wynagrodzić — przerwał Witke — ale nie od rzeczy byłoby, choć mniej więcej wiedzieć, ile one wynieść mogą... Wydatki były i są ogromne, wojsku musiał król żółd zaległy wysypać.

— Tu się też małem czem nie obejdzie — dodała kasztelanowa. — Ja tam nie wiem... ale mnie się zdaje, że stu tysiącami talarów trudno będzie to załatwić.

Spojrzała na Witkego, który udawał przestraszonego.

— Dla króla — ciągnęła dalej pani Towiańska — to mała rzecz... a kardynał gdyby to dostał, ledwie będzie miał czem opłacić długi na ojcowiste dobra pozaciągane, czasu interregnum. No i spodziewam się — rzekła zniżając głos — że ja jako pośredniczka, gdyby do czego przyszło, zapomniana nie będę... Choćby wioskę król kupował, musiałby porękawicznie dać, a toć tron...

Zaczęła głowę rzucać; kupiec słuchał z uwagą nateżoną, ale nie śpieszył z odpowiedzią.

— Jeżeli o pieniądze trudno — dodała nieustając kasztelanowa — wiem, że król w klejnotach się kocha i ma ich przepaść. Ja się niemi będę kontentowała, tylko znowu ładajakich nie przyjmę.

Dawszy się jej tak odkryć i wygadać, Witke podniósł głowę.

— Wszystko się to da zrobić, jak mnie się zdaje — rzekł — oczywiście nie przez tak małego człowieka jak ja, idzie tylko o to, aby wymagania nie były za wielkie.

— Cóż to waćpan znajdujesz, że kardynał może



mniej wziąć nad sto tysięcy? a ja klejnotów za czwartą część tej sumy?—zawołała kasztelanowa.—Myślicie, że my, jak żydzi będziemy się targować?

— Ja tu przecie nic nie stanowią — odezwał się Witke spokojnie—jedna rzecz, w której usłużyć mogę to, że gdy mi pani zleciła, to doniosę królowi, iż się da wszystko ukończyć zgodą i powróceniem strat. Życzy sobie tego pani kasztelanowa?

Zagadnięta wprost, oczyma błysnęła stara pani i zagryzła wargi. Udawała źle, niby wahającą się, choć gorąco pragnęła uprzedzając innych, sama rozpocząć układy, sama je prowadzić — i dopilnować w nich przedewszystkiem własnego interesu.

Kupiec zwrócił raz jeszcze uwagę jej, nie doczekawszy się odpowiedzi, na wysokość wymagań dla Prymasa.

— Sto tysięcy talarów, pani kasztelanowo—rzekł, duży to pieniądz, nawet dla króla—rzekł powoli. — Za wiele wymagając, można wszystko zepsuć...

Towiańska porywczo mu przerwała.

— Wiesz waćpan co? O sumę dla mojego brata niech się sobie układają. Może on co zaskryfikuje i ustąpi, ja nie wiem, ale ja, ja klejnotów za ćwierć sta nie odstąpię... król ma ich na miliony, powiadają, chodzi cały od stóp do głów okryty dyamentami, choć mu ich kochanki sporo nadebrały.

Wspomnienie o kochankach, milczeniem pokrył Witke, choć jejmość ciekawa bardzo, gotową była o nich przedłużyć rozmowę. Spytała potem czy prawni, że król się do Warszawy wybierał.

— Niezawodnie przyjdzie i zajmie swą stolicę — rzekł Witke. — Nikt mu się tu opierać nie będzie, a gdyby nawet przyszło do tego...

Nie dokończył.

— O! wiemy, wiemy — zawołała kasztelanowa—wojska ma pono dosyć. Wpuścili je do Rzeczypospolitej, niechże teraz myślą zawczasu jak się ich pozbędą. Skarżyli się na swoich, że ich hibernami i sta-

cyami objadali, teraz dopiero zakosztują tego, co żołdak może, sasi dopiero rozumu nauczą.

Wszystko to Witke przyjął w milczeniu, a Towiańska niespokojna, nie tracąc głównego przedmiotu z myśli, powróciła do Prymasa i do układów, radząc, aby się z niemi król nie ociągał, bo może mieć pomoc wielką i dzielną w kardynale.

Król sobie wybrał tę purchawkę Dębskiego—zawolała z obrzydzeniem—ale co on znaczy?! Nikt go nie słucha i nie szanuje, a kara musi spotkać za uzurpację. Kardynał mu nie daruje. Mówią, że i Załuski myśli się przejednać, ale z tego też wielkiej poaciechy nie będzie miał król.

Kupiec słuchał ciekawie, aż zmęczona umilkła. Zdawało mu się, że czas ją było pożegnać, ale widząc ten ruch, zatrzymała go.

— Czekaj-że wmość! mów! mam się czego spodziewać? dasz mi jaką wiadomość?

— Pozwalasz mi pani mówić?—spytał.

— Mówić — ale nie trąbić — odparła Towiańska zwykłym sobie grubijańskim tonem. — Mów waćpan tym tylko, co wiedzieć o tem powinni, a daj mi znać, czy się czego spodziewać mamy. Prymas chce zwołać rokosz, od was będzie zależało, czy się on wzmoeni i utrwali, lub rozwiąże.

Gość, który już całej tej rozmowy miał dosyć, zdobywszy co mu było potrzeba, zaręczył, że uczyni co będzie mógł, aby spokój i zgodę przyśpieszyć.

— Nam kupcom więcej o to chodzi, niż komu, aby w kraju i w stolicy bezpieczeństwo i pokój panowały. Chętnie więc moje małe usługi ku temu ofiaruję, a skoro czegoś nowego się dowiem, nie omieszkam dać wiedzieć.

Odmówiwszy wszelkiego przyjęcia i ngoszczenia, jak wszedł tylnemi drzwiami potajemnie, tak wysłiznął się niemi nazad Witke, zastawszy Przebora na straży oczekującego.

Nie zwicrzył mu wcale tego co mówił z kaszte-

lanową i zbył go tem, że do porozumienia pono nie łatwo przyjść może.

— Wszakże — dokończył — rozpaczać nie trzeba. Waćpanu — dodał, zwracając się do dawnego nauczyciela — za ułatwienie mi znajomości z panią kasztelanową, bardzo wdzięczny i postaram się to okazać. Wiem przynajmniej co tu myślą i co sobie obiecują.

Ponieważ szło o zachęcenie do posług ex-kleryka, któremu zupełnie było obojętnem, czy służył Contiemu, czy Sasowi, byle coś na tem mu się upiekło, Witke nie zwlekając, gotowizną zapłacił za doprowadzenie do Łowicza.

Polecił mu tylko Witke, aby uszu nadstawił, a co mu w nie wpadnie, donosił, bo i drobnostki czasem przydać się mogą.

Powróciwszy do Warszawy, kupiec rozmyślał, czy mu samemu nie wypada jechać do Krakowa, bo przez listy i niebezpiecznie i trudno się było porozumieć, wstrzymywał się jednak, aż do otrzymania odpowiedzi na raport w ogólnych wyrazach, który umyślnym wysłał. Tymczasem korzystając ze znajomości z Renardem zrobionej, z uprzejmości, jaką mu francuz okazywał, czując w nim kapitalistę, Witke dogadzał swej słabostce, nosił małe podarki i łakocie Henrjetce i patrzył w jej śliczne, żywe, ogniste, do życia się rozbudzające oczy.

Rodzice oboje, z szczególnie w sprawach miłosnych wiele mająca doświadczenia matka, postrzegli to szczególne upodobanie młodego kupca w wyrostku, którego piękność wszystkich zachwycala. Oboje się tem cieszyli, gdyż zamożny zięć za kilka lat bardziej się im mógł przydać do utrzymania przy handlu, który szedł bardzo dobrze, ale wyjść z długów nie mogli. Przyczyniało się do tego to, że pani Renard lubiła się stroić, nbierała córeczkę, jak pańskie dziecię, płaciła do niej nauczycieli drogo i wielkie pokładała na tej piękności nadzieje.

Jej widokom nie odpowiadał skromny także, choć majątny knieć, bo się losu świetniejszego dla Henrjetki spodziewała, ale na wszelki wypadek, wygodnie mieć go było w zapasie.

Witke przychodził codzień, a że dziecku Henrjetce pochlebiało jego nadskakiwanie, przyjmowała go uprzejmie i posługiwała się nim bez ceremonii.

Pan Zacharyasz tak się zajął gorączkowo wyrostkiem tym, iż myśl ożenienia powziąwszy, z nią się nosił. Ale jakże tu było chcieć wprowadzić do tego domu, tak cichego, skromnego, tak po mieszczańsku urządzonego; dziewczę rozpieszczone, rojące tylko o błyskotkach, o zbytkach, o zabawach, nawykłe do uwielbień i upojone niemi.

Wszyscy goście Renarda na rękach niemal nosili śliczną Henrjetę, rosła w tym dymie i woni kadzi-deł. Jakże by taka synowa się mogła pogodzić z tą pobożną, cichą, pracowitą Martą, z kluczykami po całych dniach drepczącą po domu, utrzymującą rachunki, posługującą w sklepie, wydającą ze spiżarni i mającą oko na kuchenkę??

Za to Henrjetka śpiewała jak słowik, wyglądała jak aniołek, spoglądała zalotnie, a odcinała się tak dowcipnie! Urok jej młodości działał na spokojnego dotąd Niemca, w taki sposób, iż sam już sobą nie władał.

Często nłakłszy się tej niedorzecznej pasyi, próbował z nią walczyć, wstrzymywał się dni parę od odwiezania Renardów, ale potem biegł do nich jak oszalały, a gdy w progu zapytała go Henrjetka, dla czego o nich tak zapominał, uniewinniał się jak z grzechu, z tej walki z samym sobą.

Renard też i żona jego starali się wszelkimi sposobami trwale sobie przyjaźń jego zaskarbić. Projekt założenia wielkiego jakiegoś handlu dojrzewał zwolna, lecz Witke, gdzie szło o pieniądze, bardzo był rozważnym i rachował wszystko ściśle.

Odpowiedź z Krakowa nie długo na siebie czekać

kazała. Mazotin w wielu słowach, żądał przybycia Witkego dla ustnej narady. Potrzeba więc było, pożegnawszy Renardów i piękną Henrjetkę, pospieszyć z powrotem, chociaż Constantini donosił, że król wkrótce się wybiera do Warszawy.

Opanowany dwoma swemi marzeniami, jakiegoś wybicia się w górę i pozyskania pięknej Henrjetki, niemiec sam siebie nie poznawał. Mało nawet tęsknił za Drcznem, za matką i troskał się o swój interes, o który spokojnym był, pod opieką staruszki. Pomimo przykrej już pory jesiennej, Witke z wieczora odebrawszy list, ledwie wpadł do Renardów z pożegnaniem, a nazajutrz rano biegł do Krakowa.

Tu wszystko znalazł, jak było... Król zapamiętałe uczłował, zamykał się czasem godzinami z posłem Brandeburczyka von Overbeckiem, z Flemingiem, Przebédowskim i Dębskim, podpisywał co chciano, przyrzekał czego się domagano... śmiał się i widział się już panem jedynym rzeczypospolitej...

Codzień prawie dezterterowie z uszczuplonego obozu francuzkiego przybywali, poddając się mu dobrowolnie. August wszystkich przyjmował z niewymowną grzecznością, łagodnością i łatwem przebaczeniem. Serca sobie zjednywał. Wynoszono go pod niebiosą. Statysci poważniejsi szeptali między sobą.

— To nie, że dobry i łagodny pan jest, ale ma rozum i takt... ma energią... potrafi powstrzymać wichry nasze, wprowadzi ład, wywoła reformę praw przestarzałych, władzę monarchiczną ukrzepi.

Wszyscy to prorokowali, choć wcale się na to nie zanosilo, pijatka tylko niesłychana, gorsząca, nieustająca, od której ani stan, ani wiek nie uwalniał, wchodziła w obyczaj codzienny, a przy niej o niczem nie mówiono tylko o kobietach i o królewskich amarach...

Nie jedno uczciwe, stare polskie lice, zarumieniło się i oblało wstydem, ale przykład szedł z góry...

Constantini pochwycił przybyłego Witkego, z nie-



zmierną niecierpliwością go badając, dobył z niego wszystko... Kupiec się spodziewał, że z tym raportem dopuszczonym będzie do króla i tym sposobem się mu da poznać... Miał to być pierwszy krok... ale włoch klepnął go po ramieniu.

— Co ci się śni!! Nie pora tobie jeszcze wprost z królem traktować. Zostaw to mnie, ja sam ci powiem, kiedy się będziesz mógł stawić... To zawczasie!!

Niepodobało się Niemcowi to pozostawienie go na stronie, ale z Mazotinem ani zrywać, ani spierać się nie chciał, zamilkł więc. Zręczny posługacz królewski naturalnie całą zasługę zdobycia tych pożądaných wiadomości sobie przypisał przed królem.

Razem jednak z tem co przyniósł Witke, z drugiej strony król otrzymał wiadomości, potwierdzające w pełni, co kupiec słyszał od Towiańskiej, razem i przestrozę, ażeby z kasztelanową traktować, nie z prymasem, który nie inaczej jak przez nią mógł być pozyskany. Król był niezmiernie ostrożny. Nieprzyjaciele Towiańskiej i ci co ją dobrze znali, powiadali, że i klejnoty przepaść mogły i pieniądze, jeśliby się nie opisano i nie zapewniono, końca by rokoszowi nie było. Radzono więc, przynajmniej klejnoty Towiańskiej—pokazywać, ale ich nie dawać póty, póki by czarno na białem nie stało przymierze, a prymas się publicznie nie pojednał.

Constantini z nadzwyczajnem uwielbieniem dla pana swego, pod niebiosą go wynosząc, zwierzył się Witkemu, że August miał pewne na podarki przeznaczone klejnoty podwójne, zupełnie podobne sobie na pierwszy rzut oka, ale jedne z nich fałszywe były i bez wartości, drugie istotnie cenne.

Król więc August wnosił, aby pani Towiańskiej, dla rozłakomienia pokazać fałszywe, bodaj jej powierzyć je, ale prawdziwych nie dawać, ażeby skończono układy.

Witkemu się to nie bardzo podobało.



— A nuż się na tem poznają?—odparł. — Wstyd by było panu naszemu, że w jego imieniu śmiano fałszywemi się popisywać...

— Czy to tam ta baba, która pono nigdy nie widywała takich precyozów—odparł Constantini — ma się na nich znać? albo będzie jubilera pod ręką miała?

Gorzejby było, gdyby pochwyciła drogocenne klejnoty, a my się nawet o nie nieśmieli dopominać!

Constantini więc przy tem stał, aby Witke fałszywe kamienie zabrał z sobą dla zaoskomienia niemi Towiańskiej. Potrzeba słuchać było. Naśladowanie to zresztą tak doskonale było wykonane, że tylko oko znawcy mogło dojść fałszu...

Kupiec odebrał zlecenie ukazać tylko klejnoty, ale ich nie dawać z rąk, a co najdłużej na dwadzieścia cztery godzin je powierzyć Towiańskiej.

Do zawarcia z prymasem przymierza i targowania się z nim o okup sumienia, miał być ktoś znacznie-szy wyznaczonym... Witke tylko pole przygotowywał, co w istocie najważniejszem było. Król stu tysięcy talarów dać nie chciał, ale na trzy czwarte tej sumy się zgadzał, a klejnoty dla kasztelanowej przeznaczone, miały mieć wartość przez nią oznaczoną.

Wszystko to, wielce pożądane Augustowi, zrobił w jego przekonaniu, nieporównany, nieprześcigniony Mazotin... Król go za uszy targał, śmiejąc się i pieszczotliwie, zwał wielkim *ladrone*... Pysznił się kamerdynier, radował August, rósł w łaskach włoch, o Witkem ani mowy nie było...

Zaledwie instrukcją otrzymawszy, kupiec napowrót się puścił do Warszawy, chociaż z tej swej wycieczki nie koniecznie rad, bo się spodziewał króla widzieć, a wcale nie przewidział, że mu fałszowane dadzą precyozą... O tem myśląc twarz mu się krwią zalewała. Uczciwa jego, kupiecka natura wzdygała się na myśl posługiwania fałszem, chociaż był on tu tylko użytym dla zabezpieczenia od oszukaństwa. Ale nie chciało mu się wierzyć, aby pani kasztelanowa,

siostra Prymasa, pomimo swego grubijaństwa, wielka pani, należąca do arystokracji, zdolną była popełnić, o co ją posądzano. Z pewnym wstrętem jechał niemal upokorzony, przemyślając uad tem, że drogą, którą go Constantini prowadził, nie daleko zajść może i że lepiejby ją rzucić było...

Lecz jak w bardzo wielu wypadkach, tak i z nim się działo, że dawszy się pochwycić i wciągnąć raz, z trudnością się mógł wycofać nie narażając.

Bał się Mazotina...

Pierwsze chwile w Warszawie poświęciwszy Renardom i Henryjetce, która także trzymała go w niewoli, musiał wybrać się do Łowicza, bo nie miał czasu do stracenia, a król był niecierpliwy.

Ci co go tu już widzieli na sekretne posłuchaniu u Towiańskiej, śpiesznie mu wyrobili przyjęcie i kasztelanowa, która się ubierała na jakieś przyjęcie gości, wyszła do niego bez ceremonii, zaledwie się płaszczykiem okrywszy, z włosami rozrzuconymi, w przydeptanych trzewikach, podobniejsza do starej ochmistrzyni, niż do siostry księcia Kościola.

Zmierzyła go badającymi oczyma, a że pudełka z klejnotami z trudnością się ukryć dawały, domyśliła się zaraz z czem przychodził i ledwie się wstrzymała od tego, ażeby mu ich z rąk nie wyrwała, tak pilno jej było.

— No, z czem że acan przychodzisz! mów — zawołała — czasu niema...

— Ja też nie mogę nim szafować — odezwał się Witke. — Trafłem różnemi drogami do przyjaciela króla, do Fleminga... Król August jak był tak jest za tem, aby szkody i straty indemnizować, ale i dla niego też czasy ciężkie, co przewidywać było łatwo... Wyśle król wkrótce bardzo poważnego posła dla układów i sądzę, że jego propozycje zostaną przyjęte... Coś książę kardynał musi spuścić...

Towiańska zatrzepała rękami.

— Nie może! nie może! — krzyknęła — ale zresztą

niech się układa jak chce... ja tam nie wiem, a ze mną co będzie??

— Król dla pani kasztelanowej nie chce być skąpym—rzekł Witke—i owszem, gotów szczerdym się okazać... Klejnoty które dla niej przeznacza, wysokiej ceny... z pewnością warte będą tego, co pani mieć sobie życzyłaś...

Towiańskiej oczy zdawały się wyskakiwać z powiek.

— Znaczniejszą ich część—mówił dalej niemiec—powierzono mi dla pokazania... ale nie mam prawa z rąk ich puścić, tylko dano mi je, byś się pani przekonała, że król na seryo o tem myśli.

O mało z rąk mu pudełek nie wyrwała Towiańska, taka ją paliła ciekawość. Witke jakby na przekór flegmatycznie zaczął pudełka rozkładać na stole.

Wielce kunsztowna oprawa i doskonałe naśladowanie kamieni w niej zawartych, w pierwszej chwili tak zachwyciły kasztelanową, iż stanęła osłupiała.

Kosztowne kanaki, najszyjniki, pas, kolce, dyadem, błyszczały ogromnemi szmaragdami i topazami.

Nanczony o cenie tych wyrobów, Witke z kolei wymieniał wartość każdego z nich.

W Towiańskiej po ochłonięciu z pierwszego wrażenia obudziła się nieufność. Nie przypuszczała fałszu i na myśl tę nie wpadła, ale posądzała, że przeceniono te precyzozy.

Sama ona nie bardzo z takimi rzeczami była obeznaną.

— A no! piękne, piękne — zawołała powstrzymując się od pochwał — ale licho wie ile to może być warte. Ja się na tem tak dalece nie znam.

— Przecież król...—wtrącił Witke.

— A! co tam król—odparła—czy on tam o wszystkim wie i rozporządza sam... Jego razem i mnie mogą jubilerowie oszukać. Ja nikomu nie wierzę.

— Na sprawdzenie wartości czas będzie później—rzekł kupiec—mnie tylko pani pokazać to zlecono.

— Daj-że mi się w nich choć kilka godzin rozpatrzeć—poczęła natarczywie kasztelanowa.—Właśnie mam w gościnie Lubomirską, podkomorzynę koronną, ona to się lepiej na tem zna, niż ja, a jest naszą bliską krewną. Pokażę jej, nikomu więcej, słowo daje, nikomu więcej. Waćpanu każę dać kwaterę w zamku, przenocujesz, klejnoty oddam jutro.

— Nie kazano mi ich z rąk puścić, nie mam prawa—odparł Witke.

Towiańska z błagalnego tonu, przeszła natychmiast w gniew.

— Cóż to ja nawet na tyle wiary nie mam, aby mnie na kilka godzin powierzyć klejnoty. Nie przywłaszczę ich sobie przecie.

— Ja jestem służą i spełniam rozkazy — dodał niemiec.

— Musiałeś je źle zrozumieć—ciągnęła dalej Towiańska—nie może być, aby mnie, senatorowej, okazywano nieufność.

Witke nie wiedział co począć, gniewała się, fukała, rzucała. Koniec końcem tak go znużyła, że pomyślał, iż niebezpieczeństwa nie było w powierzeniu na kilka godzin rzeczy, nie mających nadzwyczaj wysokiej wartości. Nie zdawało mu się też, ażeby na fałszu Towiańska poznać się miała, bo oglądając, unosiła się najbardziej nad kamieniami bardzo niezgrabnie naśladowanymi. Nadchodził wieczór, a nazajutrz do dnia ofiarowała się zwrócić wszystko.

— Pani kasztelanowo—rzekł w końcu—pani mnie zgubić nie zechcesz.

Zaczęły się targi, prośby, nalegania, tak nieznośnie napastliwe, że znużony niemi Witke, w końcu, rozmyśliwszy się, do następnego poranku zgodził się dla rozpatrzenia pozostawić przywiezione klejnoty. Nie czyniłby był tego pewnie, gdyby nie wiedział, że podrabiane były.

Przywołano natychmiast marszałka dworu Prymasa, niejakiego Skwarskiego i kasztelanowa zdała mu

gościa swego, upominając, ażeby jak najlepiej był przyjęty i umieszczony. Skwarski, mrukliwy jakiś i kwaśny człek, popatrzywszy na Witkego z podębą, zabrał go z sobą.

Tymczasem kasztelanowa dostała gorączki, zamknęła powierzone precyoza i co najprędzej się ubierać zaczęła.

---

## VIII.

Kasztelanowa Towiańska nie rychło ochłonęła z wrażenia, jakie na niej widok tych kosztownych uczynił klejnotów. Przywiezienie ich samo miało znaczenie wielkie, układy więc przychodziły do skutku. Prymas za jej pośrednictwem miał otrzymać, do czego się dobijał. Znaczenie jego miało się wzmódz. Spodziewał się innych pozbyć doradców i opanować króla. Kasztelanowa nim rządzić się gotowała. Nawykłym był jej ulegać.

Zawracała się głowa jejmości, która sobie przypisywała tak szczęśliwy obrót okoliczności. Pomimo tego upojenia jednak, musiała być ostrożną.

Przyszło jej na myśl w tej chwili, że z Warszawy przywieziony jubiler mitrę arcybiskupią, starą, właśnie pod nadzorem i strażą w pałacu zamknięty przerabiał. Klasnęła w ręce z radości, że się tak wszystko dziwnie pomyślnie składało.

Jubiler, chrześcijanin, mieszczanin warszawski, którego już trzy czy cztery pokolenia do cechu należały, człowiek stary, majątny, uczciwy, niejaki Miurzak, głoszoną był jak wielki znawca w złotniczych rzeczach. Nie raz go już do koronnych insygniów

reperacji i oceny używano, gdy je zastawiać przychodziło.

Postanowiła go wezwać. Musiała się jednak śpieszyć, bo i na obiad jako gospodoni w domu brata wyjść musiała i Lubomirską młodą, krewną swą, wielką podkomorzyńską koronną, miała w gościnie i dnie były krótkie, a wieczór niesposobny do oglądania kamieni, które często kolor mieniały przy świetle. Umiała jednak wszystko to pogodzić w ten sposób, że u stołu kazała się zastąpić synowej pod pozorem jakimś, jedzenia się wyrzekła, a tylko dwa talerze rosołu spożywszy prędko, gdy wszyscy zasiedli jeść, ona Mrużaka do siebie wezwała.

Stary jubiler, rządzącej się tu szarej gęsi nie lubił, dokuczwała mu już nie mało w różnych targach, ale wiedział, że ona tu więcej od Prymasa znaczyła, poszedł, przeklinając po cichu, a obiecując sobie od baby sekutnicy jak najprędzej się uwolnić.

Towiańska w swoim gabinecie przyjęła go z niebywałą nigdy uprzejmością. Poczęła od tego, że go o sekret zakleła i zażądała, aby jej klejnoty wskazane ocenił. Jedne po drugich, drzwi zamknawszy, wydobyla z szuflady pudełka i zwyciężkim wzrokiem mierząc Mrużaka, domagała się jego zdania.

Stary zabrał się do dzieła sumiennie, stolik kazał do okna przystawić, dobył szkła powiększające i rozpatrywać się począł. Z razu zaimponowały mu te misterne oprawy, głową pokręcał, nie mówił nic, jakby zdumiony.

Nagle jakieś podejrzané łamanie się światła, zwróciło jego baczność, bliżej zaczął badać i jakby skamieniały siedział chwilę, powtórnie wziął się do egzaminu i znowu, ruszając ramionami, dumął głęboko.

— Pozwoli mi jaśnie wielmożna kasztelanowa zapytać się, czy klejnoty te już nabyła.

Towiańska odparła żywo:

— Nie jeszcze, ale mi je tanio chcą sprzedać.



Mrużak się uśmiechnął, dumał znowu, ciężko mu było coś powiedzieć.

— Co to wszystko razem wzięte warto—nalegała Towiańska—mniej więcej.

— Hm!—po długim namyśle rzekł jubiler—szkła chowając do kieszeni.—Hm! klejnoty te mało co więcej warte nad to, co oprawa misterna... Kamieni czeskich siła, szkła dużo, prawdy w nich mało.

Kasztelanowa krzyknęła na głos, łamiąc ręce.

— Co się waćpanu w głowie pomieszało!—zawołała—to nie może być. Ja wiem z kąd one pochodzą.

— Choćby i ze skarbcza koronnego—rzekł z przekąsem Mrużak—albo z zakrystji gnieźnieńskiej, nie mniej to są podrabiane karbunkuly, których część największa żadnej wartości nie ma.

Stanowczy ton, z jakim wyrok ten wydał Mrużak, wstając od stołu, kasztelanowę wprowadził w stan nie do opisania.

Gniew, wściekłość, przestрах jakiś ją ogarnął. Widocznie drwiono z niej sobie. Król mógłże w ten sposób chcieć ją oszukać? W pierwszym momencie oburzenia chciała kazać wziąć pod straż i uwięzić Niemca, rozgłosić sprawę, ale rozmyśl zmusił ją do pomiarkowania.

Powściągnęła wybuch gniewu.

— Pewno to acan twierdzisz?—spytała zimniej.

— Tak pewnym jestem tego, jak żem żyw—odparł złotnik. — Żeby na tem zjadłem, a toć przecie tak jawne, że wielkiej mądrości nie potrzeba, aby się tego dopatrzyć. Prawda, że złotnicza robota tak piękną, iż najdroższych kamieni warta i siedzieć one w niej musiały, ale dziś...

— O! ja zaraz to spostrzegłam — przerwała Towiańska—i właśnie dla tego acana wezwala.

Mrużak się skłonił i już ku drzwiom kroczył. Nie zatrzymywała go już kasztelanowa. Pierwszą myślą jej było, klejnoty do rana zachować, pochwalić się niemi przed Lubomirską, ale oburzenie nie dało jej

czekać do jutra. Natychmiast posłała po Witkego, który ledwie do stołu marszałkowskiego miał zasiadać.

Tknął go ten pośpiech, wysunął się frasośliwy. W gabinecie, z policzkami jakby krwią oblanemi i trzęsąc się cała, oczekiwała na niego siostra prymasa. Klejnoty w pudełkach i powyrzucane z nich leżały na stole.

Wskazała ręką, dumnie na nie.

— Zabierać mi to natychmiast i precz ztąd! — krzyknęła. — Jedno z dwojga, oszukaństwo albo drwiny, a ja ani jednego, ani drugiego nie nawykłam znosić. Rozumiesz waćpan?

— Wcale nie rozumiem — rzekł śmiało Witke — proszę mi wytłumaczyć...

Kasztelanowa parsknęła gniewnie.

— To są szkła i fałsze — poczęła głos podnosząc — chcieliście mnie wziąć na plewy! alem ja nie w ciemną bitą... wiem, że niemcom na słowo ich wiary dawać nie można.

— Za pozwoleniem — przerwał Witke. — Niech pani kasztelanowa rozważy naprzód, czy tu jest się gniewać za co. Ja pani tych klejnotów nie przywiozłem oddać, ale pokazać. Rzecz cała tylko dla mnie się w sposób najprzykrzejszy tłumaczy. Że też pani tego nie rozumie, iż snadź mnie prawdziwych, a tak kosztownych precjozów powierzyć się obawiano, i dla tego dano mi podrobione. Jam się gniewać za to powinien, na królewskie sługi... Pani z pewnością nikt oszukiwać nie chciał, bo byś się podejść nie dała.

Rozumowanie to i wielce zbiedzone oblicze posła, który pokornie zgarniał pudełko, dało do myślenia Towiańskiej. Ochłonęła nieco.

— Toś acan nie wiedział co wiozłeś? — zapytała.

— Gdybym się domyślał, nie podjąłbym się z tem jechać — rzekł sncho i zimno Witke, obliczając pudełko i sprawdzając, co w nich było. — Ja się wię-

cej w żadne już pośrednictwa wdawać nie chcę i nie myślę...

Tym szczęśliwym zwrotem ułagodziwszy kasztelanową, ale sam podrażniony i gniewny niemiec się zabierał opuścić nie tylko pokój, ale i Łowicz, nie powracając już do marszałkowskiego stołu. Domyślając się tego stara jejmość, pożałowała porywczosci swojej...

— Waćpan się na mnie też gniewać nie powinien — odezwała się łagodnie — bo i ja obrażoną jestem... Mówisz sobie, że waćpanu nie dowierzano, a ja też mogę powiedzieć, że we mnie ufności nie miano.

Poruszyła ramionami.

— Opowiadacie o wielkiej szczodroblewości i szlachetności waszego króla — dodała — a toż królewska rzecz takimi się podstępami i wykrętami posługiwać?

— Ja też o to IMci nie obwiniam, ani mu przypisuję tego postępku — odezwał się Witke. — Sprawa to być musi podrzędnych sług, z którymi miałem do czynienia, a król o niej nie wie...

— To pewna teraz — rzekła Towiańska — że gdyby do układów przyszło, ja beż jubilera od króla waszego nic nie wezmę... Jaki pan taki kram... dobre ma sługi.

— Zasłużyłem może w przekonaniu pani, abys mnie do nich policzyła — przerwał Witke z pewną rezygnacją dumną — alem pani już mówił i powtarzam to raz jeszcze, że w służbie króla nie jestem...

— Dla mnie waćpan zawsze sługą jego jesteś — odparła Towiańska — boś mu tu służył i dobrze na tem wyszedłeś...

Poczęła się śmiać, gdyż gniew jej powracał.

— Od początku do końca wszystko u was na kłamstwie i na obłudzie stało i stoi... Dębski bezprawnie go okrzyknął, garść samozwańców poszła go witać w imieniu Rzeczypospolitej. Pakta konwenta

ten skradł kto podpisał, po koronę się do skarbcza wlamywać przyszło, a na zamek okupem się dostać. Rzuciła ręką.

— Bywaj waćpan zdrów. — Wtem głos jej zlagodniał.

— Dlatego gdyby potrzeba było porozumieć się ze mną, liczcie, że brat bezemnie nic nie robi, dla tego waszmość się nie zrażaj, możesz przyjechać i mówić ze mną... ale mi kłamstwa nie przywoź, bo my się na farbowanych lisach znamy.

Gdy Witke nic na to jakoś nie odpowiadał, kasztelanowa jeszcze uprzejmiej dodała w końcu.

— W takich sprawach gniewu nie masz... Będziesz miał z czem, przybywaj... ja szparka jestem, ale ze mną do ładu przyjsć można. Rankoru w sercu nie chowam.

Kupiec nie mając już co odpowiadać; pokłonił się grzecznie a zimno i wyszedł. Co się z nim potem działo, gdy do gospody powrócił na nocleg, a nazajutrz puścił się do Warszawy, trudno opowiedzieć. Wszystkie jego zamiary, plany, myśli ambitne zdawały się w niwecz obrócone. Wiedział teraz dopiero, że uczciwemu a sumiennemu człowiekowi w te kon-szachty z ludźmi luźnego sumienia wdawać się nie było podobna. Chciał rzucić wszystko, powracał do matki i skromny swój ojcowski handel dalej powoli prowadzić. Wyrzucał sobie nierozsądną ambicję, która go na straty i na upokorzenia narazić miała.

Ale zaledwie rozumne to postanowienie uczyniwszy, Witke natychmiast go żałować zaczynał. Nie chciało mu się porzucać zasnutego dzieła i zrażać pierwszem niepowodzeniem, a raczej nieprzyjemnością doznaną. Być może też, iż wdzięk Henrjetki, słabostka dla tego dziecka do Warszawy go ciągnęła.

Nim z Łowicza się do stolicy dostał, po kilkakroć zmieniał przekonanie. Chciał powracać do Dreżna i zostawał w Warszawie, rumienił się doznany

zawodem i tłumaczył tem, że on go przewidywał, a Constantini sam był winowajcą i sprawcą. W tej walce z sobą niesłychanie zmęczony dobił się nareszcie do gospody, ale tak się uczuł złamanym, że listy tylko do Mazotina przygotował, już się dnia tego nie ruszył z domu, choć go bardzo do dziewczęcia ciągnęło...

Constantiniemu w niewielu słowach, z żalem do niego, opisał swą całą przygodę, czyniąc mu srogie wymówki, że go na taką sromotę naraził, przy czem i na króla samego cień podał, a podejrzenie, że mógł się takimi posługiwać środkami, samemu sobie nie mógł przebaczyć, iż się dał na takie namówić oszukaństwo.

— A choć i w istocie nie miał na myśli zrywać i wyrzekać się dalszych stosunków z kamerdynierem królewskim, w liście się wyrażał tak, jakby z dalszych usług chciał się uwolnić.

Wypocząwszy potem poszedł do Renardów, gdzie go, jak zawsze, wielce serdecznie przyjęto. Renard sam przynaglał, ażeby czasu nie tracił i coś postanowił na przyszłość, ofiarował mu swe usługi i Warszawę tym razem mu zalecał.

Nad całą jego jednak wymowę oczki śmiejące się Henryjety wymowniej przemawiały... ale Witke chwiał się jeszcze. Przez samą miłość i poszanowanie dla matki, bez niej nic stanowczego przedsiębrać nie chciał. A tu mu się do niej wyrwać tak ciężko było!

Bardzo prędko przez królewskie kresy przyszła od Mazotina odpowiedź krótka i nakazująca.

— Przybywaj waćpan co najprędzej do Krakowa i przywoź z sobą powierzone klejnoty.

Raz z włochem skończyć było potrzeba. Nazajutrz Witke żegnał się z Renardami i zgryziony a upokorzony powlókł się napowrót do Krakowa.

Podróż go rozweselić nie mogła, szczególnie gdy się ku stolicy zbliżył, około której wojska saskie były rozłożone. Wyprowadzono na okaz, na placu mon-



stry (mustry) świeżo poubierane, na pozór karne, wyglądały one bardzo ładnie i elegancko, ale potrzeba czytać świadectwa współczesnych, ażeby mieć wyobrażenie o stanie rzeczywistym, o rozpasaniu staroszyny: nędzy prostego żołnierza, niegodziwem wypotrzebowaniu go przez oficerów po całych dniach i nocach, oddanych pijaństwu, kosterstwu i rozpuście.

Dopóki król nie został ukoronowany, dowódcy mieli najsurowsze rozkazy, aby ciurów trzymali w ryzie, bo za spokojne ich zachowanie się odpowiadali. Nie dopuszczano gwałtów. Natychmiast potem, gdy król już był pewnym tronu, wszystko się zmieniło i żołnierz zaczął dokazywać jak w zawojowanym kraju. Ze wszystkich miejsc, w których wojska rozłożone były, skargi, lamenty, narzekania się posypały. Sasi wprost napadali na dwory, do szczytu niszczyli włościan, rozrywali stogi, rozkradali brogi, włamywali się do stodół i spichrzów. Skargi nie pomagały, przenoszono winnych na inne stacje, gdzie się toż samo ponawiało.

Witke w ciągu podróży sam, że był przebrany po polsku, o mało nie został odarty i ledwo się swą niemczyzną obronił, a najzuchwalszych nadużyć i przekleństw napatrzył się i nasłuchiwał.

Gotowała się straszliwa burza przeciwko tym rozpuszczonym wojskom saskim. Naradzano się już na jaką je granicę przeprowadzić, zkąd skargi i krzyki nie dochodziły.

Tam, gdzie sasi stali, toczyła się niemal wojna między nimi a mieszkańcami; szlachta, gdy ich mogła pochwycić w małej liczbie, zabijała i topiła.

Opatrzono się też, że król sasami zamek krakowski obsadził i podejrzenia rosły, że z nimi chce opatnować całą Rzeczpospolitą. Dopomagało to rokoszanom.

Na pozór coraz lepiej stojąca sprawa Augusta, w istocie znajdowała teraz przeciwników w tych nawet, co Augusta na tron prowadzili. Zaczęto się dopatrywać tego, że zadanie, jakie wziął na siebie, przechodziło siły jego.



Zdając się, to na Fleminga, to na Przebédowskiego, sam on myślał tylko o rozrywkach, o świetnych występowaniach z przepychem, o rozrywkach coraz nowych, pił i swawolił. Sądząc, że to co zamierzał, samo się jakąś siłą cudowną dokona.

W rozmowach rozwijał najtrafniejsze pomysły, najpiękniejsze plany, nie już poprawy, ale przekształcenia zupełnego Rzeczypospolitej, połączenia jej z Saksonją, stworzenia silnej monarchji. Ale na słowach i marzeniach, na pozyskaniu pojedynczych ludzi wszystko się kończyło. Przed innemi sprawami szły kobiety, biesiady, polowanie, turnieje, popisy z siłą i zręcznością. Rzadki był dzień, kończący się już na trzeźwo, ale bez zupełnego upojenia gości i gospodarza. Poważniejsi ludzie coraz smutniejsze okazywali oblicza.

Przybywszy do Krakowa, zrażony i zniechęcony, Witke pospieszył do Mazotina, który go, dając się, przywitał wymówkami.

— Co! Sameś winien wszystkiemu! — zawołał. — Nie trzeba było klejnotów z rąk puszczać, przestrzegalem, ani się dać zbyt w nich rozpatrywać! Gdybyś postąpił jak chciałem, nie mieliby czasu w klejnotach fałszu dochodzić, ale z waszeci nowiejusz.

— A no, do takich spraw, w istocie jestem nowiejusz — rzekł rozgniewany kupiec — bom nawykł prostą chodzić drogą i nigdy nie kłamać. Mniejsza z tem żem się sromać musiał, ale i sprawie królewskiej zaszkodzić to może.

Constantini mu się w nos rozśmiał.

— O! prostaczku ty! — zawołał — cóż to ty myślisz, że król na siebie weźmie to co sam skomponował. Powie, żem ja winien i ukarze mnie, a ja złożę na ciebie i skrupi się zawsze na najmniejszym.

— Gdyby się tylko rozgłosiło o fałszywych brylantach... powiedzą, żeś ty je dla zysku podstawił i chciał przywłaszczyć i temu więcej uwierzą, niż żeby król miał coś podobnego wymyśleć...

Witke się uklonił, składając na stole pudelka.

— Dziękuję wam za naukę i będę z niej korzystał — rzekł. — Wdałem się w nieswoje rzeczy, powrócę do handlu... Nie widzę cobym zyskał na takich posługach. Uda się, wam to przypiszą, pośliźnie się noga, ja odpokutuję...

Chciał już odchodzić, ale Constantini go oburącz za kołnierz chwycił i nie puścił.

— Tak się to skończyć nie może! — zawołał — i króla i siebie musimy oczyścić. Tym razem dam waszmości też same klejnoty, ale z prawdziwymi kamieniami. Zawieszysz je do kasztelanowej i domagać się będziesz, aby je oszacowano, okaże się, że Towiańska oczów nie miała i potwarz na nas rzuciła.

Witke zgodził się na to, dogadzała mu ta rehabilitacja. Nie dłużej nad dni dwa czekać musiał, aby w tę samą oprawę wstawiono wyjęte drogie kamienie. Na oko były to też same naszyjniki, kolce i djademy, ale teraz były one warte około dwudziestu kilku tysięcy talarów...

Constantini tylko zalecił, aby Witke kosztownego depozytu z rąk nie puszczał. Ciągłe to podróżowanie zmęczyło już i znudziło Niemca, musiał jednak raz jeszcze poselstwo sprawić dla oczyszczenia się. A że gościńce nie bardzo były pewne, przyłączono go do wozów królewskich, które szły pod eskortą do Warszawy, dokąd się i sam August wkrótce wybierał. Nie było jej komu bronić i potajemnie zapewnione miał zdanie zamku, cekkhausu i wszystkiego. Czekano tylko na dokończenie z Prymasem układów. Witke po niewczase żałował, że się tak zaplątał, iż teraz z więzów wyswobodzić się było mu trudno. W Warszawie prawie nie spocząwszy wyruszył do Łowicza.

Chociaż z panią kasztelanową nie najlepiej się rozstali, gdy o nim oznajmiono, natychmiast, wielce zaciekawiona wpuścić go kazała.

— Cóż to waszmości sprowadza? — zapytała żywo podchodząc.

— Usprawiedliwienia się potrzeba — odparł Witke. — Pani kasztelanowa osądziła te klejnoty fałszowanymi, tymczasem ci, co mi je powierzyli do okazania, ręczą za nie, a ja żądam wezwania tu choćby dziesięciu złotników, którzy się na tem znają... Ślepym był, kto się w nich fałszu dopatrzył...

Towiańska się rozgniewała.

— A to mi dopiero historia! — krzyknęła.

Pobiegła do drzwi niespokojna.

— Prosić do mnie Mrużaka... natychmiast.

— Choćby nie jednego, ale ilu ich pani zechce, byle takich co oczy mają — rzekł Witke.

Począł potem uskarżać się na doznane z tego powodu nieprzyjemności i domagać się koniecznie *expertum vivum*.

Na bardzo rozognioną rozmowę nadszedł złotnik, ale zaledwie usłyszał o co idzie, poruszył ramionami.

— Nie mam co drugi raz patrzeć — odezwał się — bo com powiedział to trzymam.

— A ja stawię gardło — zawołał Witke — że tego nie dowiedziesz...

— Jest przecie drugi mój towarzysz, także doświadczony człęk — odezwał się Mrużak — niechaj on przyjdzie.

Posłano po owego towarzysza, także niemłodego już człowieka, flegmatyka, który słynął z tego, że złoto w jego rękach wszelkie kształty przybierało jakie zamarzył, bo z niego plół, tkął, wyciągał co zamarzył, a szczególnie kwiaty robił bardzo piękne. Zwano go Padniewczykiem.

Mrużak sam już nie chcąc nawet drugi raz się rozpatrywać, szepnął mu o co chodziło. Poszedł Witke z nim do stołu pod okno i z kolei począł pudełka otwierać.

Nastąpiło milczenie, pani Towiańska zbliżyła się także do rozpatrujących.

Padniewczyk, który pono ze starszym mistrzem w konflikt nie rad był wchodzić, długo nie mówił

nie, brał, patrzył, obracał, kładł, wzdychał, głowę potrzasał.

— No, a cóż? — śmiejąc się, spytał pewien siebie stary—a cóż?

— Jam tu dotąd fałszu żadnego nie napotkał — odezwał się Padniewczyk — jak Bóg miły, nie widzę, albowiem ślepy...

Żywo podbiegł Mrużak, chwytając pierwszy lepszy naszyjnik, który dobrze pamiętał, bo w nim szafiry duże były jawnie podrabiane.

Ale tym razem, wpatrzywszy się, osłupiał i przeżegnał się.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał — oprawa też sama, ale kamienie...

— Także też same—dodał Witke z przekąsem — tylko dziś oczy inne. Patrzajcież ichmość i rozpatrujcie dobrze, abym czystym był.

Mrużak się pięścią buchnął w piersi.

— Jam się omylić nie mógł—krzyknął.—Patrz—żemość na siwą głowę moją. Cóż to mnie po raz pierwszy z kamieniami i perłami do czynienia mieć?

Oba złotnicy pospuszczali głowy, podobywali szkła, poczęli próbować twardości kamieni. Mrużak pootwierał wszystkie pudełka i zamilkł.

— Szatańskie to jakieś sprawy są — odezwał się z westchnieniem — nie wiem już co mówić... Ja sam dziś nie przeczę, że tu fałszów niema, ale tak samo przysięgać bym gotów, że fałsz był.

— Cóż waćpan myślisz—przerwał dumnie Witke—że się kto będzie bawił w taką drogocenną oprawę szkła i djamenty wstawiać?

Mrużak zmilczał, odstąpił od stolika upokorzony.

— Pierwszy to raz w życiu podobna mnie konfuzja spotkała—rzekł—niech ona Boga chwali.

Padniewczyk po kolei rozpatrzył klejnoty wszystkie, podziwiając już nie tyle owe karbunkuly w nich jak robotę wytrawną i misterną; przypisywał on ją włochom.

Kasztelanowa stała zadumana.

Ona też życzyła sobie rzucić okiem na te błyskotki, których była łakomą, ale Witke bardzo skrzętnie natychmiast wszystko w pudełka układał i zamykał.

— Jeżeli pani kasztelanowa życzy sobie — rzekł naostatku — gotowem poddać te klejnoty każdemu znawcy, jakiego wyznaczy.

Mrużak wyszedł gniewny, nie czekając, aby go obwiniono.

— Złotnik się omylił—dodał niemiec — a jam za niego odpokutował.

Milczała zmięszana kasztelanowa, cała ta przygoda w głowie się jej jakoś pomieścić nie mogła. Chciała się coś dowiedzieć o dalszych układach, ale Witke złożył się tem, że nic nie wie, że mu nie dano żadnego zlecenia, od niechcenia tylko niby dodał, że król się bardzo prędko ze wszystkimi panami senatorami u boku jego będącymi wybiera do Warszawy.

— Jakto? nie czekając na to, aby się z bratem moim porozumiał?—zapytała.

— Nic nie wiem — rzekł Witke. — Być może, iż pewnym jest, że Prymas, widząc jak się składają rzeczy, króla uzna, a rokosz rozwiąże.

Kasztelanowa śmiać się poczęła.

— Ja jeszcze o tem nie wiem nic—odparła.—Król przecież krok jakiś uczynić musi, bo on nas potrzebuje...

Słów tych domawiała Towiańska, a Witke stał, przygotowując się do wyjścia, gdy boczne drzwi pokoju, w którym się znajdowali, ostrożnie się i cicho otworzyły i z za nich, nadzwyczaj wdzięcznie ufrizonowanymi włosami otoczona, ukazała się zachwycająca twarzyczka, po której różanych małych usteczkach, krążył uśmiech figlarny. Zjawisko to nawet obcego tu zupełnie Witkego wstrzymało nieco, tak było pociągające, taki urok miał wzrok i wyraz nęcący tej młodziuchnej jeszcze, ale śmiałej istoty. Zalnosc naturalna, niewymuszona, tak zdawała się



właściwą temu obliczu, iż bez niej pojąć by go nie można było. Ciemne, przysłonięte tajemniczo powiekami i długimi rzęsami oczy, buzia koralowa, przeglądające z pod warg perłowe ząbki, całość tych rysów, raczej wdzięcznych niż pięknych, wyzywała i przykuwała.

Kasztelanowa Towiańska, jakby zjawienie się gościa tego, wcale jej nie było przeszkodą do otwartej rozmowy z Witkiem, nie przestała mówić i nie przeszkodziła zaglądającej, ciekawej pani wsunąć się poufale do pokoju.

Była to niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj kształtnej gibkiej postaci osóbką, której strój wykwin-tny i śmiałość ruchów, świadczyły, że już zameżną być musiała. Nóżki, rączki, które umiała uwidocznic, jakby od posagu greckiego były zapożyczone, choć rysy twarzy wcale klasycznemi się nazwać nie mogły, miały one jednak więcej niż to, co daje nieposzlakowana rysów prawidłowość: życie, wdzięk, urok niezwycięzony.

Weszła na paluszkach, śmiejąc się, trochę roztrzępana umyślnie, dla nadania sobie życia, z kolei wpatrując się to w Towiańską, to w przystojnego mężczyznę, którego miała przed sobą. Bo chociaż łatwo było odgadnąć, że położenie towarzyskie daleko tego młodzieńca stawiało od nadobnej pani, nieomieszkała go oczarować, strzeliwszy do niego parę razy wzrokiem śmiałym razem i omdlewającym.

Witke jak przykuty stał, myśląc w duszy—Czarodziejka...

Towiańska nadąsana, usiłowała się jej uśmiechać, ona całą baczność swą zwróciła na Witkego. Jawnem było, że kasztelanowa dla niej nie miała tajemnic i że to być musiał ktoś należący do rodziny kardynała.

Tak było w istocie, natrętny ten gość zwał się Urszulką Lubomirską, podkomorzyną wielką koronną. Ojciec jej, który z Francyi tu przywędrował, pono za Maryą Ludwiką, zwał się Bouceon, ożenił się on



w Polsce, nazwisko spolszczył nieco i piękna Urszulka umiała, kilkunastoletnia zaledwie, choć nie posażna i rodziny nie odznaczającej się wcale, usidlić młodego syna hetmana.

Namiętnie w niej rozkochany Jerzy Dominik Lubomirski, pomimo oporu rodziny, powiódł ją niedawno do ołtarza, ale małżeństwo państwa podkomorzych koronnych, jak głoszone, nie bardzo było szczęśliwe. Ona oskarżała męża o dumę, zazdrość, dziwactwa, tyrania, on ją o zalotność i płochotę.

Piękna Urszulka śmiała się z męża, on gniewał na nią. Po całych miesiącach nie mówili do siebie, on wymagał wyjazdu na wieś i mieszkania gdzieś w pustyni, po za światem, ona świata, życia, ruchu, weselości i młodości około siebie potrzebowała.

Godzono ich rano, a wieczorem się już znów rozchodzili. Dodać wszakże potrzeba, że gdy piękna Urszulka zagniewanego męża potrzebowała przyciągnąć i przejednać, umiała to bez niczyjej pomocy dokazać. Leżał u nóg jej przepraszając. Cóż potem, gdy niedługo trzpiot ze śmiechem odbiegł i zalotnością swą przyprowadzał go do rozpacz.

Witke zacząwszy się żegnać miał już odejść, gdy go Lubomirska wstrzymała.

— Czekać waćpan—zawołała zbliżając się i z naboju wdzięcząc do niego — czekać waćpan. Wszak przybywasz z Krakowa! znasz króla? widziałeś go? mów, myśmy nadzwyczaj ciekawi naszego młodego pana... Ja już się tam wybierałam na koronację, ale ten mąż nieznosny zawieść mnie nie chciał!

Nie wiedząc jak odpowiedzieć na to szczebiotanie poufałe i natrętne, Witke stał wpatrzony w śliczną panią, głową tylko znak dał, że gotów był poddać się badaniom.

Podkomorzyna poprawiając pukle fryzury, otaczającej wdzięczną jej twarzyczkę, ciągnęła dalej.

— Mówią nam i portrety pokazują, że król jest młody i bardzo, bardzo przystojny, ale te portrety

tak kłamią... że się stroi wytwornie, że dla kobiet jest grzecznym... Prawda to...

Witke się mimowoli uśmiechnął.

— Wszystko to, co o królu mówią — odezwał się już całkiem oczarowany — nie starezy... Portrety robią go starszym daleko, niż jest, a co do dam, aż do zbytku dla nich powolny.

Tupiąc nóżką, przerwała mu Lubomirska.

— Jak waćpan śmiesz mówić, że można być nadto dla nas powolnym. Ale myśmy stworzone na to, aby nas słuchano, przynajmniej dopókiśmy piękne. A że ten wdzięk nasz, rychło przekwita, za to się nam tem więcej należy.

Ale — przerwała, zwracając rozmowę — ale powiedz mi pan otwarcie... Wiele król ma teraz kochanek?

Śmiałość tego zapytania zmieszała Witkego, który się zarumienił i oczy spuścił.

— Ja — rzekł zakłopotany — o żadnych nie wiem.

— A! cóż bo znowu — rozśmiała się podkomorzyna — należysz do dworu, masz stosunki na nim i nie nie wiesz! Dyskretya to bardzo piękna, ale bądź waćpan szczerym, ja go nie zdradzę. Wszakże hrabina Esterle z nim przybyła do Krakowa, więc zapewne zabierze ją z sobą do Warszawy, gdy tu zjedzie?

Kupiec tak zagadnięty, potrzebował namyśleć się chwilę co miał odpowiedzieć. Nie chciał króla zdradzić, a trudno się było oprzeć tej inkwizytorce, która oczyma dobywała tajemnic z najsukrytszych duszy za- bytków.

— O hrabinie Esterle — rzekł w końcu, widząc, że i Towiańska się przysłuchuje i zdaje się być rada temu badaniu — nie słyszałem w Krakowie. Być może, iż ją ciekawość na koronację sprowadziła... ja jej nie widziałem...

Lubomirska krok jeszcze bliżej przystąpiła, jakby chciała zbliżeniem się tem wywrzeć jeszcze silniejsze

na nim wrażenie. Zniżyła głos czyniąc go słodkim i przymilającym się.

— Powiedz bo pan prawdę, wiesz wszystko — szeptała — wszak to nie pierwsza miłość króla? bardzo on do niej przywiązany? a ona? kokietka? Słychać było jak drobnymi nóżkami, z niecierpliwości stuknęła o podłogę, a maleńkie rączki, pierścieniami okryte, rwały poprawiając koronki ubioru. Witke choć nie mógł oprzeć się jej urokowi, nie wiedział spełna co ma mówić.

— Niech mi pani wierzy, że nie tak jestem dobrze o tych rzeczach prywatnego życia króla uwiadomiony, abym mógł o nich mówić z pewnością. Król jest żonaty...

— At! — rozśmiała się na głos Lubomirska, — wszyscy wiedzą, że bardzo szanuje żonę, ale jej nie kocha. Zresztą on teraz katolik, a ona dyssydentka, więc przez to już małżeństwo zerwane, i my królowej mieć nie będziemy...

I dziwnym, namiętym śmiechem wybuchając, dodała:

— Musi tu sobie tymczasową wybrać królowę! — My Esterle nie chcemy! Esterle! Esterle! to tak jakoś brzmi jakby była żydóweczką...

— Esterle jest hrabią, — poprawił Witke — a ona z domu hrabianka Lamberg!...

Podkomorzyna skrzywiła się i usteczka jej podniosły się pogardliwie.

— No! jakże? nalegała — bardzo ją kocha? mów pan...

— Nigdy w życiu nie widziałem hrabiny Esterle — rzekł wstrzymując się Witke. — Nie pokazuje się ona w Dreźnie tak bardzo, a ztąd wnoszę, że więcej o tem mówią niż warto.

Lubomirska słuchała.

— On sobie tu musi wybrać tymczasową królowę — szepnęła — i wtrąciła żywo:

— Cóż się stało z piękną Aurorą?

Kupice oniemiały znova wstrzymał się z odpowiedzią dla namysłu.

— Hrabina Königsmark, — rzekł w końcu, — jak wszystkim wiadomo, jest zawsze w łaskach u króla.

— Choć ją tak haniebnie zdradził z tą Fatimą, a potem dla Esterle — dodała podkomorzyna, dowodząc jak doskonale była o wszystkich króla miłostkach uwiadomioną i jak one ją obchodziły.

— Widzę — odezwał się po chwili kupiec — że prędzejbyś się ja od pani mógł czegoś dowiedzieć, niż jej coś nowego przynieść. My nie podnosimy oczów do góry i wolimy nie mięszać się do serdecznych spraw N. Pana. Muszę też pani wyznać, że ja do dworu nie należę, z powołania kupcem jestem...

— Al — wtrąciła żywo i porywczo Lubomirska — czemuż handlujesz? kamieniami? klejnotami? nieprawdaż.

Witke się rozśmiał.

— Bynajmniej — począł wesoło — na tych się ja wcale nie znam...

To mówiąc chociaż podkomorzyna go usiłowała zatrzymać i jeszcze miała na ustach natrętne pytania, Witke skłonił się kasztelanowej, potem pięknej nieznałomej i wyniósł się co żywo, obawiając się wygadać mimowoli.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, a Towiańska miała począć rozmowę z podkomorzyną, gdy oczekujący w przedpokoju Mrużak wszedł, prowadząc za sobą kolegę Padniewczyka. Oba mieli twarze posępne i uroczyste.

— Jaśnie wielmożna pani — odezwał się nisko klaniając Mrużak — nic chciałem przy tym jegomości sporu wszczynać... Prawdę a Bogiem, kamienie dnia dzisiejszego były drogocenne i piękne, ale pierwsze, które on tu w tej samej przywoził oprawie na oszukaństwo, tak mi Boże dopomóż, wprawione zostały... Padniewczyk mi poświadczy, że na oprawie nawet

znać świeżą dłubaninę, gdy je wyjmowano i zakładano...

Nie moja rzecz sądzić, co to miało znaczyć—dodał — alem ja stary wyga, ja na tem zęby zjadłem, ja do szacowania klejnotów koronnych byłem wzywany, gdy je w zastaw dawano, ja się nie mogłem omylić i zbłądnionym być nie chcę.

Głos mu drżał, tak wziął do serca przypisywaną sobie omyłkę.

Kasztelanowa ruszyła tylko ramionami, gdy Padniewicz pomrukując potwierdził zapewnienie towarzysza.

— Wierzę, wierzę — dodała — bądź waćpan spokojny, chcieli mnie oszukać, ale się nie udało, będę ostrożną.

Ale, że to są, bądź co bądź, królewskie sługi, lepiej o tem zamilczeć.

Miała słuszość pani kasztelanowa, ale zaleciwszy milczenie Mrużakowi, sama go nie umiała utrzymać. Wiedziała o tej przygodzie piękna podkomorzyna Lubomirska, nie była ona tajemnicą dla synowej, dla Prymasa, dla znaczniejszej części jego dworu, nikomu nie zalecano, aby nie rozpowiadał co posłyszał, wieść więc o fałszywych klejnotach, rozeszła się po kraju i rozmaite wywołała sądy. Towiańska się nie bardzo sromotała tego, że wymagała porękawicznego, które było w obyczajach i nikt się nie taił, kto go wymagał, daleko mocniej to ją obchodziło, że mogła być zawiedziona i oszukana. Witke w przekonaniu, że naprawił popełniony błąd, wrócił trochę spokojniejszy do Warszawy.

---

## IX.

Aż do nowego roku 1695, na pozór się mało zmieniło położenie; potajemnie toczyły się układy z główniejszymi przywódcami rokoszu, zapewniano, że prymas nawet został pozyskany, i że piękna podkomorzyna Lubomirska, niewiadomo jakim sposobem, wzięszała się w to przedjednanie i grała w niem pewną rolę, pomimo męża i podobno jego wiedzy.

To pewna, że głośno przy każdej zręczności wyrażała się z najżywszem uwielbieniem o pięknym, o miłym, o niezrównanie uprzejmym dla kobiet królu Augustcie. Nie ulegało wątpliwości, że widywać go musiała, była nim zachwyconą, ale wzdychała do tej chwili, gdy otwarcie i jawnie będzie mogła zabrać z nim bliższą znajomość. Uspodobienie to pięknej Urszulki, tak było na rękę i prymasowi i Towiańskiej, że nietylko jej niepowstrzymywali w tych zapalach, ale zdawali się podburzać i rachowali na czarodziejkę, aby wpływ jaki pozyskać miała, na korzyść swoją obrócić.

Wielce zazdrosny młody Lubomirski nie wiedział ani o tych zabiegach żony, ani o jej uwielbieniu dla króla.

Tymczasem pozyskawszy sobie łagodnością i wielce zręcznem pobłażaniem Sobieskich, biskupa Żaluckiego, Lubomirskiego też z rodziną jego, przygotawszy pojednanie dwóch na Litwie walczących stronnictw Śapiehów i szlachty; król August już się nie wahał przedsięwziąć podróży do stolicy.

Na skargi i żale przeciwko nadużyciom wojsk saskich, których wyprowadzenia z kraju natarczywie się domagano, król zręcznie bardzo odpowiedział rozkazem przenoszącym ich do Prus, zkąd nie tak łatwo



krzyki dochodzić mogły i szlachty mało i wielkopolskiej nie obchodziły już tak mocno.

Cały liczny i wystawny swój dwór, wszystkie okazałości jego, stroje i błyskotki, August przewoził do stolicy, w której mazurom chciał się pokazać równie świetnie, jak w Krakowie małopolanom.

Zawczasu się upewniono, że dowodzący na zamku w Warszawie, zda go bez oporu saskiej gwardyi, która królowi towarzyszyła...

Cały ten dosyć powolny pochód od jednej do drugiej stolicy, był jakby tryumfem dla Sasa, który teraz mógł sobie pochlebiać, iż tak dobrze poczynszy dalej już żadnych groźnych do przełamania nie znajdzie trudności.

Po drodze nie było prawie popasu, ani noclegu, na którym by gromady szlachty z urzędnikami na czele nie witały Augusta okrzykami i nie składały mu hołdów. Nie badając przeszłości, nie poszukując za nią pomsty, król wszystkich bez różnicy ich dawnych stosunków w obozach przeciwnych, przyjmował z uprzejmością nadzwyczajną, z twarzą jasną i otwartym stołem, a pełnemi szklanicami.

Na każdym noclegu wyprawiono ucztę dla gości, a August ze swymi przybocznymi zasiadał do niej biesiadując niemal do chwili, w której do dalszej podróży sposobić się było potrzeba. Na wygodniejszych stacyach, po miasteczkach, zatrzymywano się całemi dniami.

Szlachta zachwycala się nowym panem, który ją tak uprzejmie poił, przyjmował i ciągle wesół uśmiechami uszczęśliwiał. Rozmówić się z nim wprawdzie mało kto mógł, oprócz tych co po francuzku umieli, ale oblicze jego mówiło, że się czuł szczęśliwym i wszystkich około siebie chciał widzieć szczęśliwymi.

Najwspanialszą z tych biesiad po drodze była wyprawiona w Radomiu, w klasztorze księży Bernardynów, w wigilię Trzech Króli, gdzie August zastał nie tylko gromady szlachty, ale wiele osób znaczniej-

szych, o których pozyskanie mu chodziło... Przybycie ich i połączenie się z orszakiem pańskim miało znaczenie wielkie. Rokosz stracił siły i rację bytu.

Chociaż Rzym dotąd przez Nuncjusza, przez OO. Jezuitów, sprawę króla w Polsce popierał, choć nawróceniem się jego na katolicyzm duchowieństwo zdawało się pozyskane, nie mniej szło Augustowi wielce, aby między niem miał jak najwięcej przyjaciół, bo Stolica Apostolska dotąd dla niewiadomych jakichś pobudek, uznać go królem ociągała się.

Rad był więc bardzo August, znajdując tu przyjaciela nieboszczyka Sobieskiego i jego rodziny, wielce rozumnego, uczonego i powszechnie szanowanego Żaluskiego.

Prymas, jak powiedziano, był już kupiony i albo był lub miał być wkrótce zapłaconym... Zgodził się za siedemdziesiąt pięć tysięcy talarów, a Towiańska ostatecznie kaprysząc, wahać się, paplać, o fałszywych klejnotach, przyjmowała precjoza o dwudziestu pięciu... Król, który lubił błyskotki i okrywał się niemi, tęsknie wdychał po utracie pięknych kamieni, ale spokój i zgoda coś warte były. Prymas obiecywał iść z królem i silnie go popierać... Rokosz miał być rozwiązany.

W Radomiu szczególnie wielką się miłość dla Sasa, przy suto zastawionych stołach zrodziła i urosła. Raz powiadano, że na wszystko się zgadzał, czego tylko sobie szlachta życzyła, że niesworni żołnierze wyciągali do Prus, że rokoszom przebaczenie bezwarunkowe było przyobiecane, że natychmiast miał znakomity wódz iść odzyskać Inflanty, albo wspólnie z Carem moskiewskim zwrócić się przeciwko Turkom, aby opanować ten nieodżałowany Kamieniec.

Można sobie wyobrazić jak powolną była ta podróż Augusta, gdy w wigilję Trzech Króli uczując w Radomiu, potem w Warce, dopiero po przyjęciu przez Sobieskich w Wilanowie, dnia 15 Stycznia

odprawił wjazd do Warszawy. Obaj królewicze wyszli naprzeciw niego, aż do drzwiczek powozu.

Cała ta podróż była szeregiem pomyślnych dla króla wypadków. W Radomiu w sam dzień świąteczny, z pomocą Żaluskiego i Lubomirskiego, udało się zbliżyć do siebie zajadłych wrogów, zakłócających pokój na Litwie, Słuszkę, kasztelana wileńskiego z podskarbin litewskim Sapiehą. Tu znaczna liczba dwójko upojonej szlachty i panów przyłączyła się do pochodu i towarzyszyła królowi do Warki.

Dwaj Sobiescy naprzód tu go w przeprawie przez Pilicę powitali, a potem polecieli przodem do Wilanowa, aby mu tam zgotować przyjęcie i wypoczynek, nimby obmyślono z jaką nroczystością miała go witąć stolica.

Królowi, pomimo zimnej pory, która niedozwalała ocenić wszystkich piękności Wilanowa, rezydencja dawna Sobieskiego podobała się wielce.

Nie wiedzieli pewnie Sobiescy, że poufnie August szepnął na ucho Flemingowi.

— To, jak stworzone jest dla mnie, Sobiescy muszą mi, radzi nie radzi, tego małego Wersalu ustąpić!

Nareszcie dzień piętnastego Stycznia został na wjazd przeznaczony. Ze stolicy naprzeciwno przybywającego monarchy wyjechali w kolebkach Żaluski, podkanclerzy Radziwiłł, podskarbi Sapieha, Dębski, referendarz Szczuka, Bielawski podkomorzy i wielu pomniejszych.

Król nie dosiadł konia dla chłodu, wjeżdżał przystrójony w brylanty swe i złotogłowy, z całą pompą teatralną, do której taką przywiązywał wagę, i tak się w niej lubował, w ośmiokonnej pozłocistej kolebce, otoczony świetną swą i doborową gwardją saską. Niezliczone tłumy w części za nim, w części naprzeciwko niego się wylały ze stolicy... i wśród bicia z dział, dźwięku wszystkich dzwonów, okrzyków radości, wjechał tak tryumfujący wprost się kicrując

do kościoła św. Jana, gdzie mowy i Te Deum zamknęły uroczyste objęcie stolicy.

Witke, który z innemi znajdował się w zamkowym kościele, dostrzegł jak na podwyższeniu umieszczona, niedaleko wielkiego ołtarza, strojna jak obraz cudowny, a w istocie będąca cudownym obrazkiem Lubomirska, oczyma przymkniętymi witała z uśmiechem Augusta, który bardzo widocznie oddał jej ten uśmiech i skłonił głowę znacząco.

To dowodziło, że się już znali. Niemiec poruszył ramionami i rzekł sobie po cichu.

— No, teraz już prawdziwym jest królem polskim, bo i Esterle zastąpi pewnie pani podkomorzyna!

O tem jednakże dotąd słyhać nie było. Po odwiedzinach u królowej wdowy, po objęciu zamku, do którego zaciągnęli sasi, poczęły się naprzód uroczystości, uczty, zabawy i turnieje. Sam król chciał być w nich czynnym i popisywać się ze swą zręcznością i siłą.

Drugiego czy trzeciego dnia, po obiedzie i kielichach mnogich, które tyle tylko, że humor dobry podniecały, bo król August głowę miał mocną i nie łatwo mu się ona zawracała, biegali sasi do pierścienia. Próbowali i niektórzy z naszych tej zabawy. Szło o to, aby konno z kopją w ręku, rozpędziwszy się, końcem jej do zawieszonego w górze pierścienia trafić i zdjąć go.

Najwprawniejsi w to igrzysko nawet, bardzo często chybiali, bo lada drgnięcie konia, albo ręki kopję trzymającej oł celu odbiło, a choć kto o pierścień potrafił, jeśli go nie zdjął, liczyło mu się za chybione.

Ponieważ w Polsce jakoś dawno te rycerskie zabawki ustaly, bo zabawiać się nie było czasu, gdy kozactwo pół kraju zalewało, mało kto mógł do pierścienia biegać i zręcznym się okazać. A był to popis w którym piękny, dorodny młodzian mógł się z siłą i gibkością popisać. Dnia tego nikomu się nie powodziło i niemcy i polacy biegali napróżno konie mę-

cząc i siebie. Odbywał się ten turniej na placu przed zamkiem, opasanym łańcuchami, po za którymi ludu ścisł był ogromny, patrzącego na te pańskie wyścigi, jak na hecę. Król zawsze galant, dla gości przedniejszych i dam, kazał na te wszystkie dni z tarcie pobudować trybuny, które kolorowemi płótnami poobwieszano. Wszystkie panie, żony senatorów i córki, postrojone zajmowały tu miejsca siedząc godzinami, aby się pięknemu młodemu królowi przypatrywać mogły...

Miedzy innemi, wprost naprzeciw tego miejsca, w którym król pod baldachymem, otoczony panami zasiadł, jako sędzia i wódz, traf czy rachuba dała się pani podkomorzynie Lubomirskiej, wraz z kasztelanową Towiańską i jej synową. Pomiędzy polskiem i paniami nie zbywało na pięknościach, były może i przechodzące Urszulę rysami twarzy i wspaniałą figurą, ale pomimo to, Lubomirska jaśniała tu jak gwiazda. Miała ona dar szczególny zwracania oczów na siebie. Twarzyczka jej, wejrzenie, cała powierzchowność jakaś oryginalna, ubiór bardzo szczęśliwie zastosowany, przy tem żywość ruchów, śmiałość, zalotność gasiły wszystko, co ją otaczało. Gniewano się, zazdroszczono, ale mężczyzny wrok, jak w tęczę w nią był wlepiony. Widzieli wszyscy, że król nieustannie oczy ku niej obracał, a ona też ciągle się w niego wpatrywała. Podkomorzy po kilkakroć przychodził jej coś szeptać, był posępny, ale ona ani jego ani nikogo słuchać nie miała zwyczaju.

Wśród śmiechów, oklasków, krzyków, przygrywaniu na trąbach, ciągnęło się tak widowisko niefortunnie, aż król sam wstał i Flemingowi szepnął, ażeby mu konia jego przyprowadzono.

Miał w bieganiu do pierścienia wprawę niemałą i bardzo często w Dreźnie udawało mu się z rzędu kilka razy wziąć nagrodę.

Tym razem jednak Fleming był przeciwny, chciał odwieść Augusta od tego popisu.

— Slawa z tego niewielka — szepnął mu — a gdy-



by się nie powiodło, przykrość dotkliwa, tyle oczów patrzy.

Nie posłuchał król dobrej rady przyjaciela. Zrobił się rumor wielki, zaczęto sobie z ust do ust podawać: król, król będzie biegał do pierścienia.

Lubomirska w ręce klaskała.

W istocie było na co patrzeć, bo koń piękny i król dorodny, a bohatersko i rycersko wyglądający, stanowili obrazek wielce powabny. Siadanie na konia, ujęcie kopji ciężkiej, którą on jak piórkiem władał, panowanie nad wierzchowcem, każdy ruch pełen wdzięku, obudzał uwielbienie w patrzących.

Z wielką pewnością objechał naprzód August arenę, prowadząc pod sobą rumaka jak w tańcu. Kobiety klaskały i powiewały chustkami, Lubomirska szalała, niemal od zmysłów odchodząc.

Odbywwszy tę paradę wstępną, król August jakby od niechcienia stanął naprzeciw pierścienia. Kopję złożył, popatrzył i nagle dawszy znak koniowi, kopnął się z wielkim impetem do pierścienia.

Co się naówczas stało, tego nikt ani zrozumieć, ani wytłumaczyć później nie umiał, koń się pod nim związał, padł, przywalił nieco sobą Augusta, a jedna jego noga tak została uciśniętą, że gdy natychmiast rzucili się wszyscy na ratunek, a król powstać chciał, nie mógł się utrzymać, bo wielki palec był straszliwie zgnieciony i krew z niego trysnęła.

W chwili gdy się to stało, Lubomirska wychyliła się, ręce rozpostarłszy jakby na ratunek biedz chciała i padła zemdlona w objęcia Towiańskiej.

Nie wszyscy to postrzegli, gdyż cała uwaga była na króla zwrócona, który nie chciał okazać jak cierpiał i sparty na rękę Pfluga, zniknął natychmiast.

Ale że Lubomirskiej potem się dotrzeźwić nie było można i około niej też zbiegła się ciekawa gromadka, a osłabioną wynieść prawie musiano do powozu, rozgłosiło się to i rozeszło.

Nadbiegł podkomorzy, przeklinając nerwy i lękli-



wość kobiecą, gniewny i oburzony tak, że gdyby nie Prymas, może by natychmiast Lubomirską na wieś albo sam wywiózł lub odprawił, ale Towiańska ją zabrała z sobą.

Z wypadku tego tedy, w owym wieku, pełnym jeszcze przesądów, zaczęto wróżyć nie dobrze. Upadek, skaleczenie, krew, wszystko to dawało do myślenia.

Lubomirska też z apprehensji o króla JMości i z niechęci przeciwko nieznosnemu mężowi rozchorowała się. Króla pocieszając tegoż wieczora, naturalnie opowiadali mu jego zausznicy o omdleniu pani podkomorzynnej. Dowiedział się o tem bardzo rad, bo mu się ona niezmiernie podobała.

Ale z drugiej strony przestrzegano go, aby w Polsce, przynajmniej w początkach był niezmiernie ostrożnym. Lubomirskich sobie narazić było rzeczą niebezpieczną.

Wiedział o tem bardzo dobrze, a jednak nawykły zawsze dogadzać swoim fantazyom, nie mógł się wyrzec Lubomirskiej. Ona zaś ze swej strony wprost mu się narzucała i od tego dnia stosunki jej z mężem stały się nieznosną walką. Dodać potrzeba, iż pani kasztelanowa Towiańska rachowała na tę kuzynkę i jej wpływ na króla, więc zamiast ją powstrzymywać, choć niezręcznie, podżegala.

Dwór otaczający króla, którego próżność tak dotkliwie ncierpiała dnia tego, wypadek starał się tłumaczyć, składając winę na konia. Skaleczenie nogi z początku miano za rzecz bardzo mało znaczącą, tymczasem uderzenie było tak silne, iż lekarze z początku o odjęciu palca mówili. Chodzić długo August nie mógł, a gdy wyzdrowiał i ranę zagojono, pozostał mu ból, który trwał do zgonu i później wcześniej laski używać zaczął dla tej nogi.

Nazajutrz jeden z paziów królewskich potajemnie przysłany przyszedł do Towiańskiej z komplementem, dowiadując się o zdrowie pięknej Urszuli.

Omdlenie to, stanowiło o losach przyszłych Lubomirskiej. Król też już zubożał dla Esterle, nie mogący nigdy długo wytrwać bez zmiany w tych swych efektach, szukający ciągle czegoś nowego, pomimo przestróg przyjaciół, całkiem się zwrócił ku podkomorzynie.

Fleming rnszał ramionami i uśmiechał się, utrzymując, że był pewnym wyboru polki, bo należało Augustowi mieć dwie przynajmniej kochanki, tak jak miał dwie koreny. Sasi przywykli do sposobu życia Kurfirsta, nie wielką wagę przywiązywali do tego, co się im wydawało naturalnem, pomiędzy polskimi panami, samo imię i położenie towarzyskie Lubomirskiej, podnosiło znaczenie tych miłostek i czyniło je gorszącemi.

Pomrukiwano przypominając Radziejowską za Jana Kaźmirza i wszystkie klęski, jakie niesłusznie przypisywano słabości króla dla niej. Ale dotąd stosunki podkomorzynej nie dawały powodu do obwinienia ani jej, ani Augusta. Nie zerwała ona z mężem, nie dała powodu do posądzenia niczem oprócz omdlenia, które się mogło drażliwością niewieścią tłumaczyć.

Tylko dla tych, co z przeszłym życiem Kurfirsta lepiej byli obeznani, jak Przebédowscy, widocznem było, że Augnst nawykły do łatwych zwycięstw, gotów dla nich do największych ofiar. Raz rzuciwszy okiem na piękną Urszulę, jnż jej się nie wyrzecz.

Z mężem podkomorzynej, który niemal codzień mu się na oczy nawijał, uważano, iż król stał się uprzejmym, serdeczniejszym, niż kiedykolwiek. Dawał mu pierwszeństwo przed innymi, starał się wyróżnić i okazać dlań pełnym atencji. Był to zwykły sposób postępowania Augusta, w wigilję tego dnia, gdy kogo do Königsteinu miał wyprowadzić, nadzwyczajną czułością go otaczał.

Lubomirska po omdleniu, następnych dni się nie pokazywała. Podkomorzy musiał się do niej gwał-

tem dobijać. Powiadano, że pomiędzy małżonkami we cztery oczy, nastąpiła scena gwałtowna. Towiańska słyszała krzyki, a podkomorzy wyszedł wściekły, rzucając drzwiami, nie chcąc widzieć, ani się rozmówić z kasztelanową.

Gdy po oddaleniu się jego, weszła ona do pokoju Urszuli, znalazła ją we łzach gniewu, z policzkami gorejącymi, rozdrażnioną do szaleństwa.

— Nie chcę go znać — poczęła wołać — tyranem jest, żyć z nim nie mogę... Podam się do rozwodu, niech będzie co chce... Wuj mi w Rzymie wyrobi zerwanie tego małżeństwa. Byłam przymuszona, nie kochałam go nigdy...

Napróżno Towiańska starała się ją ukołysać, przedstawiając, że zerwanie z mężem jest niepotrzebne, a nadto wywoła potwarzy i krzyków. Radziła się pogodzić, ulagodzić go, brała to na siebie i na Prymasa.

Podkomorzyna zaklinała się, że woli do klasztoru.

Lubomirski, który choć kaprysami żony znudzony, miał dla niej przywiązanie, gotów był wszystko zapomnieć pod warunkiem, ażeby z nim zaraz na wieś jechała. Ale o tem Urszulka słuchać nie chciała. Stało się, co już Niemcy przewidywali, tajemnicie zawiązały się stosunki, tak umiejętnie osłonię, że nawet Towiańska, stojąca na straży, nie o nich nie wiedziała.

Król, który tyle miał do czynienia z rokoszem, ze sprawami Rzeczypospolitej, w tej chwili przełomu, najważniejszej, zdawał wszystko na Fleminga, Dębskiego, Przebédowskich, Pfluga i t. p., a sam myślał już tylko o pięknej Urszuli. Ani Inflanty, ani Kamieniec, oderwać go od niej nie mogły. Poświęcał im zaledwie krótką chwilę, gdy intryga z Lubomirską pochłaniała dnia resztę. Król ukazywał się, znikał, zamykał, posłańcy się kręcili, podarki sypały... Małżeństwo jednak dotąd rozerwanem nie było i podkomorzy do żony się dobijał, wpadał, kłócił z nią, mając nadzieję pojednania, kładł za warunek wyjazd

na wieś, a piękna Urszula zarzekała się, że z mężem nie pojedzie nigdzie i musi od niego oddzielić.

W tem wszystkiem prymas i pani kasztelanowa grali taką rolę, jak w sprawach rokосу. Radziejowski już był pozyskanym, szło tylko o wysokość sumy, którą go miano opłacić, potajemnie znosił się z królem, a jawnie powstawał przeciwko niemu i rokosz podsyczał i przecigał.

Oszukiwał szlachtę i cały obóz swój, ale razem i króla trzymał w zawieszeniu, nie kończąc z nim, nie dopuszczając pacyfikacji, aby wymódl i utargować jak najwięcej. Doskonałym pozorem do tego zwlekania ze strony prymasa było, że z biskupem Dębskim pojednać się nie mogli. I jeden i drugi rozjątrzeni byli do najwyższego stopnia.

Na Litwie, pomimo wszelkich zabiegów do pogodzenia Sapielów ze szlachtą, wzmagalo się wzburzenie umysłów, groziła wojna domowa. August tymczasem gotował się przeciwko Turcji, a zarazem, usiłując pozyskać sobie Kurfirsta brandeburskiego, nie tylko przez posły z nim wchodził w układy, ale sam, pod pozorem polowania pojechał omawiać dalsze losy Rzeczypospolitej. Pozostało tajemnicą to co ze swej strony ofiarował król Kurfirstowi, i czego się od niego domagał w zamian, lecz nieulega wątpliwości, że szło o radykalne zmiany, o podział kraju, o zmianę formy rządu...

Domyślać się można, iż król bardzo korzystnymi warunkami i ustępstwami terytorjalnymi usiłował przeciągnąć na stronę swoją Kurfirsta, lecz ten czuł się w położeniu swem tak silnym i miał widoki na przyszłość tak wielkie, że wolał się nie wiązać żadną stanowczą umową... Jeżeli Rzeczpospolita miała z gruntu być przetworzoną, wolał ów sam z tego ciągnąć korzyści, niż się niemi dzielić z Sasem, który nie zbyt bezpiecznym był na swym tronie.

Wśród tych wycieczek Augusta do Gdańska, do Prus, porozumiewań z brandeburskim Kurfirstem i Ca-

rem moskiewskim Piotrem, którego spodziewał się sobie pozyskać — król zarazem o miłostkach z Lubomirską nie zapominał.

Piękna Urszula już tak pewną była ukoronowanego kochanka, że sama nagliła i przyspieszała zerwanie z mężem ostateczne. Podkomorzy kilka razy dla zgody przybywał i nie został dopuszczonym. Żona go znać nie chciała.

Przez kilka tygodni nawet, chcąc uniknąć widzenia się z nim, za poradą prymsa, piękna Urszula zamknęła się w klasztorze Klarysek, a słuchy po mieście chodziły, że król August przebrany za kapucyna w habicie ją odwiedzał.

Radziejowski spodziewając się, że Lubomirska będzie mu w przyszłości pomocą, przez nią na króla wpływać sobie obiecując, przez Towiańską i sam popierał rozwód i zupełne oswobodzenie pięknej Urszuli.

Podkomorzego różnemi środkami starano się ukłóścić, dowodząc mu, że rozwód był jednym środkiem wyjścia z tego nieprzyjemnego zawikłania. Przestawał odtąd być odpowiedzialnym za żonę i jej postępowanie. Ze złamanem sercem w końcu podkomorzy na rozłączenie się zgodził, a żona jego opuściła klasztor i z nową świetnością ukazała się światu jako tryumfatorka. Dwór jej, klejnoty, sposób życia, osoby otaczające, jawne już z królem stosunki, nie dozwalały wątpić, iż była jego kochanką.

Zdradzało się to i nagle zniknięciem hr. Esterle, którą zawczasu przyjaciel jej kanclerz Beickling i pani Rechenberg ostrzegli o tem, że Lubomirska miała ją zastąpić...

Ułaskiwszy się wygnania i pozbawienia bardzo kosztownych klejnotów, które król jej dawał do użycia i popisu hr. Esterle, z pomocą Beicklinga potajemnie zabrawszy precjeza, uciekła z Warszawy.

Mówiono że Lubomirska, która na te same klejnoty oko miała, utraty ich Beicklingowi nie mogła przebaczyć, i przyczyniła się do upadku jego.



Król rad, że się pozbył Esterle, bez wymówek, łez i scen, których znieść nie mógł, stratę kosztowności zniósł łatwo i do Esterle nie miał później żalu... Ona i Aurora Königsmark umiały się ze swym losem pogodzić, zachowując przyjaźń Augusta, który im okazywał życzliwość i wesoło się czasem zabawiał z nimi...

Pomiędzy warunkami rozwodowemi, podkomorzy położył jeden, który do pewnego stopnia imię Lubomirskich od zakąty miał ratować i żądał aby nowy jakiś tytuł przybrawszy piękna Urszula, przestała się nazywać jego imieniem.

Król przystał na to, równie jak podkomorzyna. Czekало ją księstwo Cieszyńskie.

Miłostki z Lubomirską, któreby w Saksonji wielkiego znaczenia, ani rozgłosu nie miały, ani zgorszenia nie wywołały, w tej Polsce, w której węzły rodzinne szanowano, gdzie niewiasta była niewidzialnym duchem opiekuńczym domowego ogniska, uczyniły wrażenie ogromne... Nie słabość kobiety, nie płochosć króla nadawały im znaczenie, ale jawność, urągająca się prawom Bożym i ludzkim...

Mogła się w Polsce przytrafić nie raz zdrożność podobna, lecz ją przynajmniej przez poszanowanie cnoty ukryć się starano, a nie chwalić i na jaw wystawiać. Tu na tronie osadzony ów pomazaniec Boży, który przy koronacji wdziawał szaty kapłańskie, który był stróżem wiary i zakonu narodu, deptał oboje z lekceważeniem świętokradzkim.

W innych krajach można było to uniewinniać i tłumaczyć tem, że król stał ponad prawem wszelkiem, bo sam prawa nadawał i odbierał, mógł dla siebie w nich wyjątek uczynić. W Rzeczypospolitej elekcyjnej, wyjątkowy ten charakter panującego nie istniał.

W początkach wiadomości tej, rozchodzącej się po kraju, ale na ucho rozpowiadanej, aby niekoniecznie dochodziła do młodzieży, nie chciano dawać wiary. Imię Lubomirskich, czyniło ją wątpliwą. Król stracił



wiele u tych ze swych adherentów, którzy na nim pokładali nadzieje. Mógłże reformować Rzeczpospolitą, kto siebie powściągnąć nie umiał? *Quid leges sine moribus!* — szeptał Jabłonowski — a wtórowali mu tacy, jak Stanisław Leszczyński, jak mnodzy inni, czyści i prawi ludzie... Nie mogli oni tego brać lekko, co dotyczyło rodzinę kobietę, najświętsze i najdroższe węzły... Piękna Urszula spostrzegła wkrótce, że oprócz Towiańskich i niewielu innych familij, wszyscy z nią zerwali. Nowych przyjaciół musiała sobie szukać na dworze saskim, pomiędzy Niemcami i tą kosmopolityczną arystokracją, którą August się otaczał, wygodniejszą ją znajdując, nad swoje, szlachtę saską.

Wchodziło to w tradycję i obyczaj dworu, aby się otaczać cudzoziemcami. W tym samym czasie prawie w Saksonji ograniczono prawa szlachty, nie dopuszczając do zgromadzeń doradczych (*Landesversammlungen*), tylko tych, którzy po mieczu i kądzieli ze czterech pokoleń szlacheckich wywieść się mogli i urzędników wyższych stopni.

Rodzaj ten wiernopoddańczych sejmów, chociaż najmniejszej nie miał siły, jeszcze się groźnym wydawał. Włosi, szwajcarowie w znacznej liczbie do wojska i posług króla byli zaciągani.

Każdego kto znał dwa kraje — pod jednym teraz berłem połączone — uderzyła niezmierna różnica ich ustaw. August w początkach lekceważył ją, jak wszystko, sądząc, że łatwo swobody wiekowe potrafi zatrzeć, ale wrzawa jaką wywołały wojska saskie, zatręcie w Warszawie przez nie cekhauzu, przeciwko któremu Kątski zaprotestował, a August mu ustąpić musiał, przekonały go, iż obalenie wiekowych instytucyj, zrosłych z życiem narodu, wcale lekceważonem być nie mogło.

. . . . .

Chociaż w tym roku miał król tyle spraw ważnych, iż zdawało się, że dla nich wyrzec się będzie

musiał ulubionej swej rozrywki, karnawałowego jarmarku lipskiego było nad siłę jego, pozostać w cichej i nudnej Warszawie, gdy tam zapowiadano bytność znakomitych gości, między innemi Zofii Karoliny pruskiej, pani słynącej ze złośliwości dowcipu.

Lubomirska też bardzo pragnęła poznać ten karnawał, który jej August tak wychwalał. Czem on był, to się dziś trudno opowiedzieć daje. Dostojni goście zapominali na chwilę o swych wysokich stanowiskach, mieszcali się z tłumem i weselili jak prości śmiertelnicy. August incognito, z fajką w ustach, jeździł konno, po jarmarcznych budach, wypatrując ładnych twarzy.

Trafiło się, że w tym roku na jarmark się zjechały razem, nie wiedząc o sobie, Lubomirska, hrabina Aurora Königsmark, zbiegła z Warszawy hrabina Esterle i pani Haugwitz, niegdyś panna Kessel, pierwsza jawnie ogłoszona metressa, która panią hrabinę Königsmark poprzedziła.

Na zapowiedziany bal maskarady wybrała się Lubomirska. Była na nim Zofja Karolina. Król naturalnie czynił jej tu honory. Zażądała ułożyć kadryl dla niego, obiecując mu dobrać cztery najpiękniejsze panie. Na czele ich postawiła Augusta z Urszulą, obok i naprzeciw wesośnie już upatrzoną Königsmark, Esterle i Haugwitz. Panie te dopiero, gdy się taniec rozpoczął, poznały się i domyśliły złośliwej psoty księżnej, która znikła. August natychmiast domyślił się, odkrył w maskach dawne kochanki, ale nie dopuścił, aby podrażnione i obrażone sprawiły przyjemność tej, która mu kadrylem płochosć jego chciała dać uczuć dotkliwie.

Po kolei musiał każdą z nich błagać i zaklinać, aby wesołemi twarzami się powitały i nieokazywały bynajmniej obrażonemi.

Aurorę już doświadczenie z piękną Fatymą nauczyło być pobłażającą. Esterle potrzebowała króla przebłagać, pani Haugwitz musiała pójść za ich przy-

kładem. Natrudniej przyszło wymódlz na Lubomirskiej, aby stanęła w jednym rzędzie z temi paniami, które za daleko pośledniejsze od siebie uważała.

August musiał ją obietnicami, zakłęciaми, nalganiem niejako zmusić do przyjęcia bez wybuchu, psooty już wyrządzonej. Tylko wesołość i lekceważenie mogło uczynić kadryl obojętnym i zapobiedz skandalowi.

Z podrobioną, wymuszoną wesołością przetańczyły, głośno się śmiejąc, a w duszy przeklinając kadryla tego, w którym król z pogardą na twarzy, z gracją i właściwą mu obojętnością, podawał z kolei ręce przeszłości i terażniejszości.

Dla pięknej Urszuli, która pochlebiała sobie, że będzie ostatnią i pozostanie u boku jego na wieki, było to straszliwe *Memento mori*.

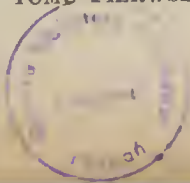
Na przekór Zofji Karolinie, która ukrywszy się śledziła wszystkie ruchy tych pań, z zazdrością w sercach, ocierające się o siebie i strzelające ognistemi oczyma, August wszystkie je razem z ich partnerami zaprosił na wspólną wiczerzę, przy której z bólem, upokorzeniem, gniewem w sercu, piękna Urszula grała rolę gospodyni.

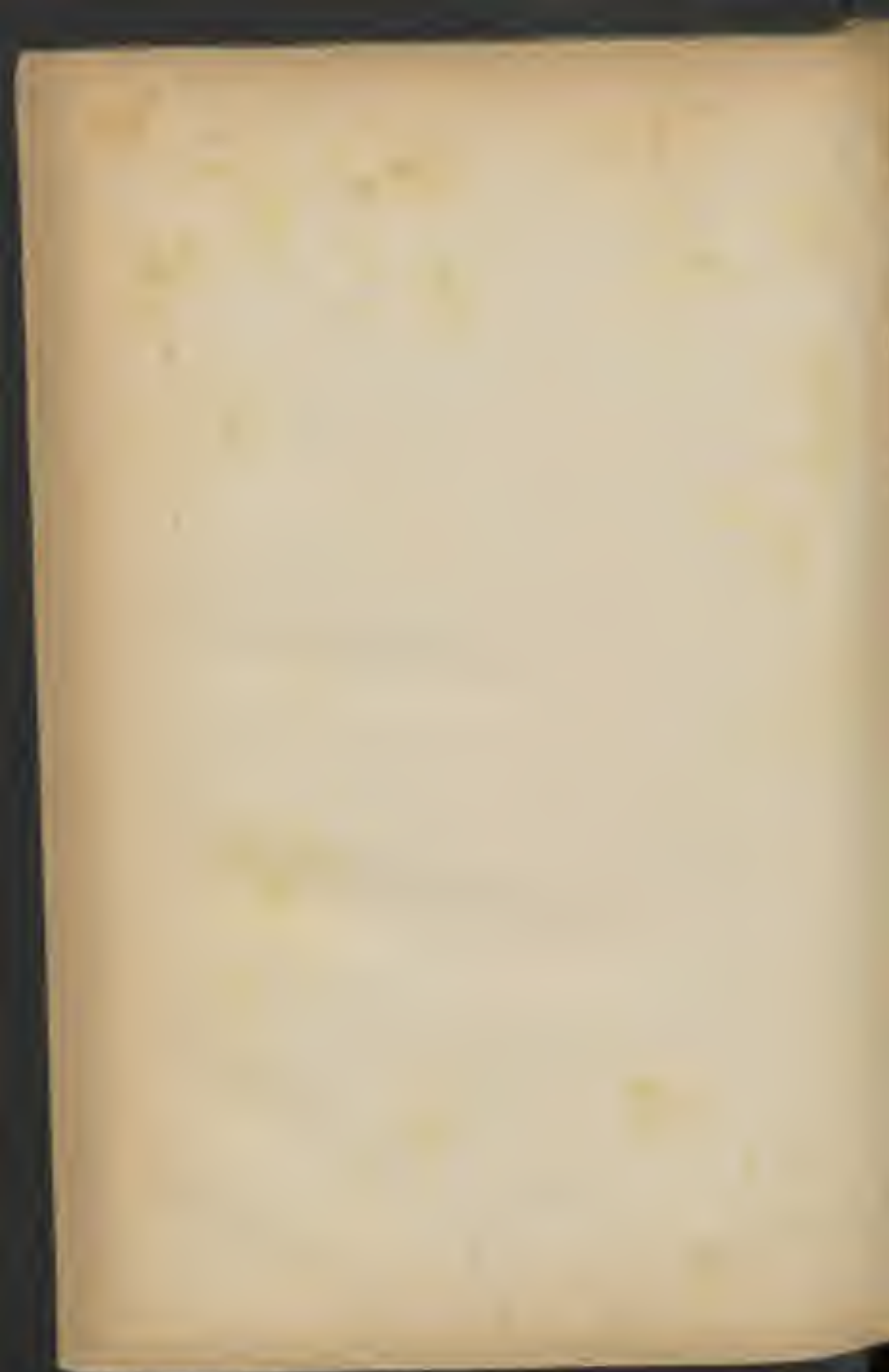
Königsmark, najzimniejsza z nich, z dumą pańską i obojętnością, dowcipkowała najswobodniej, przycinając królowi, który przyjmował jej dowcipy z poddaniem się losowi swemu.

Przez drzwi na wpół otwarte umyślnie, ta która kadryl ten piękny stworzyła, mogła się przekonać, niepostrzeżona, że August z Jowiszowym majestatem, niezachmurzony, królował w pośród tych bogiń.

W dziejach jego serca, jeżeli taka rozwiązłość z sercem może mieć co wspólnego, był to dopiero początek; świat miał się zdumiewać, bo rozpasanie doszło aż do potwornych wybryków.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







Biblioteka Raczyńskich

**JK 866**



JK0866